

Ptak, Cyna i luneta wisielca

Mariusz Niemycki

Ptak, Cyna i luneta wisielca

Wydawnictwo Skrzat Kraków 2005

© Copyright by Mariusz Niemycki Edycja © Copyright by Skrzat, Kraków 2005 Ilustracje: Suren Vardanian Redakcja: Kamila Zimmnicka-Warchoł Skład: Konrad Kuś

ISBN 83-7437-093-9

Wydawnictwo Skrzat

31-560 Kraków, ul. Na Szaniec 14

tel.(012)414 28 51

wydawnictwo@skrzat.com.pl

Odwiedź naszą księgarnię internetową: www.skrzat.com

...i oto ponownie wzniosł U tu swój rydwan
bezkonny ku przestworzom
i ponownie, jak i każdego dnia, sferę niebieską przemierzał,
by świt ze zmierzchem połączyć, by widzieć uczynki
nasze, by prawdę i sprawiedliwość nam dawać (...).
Podjąwszy przeczucie, niezwłocznie ów przyrząd
zmyślny do ocz przystawił i spojrział na miasto (...),
rzekł przeto: Ja widzę, co wam widzieć nie dane, jam
orłem jest bowiem i orle mych źrenic spojrzenie! (...).
zZapraǳnął Manatosz boskiego szklą dotknąć
i boski wzrok osiąść na wieki, lecz U tu, nim w gwiazdy
powrócił, w przepaście najgłębsze szkło stracił,
by człowiek w swej bucie bogom dorównać nie zechciał (...).
„Pieśń o Manatoszu" (fragment) miasto Uruk, Sumer, 3467 r. p.n.e.

Prolog

Okolice twierdzy Kinburn nad Morzem Czarnym,

lipiec 1738 roku

Milczący orszak powoli zbliżał się do miejsca kaźni. Ciężkie krople potu zalewały nabrzmiałą twarz więźnia, wdzierając się krętymi, palącymi strumykami pod powieki. Skazaniec próbował podnieść ręce, ale ostre szarpnięcie sznura wywołało nową falę trudnego do okiełznania bólu. Jęknął.

— Spróbuj jeszcze raz, sobaczy! synu — zabrzmiał chrapliwy głos nieogolonego oficera — to ci kulasy poprzetrącam. — Groźba wypowiedziana została zupełnie beznamiętnie, jakby wojna wymazała z serca carskiego żołdaka wszelkie ludzkie uczucia.

Więzień zerknął na niego i oblizał spieczony wargi.

— Pić...

— Ot, zaraza. — Oficer podniósł dłoń. Żołnierze zatrzymali się i skierowali ostrza bagnatów w pierś ślaniającego się po porannych torturach mężczyzny. Byli zmęczeni ustawicznym patrołowaniem okolicy i rozdrażnieni atakami tureckich partyzantów. W ich spojrzeniach czaiła się desperacja. Czekali na rozkaz.

1 Sobaczy — (ros.) psi.

7

Dowódca sięgnął za pazuchę. Odkorkował manierkę, powąchał zawartość, po czym pociągnął sążnistego łyka.

— Znaczy się, chcesz pić? A pij, szpion prakliatyj2! — splunął. Gęsta, zmieszana z wódką ślina pociekła po policzku więźnia. — Pajdiosz w ad, nachalny) Pal)ak, uwidisz!.

Żołnierze zarechotali z uznaniem. Nienawidzili swojego losu równie serdecznie, jak i swojego podporucznika, ale w tym znaczonej krwią miejscu każda okazja do śmiechu była dobra. Orszak ruszył w stronę wzniesionej na wysokim brzegu szubienicy.

Brutalnie poszturchiwany kolbami jednostrzałowych karabinów skazaniec wszedł na zbitą z nieokorowanych drągów drabinę i ostrożnie stawiając pokryte strupami stopy, dotarł do platformy zwieńczającej rusztowanie. Popatrzył na niedalekie morze połyskujące w ostrych promieniach południowego słońca. Przez ściśnięte wzruszeniem gardło trudno było oddychać.

— Nu, bratok — zagaił pełniący funkcję kata brodaty szeregowiec. — Biesy uże żdut tiebja4 — powiedział, szczerząc w szerokim uśmiechu spróchniałe zęby Wcisnął pętlę na szyję skazańca i kiwnął do oficera. — My gotowy, wasze błagarodje5\

— Z nakazu miłościwie nam panującej carycy Anny — obwieścił podporucznik, rozwijając opatrzony łąkowymi

2 A pij, szpion prakliatyj — (ros.) więc pij, przekłety szpiegu.

3 Pajdiosz w ad, nachalnyj Paljak, uwidisz — (ros.) pójdiesz do piekła, bezczelny Polaku, zobaczysz.

4 Biesy uże żdut tiebja — (ros.) diabli już na ciebie czekają.

5 My gotowy, wasze błagarodje — (ros.) jesteśmy gotowi, wasza miłość.

8

pieczęciami rulon — który za czary i szpiegostwo jedną tylko karę przewiduje, skazuje się obecnego tutaj... Jed... Jedwie... czort wazmi6, tfu, Jedwarda Kaszy... szcze... a badaj jewo, tfu, z takiej familju7 — pogroził więźniowi pięścią i kontynuował — Kaszyki... jewicza na śmierć przez powieszenie. Podpisano: dowódca twierdzy w Kinburn, jego wielmożność carski major Fiodor Aleksiejewicz Mordwinow. Boh hrani cańewu%\

Stojący na przedzie oddziału werblista zaczął wystukiwać monotony rytm krótkimi pałkami.

— Popa! — wychrypiał skazaniec, wywołując swoim życzeniem chwilę konsternacji wśród żołnierzy. — Po... pa...

Kat znieruchomiał z dłonią zaciśniętą na drążku zapadni i zanurzył palce wolnej ręki w wiechciowatej brodzie.

— Wykonać! — ryknął podporucznik, z obrzydzeniem obserwując rosnące plamy potu pod pachami białego munduru z epoletami. — Ubićjewo9] — ponaglił, podkreślając nerwowo sumiastego wąsa.

— Ale, wasze biagarodje, skazanemu na śmierć przysługuje ostatnia spowiedź... — wymamrotał kat i zaraz tego pożałował, bo w oczach dowódcy zobaczył nadciągającą burzę.

— Skąd ja ci teraz, durniu, wezmę popa?! — wydarł się poczerwieniały z gniewu podporucznik. Żołnierze zaczęli szemrać, nie bacząc na subordynację.

— Hańba! — warknął ktoś ukryty za plecami towarzyszy broni. — Pop potrzebny!

6 Czort wazmi — (ros.) niech to diabli.

7A badaj jewo, tfu, z takiej familju — (ros.) a bodaj go z takim nazwiskiem.

8 Boh hrani cańewu — (ros.) Boże, chroń carycę.

9 Ubićjewo — (ros.) zabić go.

9

— Wypowiadać go! — zawtórował inny

W parnym powietrzu zawisła groźba buntu. Oficer zatoczył wokół gromiącym wzrokiem, ale nie złagodziło to narastającego napięcia.

— Wasze błagarodje, może ja? — do podporucznika podbiegł młody żołnierz, którego rzadka bródka nieskutecznie maskowała chłopięce jeszcze rysy Przystanął przed oficerem w pełnej pokory postawie.

— Co może ty, Ligurskij?! Co może, swinnyj bajstruk10, ha? — dowódca zdzielił przygarbionego młodzieńca otwartą dłonią po karku.

Ligurskij pobladł, zacisnął zęby i wycedził:

— Uczyłem się na popa, wasze błagrodje, ale nie wyszło, nie czułem powołania... — W miarę mówienia jego oddech stawał się spokojniejszy — Mogę wysłuchać spowiedzi jak każdy chrześcijanin i...

— No dobrze, byle szybko — przerwał oficer, ocierając czoło. Zerknął na ciemniejące niebo. Jak tak dalej pójdzie, to w deszczu Turcy wyróżną mu z dziesięciu zwiadowców. Co za podła służba! Ligurski wdrapał się na platformę szubienicy, odepchnął głupawo uśmiechającego się kata i zbliżył usta do ucha skazańca.

— Jestem Polakiem. Z Odessy — szepnął po polsku. Więzień drgnął. — Pomodłę się za ciebie. Ojczy nasz...

Słowa wypowiedane w ojczystym języku wycisnęły łzy z suchych oczu szykującego się na śmierć mężczyzny. 10 Swinnyj bajstruk — (ros.) świński bękartie.

10

— Barbara Koszykiewicz... — powiedział. Spękane wargi pokryły się kropelkami krwi. — Barbara Koszykiewicz... Gdańsk... znajdź to... — przymknął powieki. — ... przyjdź Królestwo Twoje... Żołnierz popatrzył skazańcowi w oczy.

— Co mam odnaleźć, proszę powtórzyć... — zapytał, nie podnosząc głosu.

— Nie guzdrać się tam! — zniecierpliwził się oficer.

— Koł... nierz... oderwij kołnierz... — skazaniec był wyczerpany. — Oddaj... mojej... zo... nie...

Werblista ponownie rozpoczął wystukiwanie marszu śmierci. Nim kat przełożył dźwignię prymitywnej zapadni, do szubienicy dotarł wiatr niosący od zatoki intensywny zapach gnijących wodorostów i ukojenie. Zapadnia została opuszczona.

Rozdział 1.

Rogate oblicze Krzysia

Nie chciałem iść. Budzący się we mnie mężczyzna stanowczo przeciwstawiał się chodzeniu na zakupy

— Właściwie niczego nie potrzebuję. A poza tym kupowanie mi nowych ubrań mija się z celem, przecież za szybko rosnę — walczyłem jeszcze, patrząc na mocującego się ze sznurowadłem Krzysia. — No, mamooo!

Byłem naiwny, sądząc, że to poskutkuje. Na mamę trzeba czegoś więcej niż skomlenia.

— Przed wyjściem umyj twarz tym nowym tonikiem; może ci zejda — zadysponowała. Miała na myśli pryszczę. Trzy ohydne diody, pożałowania godny efekt dojrzewania.

— Nie odrobiłem lekcji.

— Nie wyciskaj ich brudnymi paluchami...

— Nie odrobiłem lekcji!

— ... i pamiętaj o wysłaniu listu do taty — dokończyła twardo. Powinienem pogodzić się z porażką i znieść ją z godnością, ale nie potrafiłem. Poczułem ucisk w skroniach, objaw narastającego gniewu.

— W całej szkole tylko ja chodzę z matką na zakupy! To... to niegodne człowieka! — Rąbnąłem pięścią w blat komody. Stojący obok telefon podskoczył i zabrzączał cichutko.

12

Cud, że nie pogruchotałem sobie kości dłoni. Od biedy mogłem znieść łażenie po sklepach w towarzystwie ojca, zawsze to mniejszy wstyd, ale akurat musieli go wysłać w delegację aż nad morze.

Mama zacisnęła wargi, po czym westchnęła smutno i poszła do łazienki uczesać włosy. Zrobiło mi się głupio, powinienem chyba pić jakieś ziółka na nerwy. Sprawdzę, co bierze ojciec, też go ostatnio roznosi, podobno z przepracowania. Uważam, że to śmieszne, bo przecież jest kierownikiem i ma ludzi do roboty. A ja mam na głowie szkołę, nędzne oceny, głupią wychowawczynię, cztery niezaliczone lektury z polskiego i bliznę na brzuchu. Mało? Zapomniałem dodać, że jutro po lekcjach czeka mnie pojedynek na pięści ze Ślipkiem. Właściwie już byłem trupem, i to rozkładającym się. Jeśli ktoś na mnie stawiał, jest ostatnim idiotą.

— Ja też z wami jadę — rozpromieniony Glut dźgnął mnie w plecy chudym paluszkiem. Byłem pewien, że posadził mi tam olbrzymiego smarka.

— Spadaj, maminsynku — doradziłem, usiłując obejrzeć się w lustrze. Nic to nie dało.
— Chyba, tatinsynku — sprostował. — Sam wysłę tatusiowi list, już raz wrzucałem do skrzynki kartki na święta — dodał, wypinając dumnie pierś.

Nachyliłem się i szepnąłem:

— Odepnij, bracie, tego świńskiego ryja z koszuli, bo cię na mieście wyśmieją.

Twarz mu pociemniała. W panice chwycił przypominający rumiane jabłuszko kawałek plastiku i szarpnął gwałtownie.

u

Materiał kraciastej koszuli pękł z miłym dla mego ucha trzaskiem.

— To przecież mój iten... syfikator — sapnął po bliższym przyjrzeniu się. — Myślałem, że mi ktoś podmienił, psiakrew!

No pięknie, klnie jak szewc. Jeszcze rok, dwa, a zacznie pić wódkę i napadać staruszki na ulicy. Pojawiła się mama i bez słowa pomachała kluczykami do samochodu. Od razu przeszły mi wszystkie fochy. Mama była niewyćwiczonym w trudniejszych manewrach niezłomnym kierowcą i zdesperowany ojciec nauczył mnie wyjeżdżać z garażu. Tak na wszelki wypadek.

— To ja lecę! — zapiałem, wsuwając adidasy bez rozsznurowywania. Mama pokręciła głową.

Chwyciłem kluczyki, pokazałem język Krzysiu, po czym jak na skrzydłach pomknąłem do garażu. Przywitała mnie woń gumy, benzyny, smaru i kurzu. Najcudowniejsza zapachowa mieszanka na świecie dla raczkującego rajdowca, jakim miałem zamiar wkrótce zostać.

Kiedy otwierałem drzwi bordowego opla, serce o mało nie wyskoczyło mi przez zębra. Powinienem sobie zrobić zdjęcie, bo mi w szkole nie uwierzą, pomyślałem, przekręcając kluczyk. Silnik kaszlnął. Przekręciłem jeszcze raz i dodałem więcej gazu. Silnik zawył, a potem zaczął pracować z cichnącym szmerem.

— No dobra, misiaczku, jedziemy — odwróciłem się, mrużąc oczy przed słońcem. Delikatnie popuściłem sprzęgło.

Tylne koła wjechały na podjazd, celując prosto w otwartą

14

bramę. Wiadomo — mistrzunio, uśmiechnąłem się triumfalnie. Zobaczyłem siebie z wieńcem na szyi, machającego otwartą butlą szampana. Zdjąłem stopę ze sprzęgła i wcisnąłem pedał gazu. Opel wyskoczył jak z procy. niespodziewany łoskot przywrócił mnie do rzeczywistości.

— O zesz k...! — jęknął chropawy głos. Jakiś cień przemknął przez podjazd, tuż za samochodem.

Zahamowałem gwałtownie, waląc czołem w kierownicę. I pomyśleć, że są na świecie samochody wyposażone w poduszki powietrzne. Tyle że nasz do nich nie należy.

Z duszą na ramieniu otworzyłem drzwi auta i od razu tego pożałowałem. Hamując w panice, zatrzymałem się dokładnie między słupami bramy. Stukot blachy uświadomił mi, że kroją się poważne kłopoty. Mało prawdopodobne, by mama nie zauważyła wgniecenia.

Wyjechałem na ulicę. W zasięgu wzroku nikt nie leżał. Może go przejechałem, cofając, ale chyba wtedy bym poczuł? Na samą myśl włosy stanęły mi dęba. Wysiadłem, rozglądając się spanikowany Nikogo.

Powoli wypuściłem powietrze. Myśl, Jasiu, myśl! — ponagliłem szare komórki. Przy krawężniku zauważyłem resztki obсыchającego błota. To już coś.

— Mama pyta, czy już możemy wsiadać — pomachał do mnie Glut, wychylając się zza drzwi.

— Pewnie, że możecie — wyprostowałem się i wytarłem ubłocony palec o spodnie. Majstersztyk

— oceniłem robotę — blacharz nie zrobiłby lepiej. Do pierwszego deszczu nikt się nie pokapuje, a dopiero co wczoraj padało.

15

Mama szarpnęła klamkę, sprawdzając, czy dobrze zamknęła dom, i wskazała palcem tylne siedzenie. Nadal się do mnie nie odzywała.

— Jak to? — oburzyłem się. — Ja mam siedzieć z tyłu, a Glut...

— Obaj! — sprecyzowała. Cała mama, to nieodzywanie się nie potrwało długo.

Przesiadając się, zerknąłem na dom pana Karola i otworzyłem usta ze zdumienia. Zielona zasłona w oknie na piętrze drgnęła, jakby ktoś pospiesznie nią szarpnął.

— Niemożliwe... — mruknąłem — ... przecież on chyba siedzi?

— Kto taki? — ze wstecznego lusterka spojrzały na mnie mamine oczy

— A... właściwie nikt...

— To przestań zawracać mi głowę bzdurami, nie mamy całego dnia na zmarnowanie.

Chciałem jej przypomnieć, czym wymysłem był wyjazd na zakupy, ale Krzyś pociągnął nosem i powiedział:

— A ja coś wiem!

— Co wiesz? — Mama poprawiła włosy i wrzuciła jedynkę. Ruszyliśmy.

— Wiem, co Janek będzie jutro robił, auć! — jęknął, gdy pacnąłem go pięścią w ramię.

— Tyle wiesz, ile zjesz! — Na wszelki wypadek zatkałem mu usta. Niepotrzebnie pochwaliłem się jutrzejszą bijatyką. Nie wiem, co mi odbiło, przecież Slipek mnie rozszarpie, przemielą w zębach i zje. Jeżeli będzie w słabszej formie,

16

oczywiście. Oprócz śmierci czekała mnie również utrata honoru, chyba że uda mi się powalczyć dłużej niż minutę i chociaż raz dosięgnąć Ślipka.

Po krótkiej szamotaninie Glut przestał się wić, więc go puściłem. Siedział teraz obrażony i pokazywał język, gdy tylko na niego popatrzyłem. Na domiar złego, z radia sączyła się smętna muzyczka, jazz albo coś w tym stylu. W każdym razie atmosfera zdechła.

Wyjechaliśmy z osiedla. Z alei Konstytucji mama skręciła w stronę ulicy Mętnej, ponieważ naprzeciwko pamiętnego skądinąd baru Kefirek otwarto kilka dni temu nowy sklep: Wszystko dla Pani i Pana.

Nazwa była myląca. Oprócz ciuchów żadnego „wszystkiego” tam nie sprzedawano. Sklep powinien się raczej nazywać „Katownia Chłopców” i zamiast uśmiechniętego damskiego manekina w garsonce i kapeluszu na wystawie należałoby ustawić zakutego w dyby czternastolatka.

Ania, moja obecna dziewczyna, była co prawda innego zdania i namawiała mnie na spacer do tego sklepu, ale zbyłem ją pogardliwym burknięciem. Do oglądania fatalaszków niech sobie znajdzie koleżankę, albo babcię. Albo psa.

— Ciekawe, co u Dyzia — zainteresowała się mama. Po raz kolejny obudziło się we mnie podejrzenie, że potrafi czytać w myślach. — Biedna psina.

— N00... cóż, wcale nie taka biedna... Tu nie wolno parkować! — uprzedziłem jej zamiar, wskazując ustawiony przed sklepem znak zakazu parkowania i postoju. Krzyś przestał się boczyć i spojrział na mnie z podziwem.

17

— Przecież widzę — westchnęła mama. — To gdzie mam stanąć, pod barem?

Wzruszyłem ramionami. Kto tutaj w końcu jest kierowcą? Ostatecznie zaparkowaliśmy na tyłach sklepu, tuż przy jakiejś odrapanej budzie z zakratowanymi oknami. Upewniłem się, że nie blokujemy metalowych drzwi, spojrzałem na opla i zmartwiałem. Maskujące wgiętą blachę błotko wyschło i odpadło niemal w całości. Katastrofa...

Z ciężkim sercem dogoniłem mamę, idącą z ochoczo podskakującym Glutem. Przejdą mu te podskoki, gdy zacznie przymierzać spodnie. Już ja go znam.

Obok wejścia wisiała czerwona skrzynka pocztowa, więc malec zażądał listu.

— Teraz nie będę grzebała w torebce.

— Ale...

— Jak będziemy wychodzić! — Mama na widok kręcących się tam i z powrotem ludzi dostała wypieków.

— Jak to?

— Tak to — wtrąciłem, popychając go w stronę wejścia. Sklep Wszystko dla Pani i Pana miał dwa piętra i...

— Ruchome schody! — Krzyś wyrwał rękę z uścisku, po czym pobiegł ku sunącym w górę i w dół stopniom. Ten zasmarkaniec przynosi wstyd całej rodzinie. Pognałem za nim.

— Zaczekaj, bęc wale, nie ten kierunek!

— Juhuuu! — krzyknął w odpowiedzi, wskakując na schody zjeżdżające w dół. Zanurkował pod

łokciem wysokiego chłopaka w porwanych dżinsach, wytrącił jakiemuś rudemu

18

czupirađu kolorową reklamówkę z dłoni i zaczął przebierać w miejscu nogami. Jak na starodawnej komedii.

Nie byłoby w tym niczego strasznego, gdyby Glut nie postanowił dać upustu fantazji. Najpierw wykrzywił się straszliwie, potem wybałuszył oczy i zaczął udawać pawiana, podskakując, drapiąc się po głowie i plując dokoła. Starał się przy tym nie zjechać, więc od czasu do czasu wieszał się na którymś z klientów.

— Czyje to dziecko? — zapytał ktoś oburzonym głosem.

— Wybrudził mi bluzkę!

— A ochrony w ogóle nie widać, jak potrzebna...

— Krzysieńku! — ryknęła wreszcie mama, rumieniąc się po uszy. — Natychmiast proszę z powrotem! — Pod tą grzecznie wykrzyczaną prośbą kryła się rozpacz rodzicielska. Tak przypuszczam, bo Glut zachował się jak zwierzak wypuszczony z klatki. Ojca przy tym nie było, rzecz jasna, a szkoda. Jego pupilek właśnie pokazał rogi.

— Nieee! — odpowiedział beczelnie, więc mama kiwnęła głową, żebym się tym zajął. Trzeba tak było od razu.

— Sekund pięć — uśmiechnąłem się. Wjechałem na piętro i zaszedłem Gluta od góry.

— Puszczaj! — jęknął, czując żelazny uścisk mojej dłoni na nadgarstku.

— Chyba żartujesz, pacanie! Nie widzisz, jakiego z siebie zrobiłeś... O, w mordę!

Tego mi jeszcze brakowało do szczęścia. Na dole, najwyraźniej czekając na nas, stał pracownik ochrony. Wypisz, wymaluj jak ten, któremu jesienią zwiałem podstępnie

19

w supermarkecie Corrida. Zmienił pracę, czy jak? Chyba że dał się sklonować.

— No i co, jesteście sami? — zapytał rezolutnie.

Skóra na mnie ścierpła, bo to jednak był on, bystry koleś. Prawie tak bystry jak odkurzacz. Dla kamuflażu wydałem policzki i zmarszczyłem czoło.

— Sassa... ami — wysyczałem niczym tracący powietrze balon.

— Słucham? Powiedziałaś sami czy salami? — zaniepokoił się ochroniarz. Spojrzał na mnie uważniej. Musiałem nabrać więcej powietrza.

— Ssssami... — omal się nie oplułem. — Sssorry... — zobaczyłem nadbiegającą mamę. — Nie sami.

Odetchnąłem z ulgą, tracąc przy okazji baloniaste rysy twarzy Krzys zachichotał, a ochroniarz pochylił się nade mną.

— Dziwnie teraz wyglądasz — ocenił. — Czy ja cię skądś znam?

— Wypraszam sobie przesłuchiwanie moich dzieci! — mama wcisnęła się przed wystraszonego mężczyznę. — Przecież nic się nie stało!

— Ależ proszę pani, czy ja coś mówię? — bronił się ochroniarz. — Ja tylko tak, służbowo.

Mógł sobie gadać, na mamę to nie działało. Przez parę sekund nad czymś myślała, a potem...

— Wpatrzyłam świetną koszulę — rozentuzjasmowała się nagle, aż jej oczy rozbłyły

— Dla kogo? — zapytaliśmy obaj jednocześnie.

20

— Dla obu! — Machnęła torebką w bliżej nieokreślonym kierunku.

Zbity z tropu ochroniarz odszedł wolnym krokiem, drapiąc się w czoło długopisem. Włączonym, mam nadzieję.

No i się zaczęło. Obejrzeć, wybrać, przymierzyć...

— Fatalnie leży — kręci głową mama.

— Wspaniale leży — protestuję.

— Nie! — i znów zaczyna się oglądanie, wybieranie, przymierzanie, kręcenie głową. W nieskończoność, tak że na długo utraciłem poczucie rzeczywistości.

Jakiś czas później przy dziale z butami zobaczyłem Zuzalka w towarzystwie matki i dwóch ciotek. Wyglądał, jakby mu ktoś umarł. I ja narzekam na los! Na wszelki wypadek starałem się tak

manewrować, by się na nikogo więcej nie napatoczyć.

Po prawie dwóch godzinach mąk i katuszy spoceni i obładowani jak wielbłądy wyszliśmy na placyk za sklepem. Podeszliśmy do samochodu.

— Dlaczego auto jest otwarte? — zdziwił się Krzyś. Mama zajrzała do środka.

— O matko, ktoś nam buchnął radio — szepnęła omdlewającym głosem.

Doznałem nagłego olśnienia.

— I zrobił wgniecenie w drzwiach — dodałem, łapiąc mamę za rękę. — Chamstwo w biały dzień, nieprawdaż?

Rozdział 2.

Lopez

— Jasiu, nie przygotowałeś się na dzisiaj? — słodki głosik biologiczki wyraźnie kontrastował z wibrującym przed moją żrenicą ostrym jak u ptaka pazurem. Wiedziałem, co taka słodycz oznacza, przez jakiś czas usiłowałem przecieżyć chodzić z dwiema dziewczynami naraz, więc stałem się kimś w rodzaju specjalisty od kobiecej psychiki.

Oczyrna wyobraźni zobaczyłem siebie odbierającego w czerwcu świadectwo i się wzdrygnąłem.

— Yymp... przygotowałem się, naturalnie — starałem się nie patrzeć jej w oczy. — Rzecz jasna, ile w mojej mocy...

— Skoro tak, dlaczego zwlekasz z odpowiedzią? — zapytała i cofnęła palec. Była sadystką na odwyku, tak przypuszczam.

Przełknąłem ślinę, spoglądając znacząco na Grzesia Zu-zalka, ale poznałem od razu, że Zuzal też nic nie wiedział. Dobrze, że przynajmniej było mu przykro. Chociaż niewykluczone, że się smucił po tym, jak wyszydaliśmy jego nowe buty

— No bo... — bąknąłem. — No bo, prawdę mówiąc, eee... przez te zabiegi nie zrozumiałem pytania i... nie zrozumiałem pytania, jak już wspomniałem, proszę pani — spróbowa-

22

łem wzbudzić pedagogiczną litość. Polegało to, ogólnie mówiąc, na żałośnie bełkotliwym formułowaniu wypowiedzi. Kobieta łyknęła przynętę.

— Zabiegi?

— No... psychiatryczne! — palnąłem.

Klasa ucichła, nadstawiając uszu. Jak do tej pory pozwalali mi tonąć bez przeszkód. Moja popularność wzbudzała w nich najgorsze instynkty

— Mam takie zabiegi, że... — na moment straciłem wątek, ale w porę doznałem olśnienia. —

Pamięta pani, co było w październiku? — Z wyrazu twarzy biologiczki odczytałem, że nie bardzo wie, o czym mówię. — Jak mnie rozstrzelali na miejscu?

— Niech pani nie wierzy, tylko go lekko drasnęło! — nie wytrzymał Ślipek, napinając baloniaste bicepsy. — On tak specjalnie, żeby go żałować! — popatrzył na mnie przekrwionymi oczami głodnego byka.

— A może sam się nawet postrzelił — pisnęła Beata Bo-dak, która nie odzywała się do mnie od kilku miesięcy, pewnie z zazdrości o Anię. — To taki postrzeleniec, że niewykluczone...

— Cisza! — pani Wioleta w porę złapała wymykające się jej z rąk cugle dyscypliny —

Przypominam o zasadach — stuknęła palcem w przypięty obok tablicy kolorowy plakat, zatytułowany: „Jak słuchać, by być słuchanym”. — Jeden mówi, reszta milczy To po pierwsze, a po drugie...

Przerwała, ponieważ drzwi pracowni biologicznej otworzyły się z trzaskiem i w progu stanęła nasza wychowawczyni

23

oraz zagorzały wróg w jednej osobie, czyli pani Halina Palik, funkcjonująca wśród nas jako Tyczka.

— Dzień dobry, przyprowadziłam kogoś, pani Wioleto — machnęła ręką, chcąc wyciągnąć tego kogoś zza pleców. No i stało się nieszczęście.

Tyczka zapomniała, że tuż obok drzwi stoi koścista pomoc naukowa, czyli Chuderlak. Obwieszony paskami papieru toaletowego plastikowy szkielet zachwiał się pod wpływem uderzenia i wylądował w ramionach przerażonej Palikowej.

Przez chwilę trwali w nieruchomym tańcu. Ona z martwo wybałuszonymi oczami i on, jej bezoki partner, z wetkniętym między zęby niedopaloną papierosem i przylepioną do czaszki gumą do żucia. Zaskakująco do siebie pasowali.

Klasa była czujna. Kilka rąk wyskoczyło w górę, by uwiecznić to wydarzenie aparatem fotograficznym z komórki. Wiedziałem, że już dzisiaj zdjęcia znajdą się w Internecie, a jutro obiegą cały świat. Paparazzi¹¹ z Trombolina mieli swoje pięć minut.

— Pani pozwoli — odchrząknął stojący za Palikową ciemnowłosy chłopak w pomarańczowej koszulce i zielonych spodniach. Z cyrku uciekł, czy jak?

— T-to jest w-właśnie... — wy stękała wychowawczynie, obserwując „cyrkowca” ustawiającego Chuderlaka na miejscu. — To nowy uczeń, Patryk Ligurski — błysnęła bielą zębów

— Rzeczywiście, fajny — szepnęła siedząca za mną Ania Piętak. Obejrzałem się gwałtownie.

¹¹ Paparazzi — fotoreporterzy wyspecjalizowani w robieniu kompromitujących zdjęć znanym osobom.

24

— Mówiłam do niej... — Ania kiwnęła głową w stronę

Beaty.

— I co z tego — mruknąłem zniesmaczony. Całą radość z przerwania lekcji zmała bolesna uwaga mojej dziewczyny. — Jak taki fajny, to dlaczego mu się nie rzucisz na szyję?

— Wariat!

— Wariatka! — odpowiedziałem równie szybko jak ona.

— Nienawidzę cię! — grzmotnęła mnie w plecy

— No i dobrze — burknąłem pod nosem do Zuzalka. — Pies z tobą tańczył.

Ten zamrugał nieprzytomnie:

— Co? Jaki pies?

— Każdy — zmrużyłem oczy. Dopóki się nie uspokoje, Zuzal miał u mnie przechlapane.

Wszyscy mieli u mnie przechlapane, włącznie z tym nowym, kolorowym lalusiem.

Tymczasem Tyczka skończyła krótką naradę z panią Wio-letą i spojrzała na nas z udawaną przyjaźnią.

— Zaopiekujcie się kolegą jak należy — mówiąc, położyła rękę na ramieniu stojącego w skromnej pozie chłopca.

Już ja się nim zaopiekuję.

— Janku?

Poderwałem się dźgnięty przez Zuzalka. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że mówi do mnie.

— Ja, proszę pani?

— Przesiądź się do pierwszej ławki, Patryk chce siedzieć z tobą.

Zbaraniałem.

25

— Ale Ogóras siedzi sam... znaczy się Jurek Mętlik, więc może by tak ich razem...

— Jerzyk nie jest całkiem... zdrowy i nie powinien z nikim siedzieć, to nie podlega dyskusji — uśmiechnęła się Tyczka, lokując Ligurskiego w ławce przed biurkiem. Nikt nigdy tam nie siadał, podobno ta ławka była przeklęta przez jakiegoś zmarłego przed laty ucznia czy kogoś ze szkoły. Przez klasę przebiegł złośliwy chichot. Zdawało mi się, że wśród wielu innych głosów dosłyszałem chrapliwy bas Piotra Ślipka, zwanego Bykiem. Mojego dzisiejszego przeciwnika i napakowanego idioty w jednej osobie.

— Nie zostawiaj mnie — Zuzal uchwycił się mojej koszuli. — Zaraz mi dosadzą jakiegoś bęcwała.

— Jak już robimy przemeblowanie — pani Wioletka klasnęła w dłonie — to Podleski pójdzie do Indyczaka, a Hulewicz do Zuzalka. No jazda, przesiadać się!

Ziściły się najgorsze Zuzalowe przecucia, Szczęsny Hulewicz, bliżej znany jako Skunks, miał nad sobą nadzór kuratora sądowego i chuligańską przeszłość. Pewnie przyszłość również.

Przenieśli go w styczniu, zaraz po Nowym Roku, z przeznaczonego do likwidacji Gimnazjum numer 4 imienia dawniejszego trombolińskiego poety, Ewarysta Lischke.

Szczęsny Hulewicz, wielki rudy facet, mieszkał gdzieś na Kaczych Dołach i od razu zabrał się za

przerabianie chłopaków na szalikowych kibiców naszego Tornada. Na wczoraj mieliśmy umieć hymn i dziesięć zaśpiewek. Właśnie przez to dzisiaj muszę się bić ze Ślipkiem.

26

Wyszarpnąwszy rękę z uścisku zrozpaczonego Zuzalka, wrzuciłem piórnik do plecaka, zgarnąłem zeszyt wraz z podręcznikiem i ociągając się, usiadłem w feralnej ławce. Ślipek może mnie śmiało zabijać, to niczego nie zmieni.

— Cześć — Ligurski wyciągnął dłoń. Udałem, że nie zauważyłem.

— Nie żegnam się — rzuciła Palikowa, spoglądając na mnie. — Za dwie godziny i tak się spotkamy. A wtedy pogadamy o wycieczce. I proponuję oczyścić tego kościotrupa, wygląda nieestetycznie, koleżanko.

Wyszła, odprowadzana bezmyślnymi spojrzeniami kompletnie zaskoczonych ludzi. W życiu byśmy nie pomyśleli, że Tyczka zechce nam zrobić wycieczkę gdzie indziej niż na cmentarz przed pierwszym listopada.

— No co jest? — mój nowy sąsiad nie dawał za wygraną. — Nie przedstawimy się sobie?

— Parszywy gnojek — syknąłem. — Muł!

— Tak? — usta zadrżały mu w hamowanym uśmiechu. — A ja Patryk, ale mówią na mnie Lopez, tak jakoś wyszło w poprzedniej budzie — wystawił język i młasnął. Zupełnie jak pies.

Miałem chęć urznąć mu ten jęzor, ale nie miałem niczego pod ręką. Linijka była za tępa.

— ... do ciebie, Racyniak — przez opary gniewu przedarł się głos nauczycielki.

— Słucham? — spościłem się z wrażenia.

— Pół minuty na odpowiedź — pani Wioletka wydeła wargi, demonstrując błyszczącą pomadkę.

27

Chciałem się przyznać, że nie znam pytania, więc — z logicznego punktu widzenia — nie mogę udzielić na nie odpowiedzi. Na szczęście, zanim to wykrztusiłem, zaczęła się przerwa i biologiczka dała za wygraną.

Widocznie ławka nie była aż tak przeklęta, jak mówią. Jeżeli przeżyję pojedynek ze Ślipkiem, zapytam Kostka, o co chodzi z tym przekleństwem.

Chciałem dyskretnie dać nogę i poszukać Ptaka albo tego cwaniaka Plomby, ale nie było mi dane. Jeszcze w drzwiach pracowni czyjaś mocna ręka wyciągnęła mnie na korytarz i ustawiła pod gablotą ze zdjęciami szkolnych prymusów. Zapewne pięknie się z nimi komponowałem.

— Masz bułkę? — zapytał Skunks, przyglądając się z uznaniem Slipkowi rozgniatającemu na ścianie moją osobę. Cuchnęło mu z ust na pół metra.

— Co?

— Bułkę — westchnął Skunks. Nadal cuchnęło mu z ust. Zjadł coś ze śmietnika?

— Jesteście głodni? -- Szarpnąłem ciałem, jednak bezskutecznie.

— Bułkę do kotleta, kretynie — zarechotał Szczęsny. -Bo Piotrek robi z ciebie mielonkę!

Wyciągnął dłoń, przybijając ze Ślipkiem „piątkę” w geście tryumfu. Skorzystałem z okazji, wskakując między snujących się korytarzem gimnazjalistów.

— I co? Sami jesteście kretyni! — zawołałem z daleka. — Śmierdzie!

Ślipek schylił głowę i ruszył w moim kierunku, jednak

28

Hulewicz przytrzymał go za ramię, kręcąc głową. Wiedziałem, o co chodzi: nie warto się wysilać, gdy ma się ofiarę na widelcu. Pojedynek to sprawa honorowa, nie mogłem im zwiewać w nieskończoność.

Niemal do końca długiej przerwy ukrywałem się w bibliotece za płachtą sobotnich „Wieści Trombolina”, dopóki pani Luiza nie zorientowała się, że wydłubałem w gazecie dwa otwory obserwacyjne.

— Same się zrobiły, ze starości, proszę pani — wymamrotałem, kuląc się pod jej spojrzeniem.

— Dlaczego kłamiesz, przecież to całkiem nowa gazeta — bibliotekarka załamała ręce.

— Nowa? Pani żartuje — wyprostowałem się. — Była nowa, ale w sobotę.

Pani Luiza zatrzepotała rzęsami i zdjęła okulary.

— Chłopaku bez serca, czy do ciebie nie dociera, że skoro poniedziałkową, wczorajszą i dzisiejszą

czyta pan dyrektor Balezy, to ta jest najnowsza? Pojmujesz?

— Nie bardzo — wstałem z ociąganiem. — W czytelni powinny być świeże gazety, według mnie. A może ma pani tutaj myszy? Dziury wyglądają na mysie...

— Ja cię kiedyś, Racyniak, wypiszę z biblioteki, zobaczysz! — jęknęła. — Na co mi ta zgryzota? — zapytała samą siebie. — Przecież w innych bibliotekach...

Spojrzałem na zegarek, zostało mi jeszcze pięć minut. Akurat zdążę wskoczyć do kibelka i wrócić pod pracownię geografii. Wyszedłem z biblioteki, nie oglądając się za siebie.

29

W toalecie przywitał mnie specyficzny smrodek i znajo- j my głos.

— ... a może coś o zagrzewaniu do walki? — Nad umy- i walką stał Jacek Plomba, szorując dłonie.

— O, znalazł się nasz bohater — uśmiechnął się szeroko na mój widok.

— Czyżbym się zgubił? — spytałem, mrużąc oczy

— A nie? — Plomba zakręcił wodę i wyjął z kieszeni za- j ostrzoną zapałkę. Poślinił końcówkę, a potem zaczął nią czy- ! ścić paznokcie.

Opatrzony hasłem „Twierdza zadumy — wałą tu tłumy” drzwi jednej z kabin otworzyły się na oścież. Na sedesie siedział mój najlepszy kumpel, Konstanty Ptak, z wyszmelco- wanym zeszytem na kolanach.

— Cześć, Cyna — powitał mnie tonem króla mającego przed sobą jednego z dworzan. — Dobrze, że jesteś, synu, bo czas nagli.

— To obrzydliwe — skrzywiłem się.

— Niby co? — spuścił wodę i podciągnął spodnie. — Ten zeszyt? To brudnopis — wyjaśnił, wzruszając ramionami. — Nie masz co grymasić, bo właśnie ratujemy ci życie — dodał tajemniczo.

Zrozumiałem, że coś się kroi. Żebym tylko wiedział, co.

Rozdział 3.

Pięć do zera

Przyznaję, że osłupiałem, gdy zobaczyłem Lopeza bezczelnie moszczącego się w mojej ławce.

— A gdzie Podleski? — warknąłem.

— Zamieniliśmy się — Lopez z uwagą przejrzał się w wyjętym z piórnika lusterku i poprawił palcami grzywkę. Nie dość, że cyrkowiec, to jeszcze baba.

Rozejrzałem się po klasie. Faktycznie, radośnie roztrajko- tany Podlec Maszkaron, od lutego mój etatowy partner na geografii, zaglądał właśnie do ucha Pauli Grązel, niby pod pretekstem podziwiania kolczyka.

— Karol — jęknąłem — czyś ty zgłupiał? Dlaczego się przesiadasz, czubku jeden? Przecież Maruszak nam kazał...

Musiałem przerwać, ponieważ geograf właśnie wszedł i pokręcił głową.

— Pan Maruszak, jeśli już — mruknął, kładąc dziennik na biurku. — Nie jesteśmy kumplami z wojska. Bynajmniej sobie nie przypominam, łobuzie.

— Ja tylko...

— Dobra, dobra — skrzywił się. — A teraz skupcie się, bo sprawdzam obecność... Hulewicz, co ty robisz Ślipkowi?

31

— Skubię go, psze pana, jak pan kazał! — wrzasnął rozpromieniony Szczęsny, po czym rozparł się w lekceważącej pozie. Przerażony Slipek wsadził głowę pod blat ławki.

Spojrzałem na twarz nauczyciela i czym prędzej usiadłem, z rozmachem trącając Lopeza łokciem pod żebro. Nawet nie pisnął.

— Skubiesz, powiadasz? — Pan Maruszak ziewnął dyskretnie.

Przeszyły mnie dreszcze. Znałem to ziewnięcie. Nawet odrobinę pożałowałem Skunksa, był z nami krótko i nie wiedział wszystkiego. Nie wiedział przede wszystkim, że właśnie zaczął się jego upadek.

— To chyba dozwolone, psze pana? — zaśmiał się beztrosko Hulewicz. — Znaczy się, skubanie.

— Otóż wiedz, że nie — padła zimna odpowiedź.

— Niby dlaczego? — nie ustępował Szczęśny. A właściwie, sądząc po minie nauczyciela, Nieszczęśny — To wolny kraj.

— Skoro to wolny kraj, dlaczego nie mogę normalnie prowadzić lekcji?

— A to już pana problem, psze pana.

32

Pan Maruszak wzruszył ramionami i przekartkował dziennik.

— Mówili ci już, Misiaczk, że ze mną się nie dyskutuje, nie dywaguje i nie prowadzi słownej korespondencji?

_ He? — nie zrozumiał Skunks. — I wypraszam sobie tego Misiaczka — dodał obrażonym tonem.

— No dobrze... chodź zatem z zeszytem. O ile posiadasz coś takiego na wyposażeniu.

— Nie jestem przygotowany — stropił się kibic Tornada. — Właśnie miałem zgłosić... eee... znaczy się, teraz zgłaszam!

Geograf zmarszczył czoło.

— Kto jest dzisiaj dyżurnym? — zapytał i znów ziewnął.

— Ja, proszę pana — wyciągnął rękę Zuzalek.

— Przypomnij koledze, kiedy zgłaszamy nieprzygotowanie.

— Nieprzygotowanie zgłaszamy w czasie sprawdzania listy obecności, zaraz po swoim nazwisku — wyrecytował Zuzal.

— No właśnie — nauczyciel rozłożył ręce. — A sprawdzałem obecność?

— N-nie — wybąkał Hulewicz. Na twarz wystąpiły mu różowe plamy

— To szoruj, bracie, do odpowiedzi — skwitował pan Maruszak.

Rudzielec prychnął lekceważąco. Podszedł do biurka, kołyszając biodrami, rzucił zeszyt i wsadził pokancerowane łapska do kieszeni. Przez klasę przebiegł szmer podniecenia.

33

— Do boju, Skunks! — podjudził Szczęśnego niejaki Dratwa, czyli Bolek Nitecki, próbujący wypełnić próżnię powstałą po tym bałwanie Gniteckim z Klanu Zaufanych¹².

Na swoją zgubę Skunks dał się podjudzić.

— Proszę bardzo, ja się nie boję. Co na początek? — zapytał, pakując w usta pastylkę gumy miętowej. Jeżeli to nią się odświeżał, musiała być przeterminowana.

— Na początek podejdź do mapy fizycznej Europy...

— A która to? — rozejrzał się odpytywany

— Uczeń nie ma pojęcia o podziale map — ziewnął Maruszak. — Jedyńka, bracie! — skrobął w dzienniku.

Skunks wyraźnie się zaniepokoił. Nauczyciel wskazał właściwą mapę i kontynuował:

— Wiedząc, że w tufach wulkanicznych występują formy wietrzeniowe, podaj przykład krainy geograficznej, charakterystycznej dla danego zjawiska i zilustruj swoją wypowiedź...

— Co to są puffy, psze pana? — bąknął Hulewicz. Odpowiedzią było skrobnięcie wiecznego pióra.

— Znaczy się, takie te... że niby wulkaniczne? To chyba w Erłopie nie ma... co nie?

Skrobnięcie.

— Kapadocja — syknął Dratwa, z nosem w notatkach.

— Będzie to... Kłapa... doncja — wystękał Skunks niepewnie.

Skrobnięcie.

¹² Klan Zaufanych — uczniowska organizacja przestępcza, opisana w powieści Ptak, Cyna i pies sąsiadów.

34

— Chyba dalsze odpytywanie straciło sens — odprężył • geograf. — Pokaż no swoje notatki, przyjacielu.

Otworzył zeszyt Szczęśnego i zmarszczył czoło.

— Jedno wielkie niechlujstwo i bałagan — skrobął jeszcze raz. — Pięć do zera dla mnie, Hulewicz, co ty na to?

Szczęśny zamrugał nieprzytomnie, wyszarpnął ręce z kieszeni i połknął gumę.

— Jak to, aż p-pięć p-pał? — załkał. — Chyba nie będzie pan ich brał pod uwagę?!

— Oczywiście, że będę. Ale to już twój problem, możesz usiąść.
Hulewicz wrócił do ławki, powłócząc nogami. To był doprawdy nierówny pojedynek. Dopiero teraz do mnie dotarło, że nie mam co liczyć na litość po lekcjach.
Tematem zajęć były minerały i skały budujące nasz kontynent. Pan Maruszak znikł na zapleczu w poszukiwaniu stosownych próbek, więc Lopez skorzystał z okazji, by się zakolegować.
— O co ci chodzi? — szepnął. — Masz coś do mnie, to mów.
— Urwę ci łeb po lekcjach — zgrzytnąłem. Lopez zafrasował się nieco.
— O ile mi wiadomo, to po lekcjach masz się bić ze Ślipkiem. Dasz radę się wyrobić do obiadu?
— Nie kpij, laleczko, podrywasz moją dziewczynę — wbiłem w niego wzrok. Miałem nadzieję, że spojrzenie było stalowe.
Ligurski parsknął śmiechem i zapytał, naśladując Skunksa:

35

— A która to?
— Obejrzyjcie skałki uważnie. Każda ma przyklepioną etykietkę z informacją — geograf wrócił objuczony pokaźną skrzynią.
Kamienie poszły w ruch, a ich śladem chichoty i głupie komentarze:
— Oo, łupek! Chyba miało być „głupek”?
— Jak to dolomit? Przecież mój dziadek ma na imię Dolomit! A na drugie Bonifacy...
— Pewnie Dobromir, czubku. I nie ma takiego imienia — Bonifacy!
Tuż przed dzwonkiem skrzynia zapełniła się ponownie.
— A to co? — nauczyciela zaniepokoił widok jednego z minerałów. — „Buraku, Tornado cię wymiecie jak wszystkie śmiecie!” — odczytał napis, nabazgrany czerwonym markerem na połyskującej powierzchni kawałka gipsu. — To jakaś groźba, Hulewicz?
Skunks poderwał się, o mało nie przewracając ławki wraz z siedzącym w niej Bykiem.
— To nie ja, psze pana! — grzotnął się pięścią w pierś. — Przysięgam!
— Przysięgać będziesz u dyrektora — Maruszak wskazał palcem drzwi. — Idziemy.
— Ale...

Zabrział dzwonek, zagłuszając protesty szalikowca prowadzonego przed oblicze Walezego. Wybiegliśmy na przerwę.

— Janek!

36

— Zaczekaj, Cyna!

Odwróciłem się. Tuż za mną stał nerwowo oblizujący wargi Lopez, a dwa kroki za nim Ania Piętak. Patrzyła na mnie z wyrzutem. Wybrałem Ligurskiego.

— Streszczaj się — szarpnąłem go za plecak. Posmutniała Ania została w tyle.

— Ty nic jeszcze nie wiesz — zaczął — ale ja też jestem w DERKI13...

Tak mnie to zaskoczyło, że stanąłem jak wryty, co było niewybaczalnym błędem na wypełnionym nastolatkami korytarzu. Jakiś biegnący za mną osobnik uderzył mnie w plecy i rozpaczliwie uchwycił się mojego plecaka, by nie upaść.

Straciłem równowagę. Mignęła mi tylko zdumiona twarz Lopeza, po czym ja i tamten nieuważny idiota runęliśmy na podłogę.

— Ręka... Przygniatasz rękę — miauknął boleśnie ślepiec głosem Winiucha. Tuż obok mojego lewego ucha szurnęło kilka par ubłoconych adidasów.

— Ja? — Wstałem, otrzepując się. — Ktoś się po prostu po tobie przeszedł, Marcin, jak sobie leżeliśmy — wyjaśniłem. Na wszelki wypadek wycofaliśmy się pod okno.

— Aha, to ja spadam — sapnął mój sąsiad z dzieciństwa. — Trzymaj się, Cyna, i nie rozpowiadaj, że mnie widziałeś! — klepnął mnie przyjacielsko.

— Ukrywasz się?

13 DERKI— Detektywistyczna Ekipa Radykalnie Konsekwentnych Intelktualistów; tajna organizacja założona przez Konstantego Ptaka i Jacka Plombę w celu tropienia szkolnych przestępców

37

— No, tak jakby — pochylił głowę i naciągnął na nią bluzę. Teraz dopiero rzucał się w oczy, ale to już jego sprawa. W końcu dał się ponieść tłumowi.

Rozejrzałem się za Lopezem, ale gdzieś go wcięło. Nachodzą mnie nieraz podejrzenia, że po naszej szkole krąży niewidzialna czarna dziura, która od czasu do czasu kogoś wsysa, a potem niespodziewanie wypluwa.

Począłem pod pracownię polonistyczną, czując narastającą niechęć. Nie do przedmiotu, ale do naszej wychowawczynie z piekła rodem. Pewnie ma w domu szmaciane laleczki z twarzami swoich uczniów i codziennie w którąś z nich wbija długą szpilę. Przypuszczam, że przeważnie wybiera mnie.

Pod drzwiami klasy stała Ania w towarzystwie Natalki Omiłko.

— Jacek cię szuka, Cyna — uśmiechnęła się uwodzicielsko Natalka. Ubrała się dzisiaj w czerwone sztruksy i czerwony, robiony na drutach sweterek, spod którego wystawał wielki kołnierz białej koszuli.

— Czego chce? — starałem się jej nie przypatrywać zbyt nachalnie.

— Sam ci powie — mrugnęła do Ani. — Ja mam tylko przekazać, żebyś się nie poszedł bić, zanim nie pogadacie. Przyszłam, bo mi po drodze do pani pedagog — posłała nam obojgu buziaczka i poszła, podskakując niczym Czerwony Kapturek. Brakowało tylko koszyczka w jej ręku oraz wilka w krzakach.

Spróbowałem wyminąć Anię, ale zablokowała mi drogę.

— Lekcja się zaczęła — wycedziłem, wskazując nadciągającą równo z dzwonkiem Tyczkę.

38

— Wiem, nie jestem pierwszy raz w szkole... — No to może wpuścisz mnie łaskawie do klasy — zaproponowałem sucho. — Chyba że chcesz przeprosić?

— Przeprosić? Ja?! Coś ci się, Cyna, pomyliło. — Z reguły zwracała się do mnie po imieniu. Ale nie dzisiaj. Zresztą, mam to w nosie, niech się dalej mizdrzy do Lopeza.

— To czego chcesz? — Nie miałem nastroju do przekomarzania się, gdy Palikowa była tuż-tuż.

— Musisz zabrać psa — powiedziała szybko.

— Psa?

— Dyzia — wyjaśniła. — Nie mogę trzymać go w domu, bo okazało się, że mama ma alergię na psią sierść.

Podrapałem się po nosie. Nie podobała mi się perspektywa wyprowadzania pieska na poranne spacerki

— A dlaczego ja?

— Bo mamy tylko ciebie — rzuciła stłumionym głosem i wbiegła do klasy, wyciągając z kieszeni niebieską płócienną chusteczkę. Nie wiedziałem, że ktoś jeszcze takich używa.

— Anka, zaczekaj! — krzyknąłem.

— Racyniak, przestań się wydzierać. — Palikowa wbiła mi paznokieć w plecy. — Bo cię posłę do dyrektora.

Dyrektor Balezy cieszy się dzisiaj ogromną popularnością, pomyślałem i spuściwszy uszy po sobie, pomaszerowałem prosto do ławki. A tam już czekał na mnie... Ligurski. Na bank skończę w wariatkowie.

Rozdział 4.

„... a śmierć popatrzy z wysoka...”

— Ty cwaniaku — grzmotnąłem Lopezem plecakiem w głowę. — Ledwie się pojawiłeś i już jesteś w DERKI? Ja musiałem krew przelewać, żeby się do nich dostać, a ty...

— Bo ja — nachylił się i ściszył głos — mam coś ekstra, kapujesz Cyna?

— Nie kapuję — odpowiedziałem szczerze, ignorując groźne spojrzenie Palikowej. — Co ty możesz mieć, cyrkowa przybłędo?

Zwinął dłoń w trąbkę, a potem dmuchnął mi w ucho dwa słowa:

— Luneta wisielca!

— Co? — podskoczyłem, bo miałem wrażenie, że pękł mi bębenek. — Jaka luneta?

— Racyniak, myślałeś kiedyś o szkole specjalnej? — zagaiła Tyczka, smarując coś pospiesznie w

notesie.

— Dlaczego? — bąknąłem, zagłuszony szyderczym śmiechem klasowego towarzystwa. Ale wychowawczyni domyśliła się, co powiedziałem.

— Ponieważ twoje zachowanie cię tam kwalifikuje!

— NoboLigurskinaplułmidoucha...

— Stałeś się również donosicielem? Bardzo nieładnie —

40

dsumowała. — Mieliście na dzisiaj przygotować próbki noetyckie — zmieniła temat, przyprawiając mnie o zadyszkę. Że ja jeszcze w ogóle żyję, to zagadka biologiczna.

Przez wczorajsze wydarzenia w sklepie i kradzież radia zupełnie zapomniałem o odrobieniu lekcji.

Byłem pewien, że za chwilę zostanę wywołany do odczytania swojej pracy Nie ja jeden się tego obawiałem, jak się okazało.

_ Miała pani nam powiedzieć o wycieczce — podniosła rękę któraś z dziewcząt.

— No właśnie, wycieczka!

— Dokąd jedziemy?

— Karaiby albo Las Vegas! — rozległy się podniecone głosy. Było to typowe zagranie dla odwrócenia uwagi, ale tym razem nieskuteczne.

Wychowawczyni uśmiechnęła się pogardliwie, podeszła do okna i obróciła klamkę.

— Zanim do tego dojdziemy, wpuśćmy nieco świeżego powietrza. Zresztą orłów tutaj nie mamy, więc nie ma obawy, że wyfruną. Skoro zaś nikt się nie zgłasza do popisów literackich, poproszę na środek... — zawiesiła głos, spoglądając na mnie znacząco.

— Ja mogę, psze pani! — wyrwał się niespodziewanie Skunks.

— Poproszę na środek... — powtórzyła Tyczka, kiedy dotarła do niej sensacyjna skądinąd deklaracja Hulewicza. — Ty? Przecież... — chyba ją zatkało. Resztę klasy również.

Rudy deklamator wylazł z ławki, siejąc wokół złe spojrzenia, i stanął przed tablicą.

41

— Wiersz nosi tytuł Jedno słowo. — Ukłonił się Palikowej i szurnął stopą, niczym na szkolnej akademii.

— Piękny tytuł — pochwaliła polonistka. — Intrygujący. Pewnie o niewinnej młodzieńczej miłości, prawda?

— No, może i tak — spieszył się Skunks. — Ale właściwie nie za bardzo. To co, mogę?

Tyczka dała znak, że może. Szczęsny nabrał powietrza i wyrzeźbił:

— Jedno słowo, napisał Szczęsny Hulewicz.

— To pięć słów, stary! — policzył jakiś twardogłowy koleś ku ucieście pozostałych.

Palikowa syknęła, więc szmer ucichł natychmiast. Skunks zaś mówił, gestykulując wymownie:

— Jest taka drużyna, z którą nikt nie zaczyna... — Zacisnął potężne pięści.

— Drużyna, co kiedy gra, to jedno imię ma... — Wystawił w górę palec, żeby nie było wątpliwości.

— Przy imiu tym inne bledną, bo słowo to jest jedno. Zapłacić musi głową, kto opluć chce to słowo... — Przejechał kantem dłoni po gardle, po czym splunął na podłogę, nie zważając na nieśmiałe protesty Palikowej. Trzeba mu przyznać, że pluć potrafi znakomicie, soczyście i od serca.

— Kochamy je całą gromadą, a słowo to brzmi TORNADO! — Rozwinął zdjęty z szyi szalik i wznosił go nad głowę. Slipek wraz z Dratwą zawyli zachwyceni.

— Dziękuję, Hulewicz, myślę, że wystarczy tego podwórkowego bełkotu. — Tyczka klasnęła w dłonie, chcąc przerwać chuligańską prezentację.

42

■
— Dopiero się rozkręcam, psze pani — burknął Skunks. — Teraz będzie najlepsze! Choć wróg najgorszy czuwa, to jego też opluwam...

Splunął soczyście, tuż obok butów polonistki.

43

— Sorry, psze pani, wymaskło mi się — wyszczerzył się przepaszająco i mówił dalej — I to

zdradzieckie słowo, opluwam słowo owo...

— Ani się waź! — warknęła rozdrażniona kobieta. Skunks przełknął ślinę.

— Zatlukę podłą świnię, niech w pojedynku zginie, a śmierć popatrzy z wysoka zdrajcowi wprost do oka! Koniec!

Uklonił się i potruchtał na miejsce. Zapadła cisza.

— O kim on mówił? — zaciekawił się nagle Lopez. Jego szept zabrzmiał jak bicie kościelnego dzwonu w niedzielne południe.

— O mnie — wykrztusiłem. — Nikt ci jeszcze nie opowiedział?

— Hulewicz — westchnęła Tyczka, ocierając pot z czoła. — Powinieneś zgłosić się na kompleksowe badania psychologiczne, dobrze ci radzę.

— To samo mi powtarza kurator, ale ja nie mam kompleksów, psze pani!

— Nie wątpię...

Powiało chłodem, więc wychowawczynie czym prędzej zamknęła okno i zadrżała. Coś mi mówiło, że nie od wiatru.

— Sama nie wiem, jaką ci wystawić ocenę... — uniosła brwi. — Ten... hm, ten wiersz jest pełen wulgaryzmów, neologizmów, ba, idiotyzmów nawet. Dopracuj go nieco, dobrze? Porozmawiajmy zatem o wycieczce — zwróciła się do klasy pospiesznie, jakby chcąc spuścić na poezję Skunksa gęstą zasłonę zapomnienia. Prawie jej się udało.

44

— Opowiedz, bo mnie ciekawość zeżre — nie dał za wygraną Lopez.

— A co z lornetką wisielca? — odbiłem piłeczkę.

— Lunetą — sprostował. — Ale o tym powiem na zebraniu. Coś ty nagadał na to ich Tornado?

— Jedno słowo, sam słyszałeś. Kazali nam nauczyć się hymnu kibiców... — westchnąłem. — Pokiełbasilo mi się i zamiast: „Wszyscy kibice chromolą Potemkowice!”, zaśpiewałem „kochają Potemkowice!”, łapiesz? Kometa Potemkowice to odwieczny wróg, wręcz obsesja, zwalczają się jak mogą...

— Spirala nienawiści?

— No właśnie — przytaknąłem, nie rozumiejąc, co ma na myśli. — Spirala i parabola!

— Wszystko jasne — widać, teraz on nie rozumiał przenośni. Zaczynałem go lubić.

Ktoś zastukał do drzwi i nie czekając na zaproszenie, wściubił głowę do środka. Był to woźny, pan Stefan Wąsik, bardzo ponury typ.

— Jest uczeń Racyniak Jan? — spytał gburowato.

— A o co chodzi? — zainteresowała się wychowawczynie.

— Policja po niego.

— Co?! — Serce zatrzymało mi się na moment, a — zdawałoby się, że zajęta omawianiem wycieczki — klasa zabu-czała z satysfakcją.

— Chwileczkę, panie Stefku, pójdziemy razem. Jestem ogromnie ciekawa, co nowego zmalował. To wyjątkowo dziwny uczeń, z przestępczymi inklinacjami — pokiwała głową ze

45

smutkiem. — Powtarzam więc: kto może, niech do końca tygodnia przyniesie sto pięć złotych.

Wyjazd w poniedziałek, zbiórka na dworcu szósta trzydzieści. Zaraz wracam.

Po drodze zostałem poinformowany o czekającym mnie ciężkim losie pensjonariusza zakładu poprawczego.

— Będziecie wraz z Hulewiczem codziennie szorować toalety, a — możesz mi wierzyć — fiołkami tam nie pachnie.

— Ufam pani wieloletniemu doświadczeniu — mruknąłem złośliwie. — Jako pedagoga — dodałem, widząc rysujące się na jej obliczu podejrzenie.

— I nie myśl, że potem tak łatwo żyć w społeczeństwie, prawda, panie Stefku?

— A skąd ja mam wiedzieć, pani profesor? Ja tu tylko zamiatam i zamki naprawiam — odrzekł woźny i nerwowo podkręcił wąsa. Odkąd opuściła go żona, pani Jola, przestał się golić, jednak na wyraźne polecenie Walezego pozbył się wiechciowatej brody Wąsy jednak pozostały. „Żeby nazwisko miało rację!” — żartował czasami.

W pobliżu tablicy poświęconej pamięci naszej wielce zafrasowanej patronki Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej natknęliśmy się na pana Ciopka, nadzorującego porządku w kąci pamięci.

46

— Skąd wzięłyście te kwiaty? — skrytykował układany przez dwie pierwszoklasistki bukiet. Miał rację, kwiaty wyglądały na mocno sfatygowane. Zdechłe, chciałoby się powiedzieć.

— Się podleje wodą z tabletkami od bólu głowy i ożyją — pojawił się zasapany Marcin Winiuch z butlą, wypełnioną mętną cieczą.

— Dzień dobry, pani Halinko. Cześć, panie Stefanie — wyprostował się młody matematyk. — A cóż to za pochód?

— Dzień dobry, panie Maćku. Życie wychowawcy nie jest usłane różami, mój drogi — westchnęła smutno. — Prowadzę delikwenta na policyjne przesłuchanie w obecności dyrektora. A może nawet prokuratora, kto wie?

— To takie sprawy, no, no! — Ciapek złapał się za głowę. — Zawsze powtarzam, że pół szkoły należałoby aresztować.

— Trzymaj się, Cyna — mrugnął do mnie Winiuch. — Będziemy ci przysyłać paczki do więzienia.

— Ja nic nie zrobiłem — podkreśliłem głośno. — Zdaje się, że to ty się dzisiaj ukrywałeś. Może to chodzi o ciebie?

— Chciałbyś — parsknął Winiuch. — Ja się tylko bunkrowałem przed pracą na rzecz szkoły, ale jak widzisz, złapali mnie i zaprzęgli. Poza tym jestem czysty i greczny jak aniołek.

Wyobraziłem sobie jego pryszczatą gębę w zestawieniu z aureolą i anielskim puchem. Omal się nie udławiłem śmiechem.

47

Zanim dotarliśmy do gabinetu dyrektora, pół szkoły już] wiedziało o moim aresztowaniu. Podobno obrabowałem jeden z Trombolińskich banków, zastrzeliłem prezesa i uciekłem za granicę.

Na miejscu czekał na mnie dzielnicowy, znany mi z widzenia starszy posterunkowy Lechosław Ciąćka, w towarzystwie podenerwowanego Walezego.

— Ehm, dzień dobry, panie dyrektorze — zagaiła Tyczka ciepło. — Już jesteśmy w wiadomej sprawie kryminalnej.

— A kto opiekuje się młodzieżą? — Walezy obrzucił ją chmurnym spojrzeniem. — Przecież jest lekcja!

— Ale przestępcze inklinacje mojego wychowanka...

— Pani dziękujemy — dyrektor niecierpliwie trzepnął palcami. — I inklinacjom również.

Tylko dobre wychowanie powstrzymało Palikową od trząś -nięcia drzwiami. Choć pewnie nie bez znaczenia było to, że drzwi miały solidne, skórzane obicie.

Dzielnicowy Ciąćka otworzył czarny notes z wytartym napisem „Kalendarz 1974”. Pozwalali im nosić przy sobie zabytki?

— Słuchaj, Janek, będę się streszczał, okej?

Wykonałem nieokreślony gest dłonią i zakaszlałem. Sumienie miałem czyste, więc skąd nagle kłopoty z oddychaniem? Walezy dyskretnie zagłębił się w stercie papierów.

— Przepraszam na wstępie, że tak w szkole — ciągnął dzielnicowy — ale nie ma kiedy. Szukamy tego waszego złodziejaska...

— Naszego?

48

— Tego, co skubnął wam wczoraj radio — pokręcił w powietrzu palcami.

— Aaa, tego — odetchnąłem.

— Otóż to — pan Ciąćka zerknął do notatek. — Twoja matka powiedziała wczoraj, że radio było marki „Power on--myślnik-off”. Sprawdziliśmy: nie ma takiej marki na rynku.

— Bo nie ma, proszę pana.

— Aha... — dzielnicowy włączył długopis. — Nie bardzo rozumiem.

— Miałem na myśli to, że mamie się pomyliło. Radio jest Philipsa...

— A „Power on” jest numerem serii czy czymś takim? — wszedł mi w słowo policjant.

— N00... czymś takim — zgodziłem się. Twarz dzielnicowego rozjaśniła się.

— To teraz pójdzie piorunem. Mamy paru podejrzanych na oku. W ciągu miesiąca lub dwóch dam znać, jak się sprawy toczą. Maksymalnie pół roku. I tyle — powachlował się czapką. Usłyszałem dzwonek kończący lekcję i przypomniało mi się, że za chwilę mam się bić.

— Mogę już iść?

— Taak... Chociaż zaczekaj! — Zatrzymał mnie w progu. — Nie widziałeś ostatnio jakichś podejrzanych osobników w okolicy waszego domu?

— Nie — odpowiedziałem z przekonaniem.

Dopiero na korytarzu przypomniała mi się drżąca zasłona w pustym domu Łobodaków. Może bym i wrócił do

49

dzielnicowego, ale z za węgła wyłonili się sekundanci Ślipka,! czyli Szczęsny Hulewicz i Bolek Nitecki. Zgodnie pokiwali! na mnie palcami.

„... a śmierć popatrzy z wysoka...”

Rozdział 5.

Kodeks honorowy

Szliśmy w milczeniu, w niespokojnej ciszy, jakby w całej szkole oprócz nas trzech nie było żywej duszy. Miałem wrażenie, że u kresu tej cichej drogi czeka mnie rozwiązanie dręczącej zagadki.

Zagadki istnienia.

Korytarz ciągnął się w nieskończoność. Nasze stłumione kroki wystukiwały ledwie uchwytny rytm żałobnego marsza, a w powietrzu majaczyły jakże mi znane postacie ze wszelkich obejrzanych westernów.

Oto stojący w niedbalej pozie Clint Eastwood pozdrawiający śmiertelny kondukt delikatnym uniesieniem ronda czarnego kapelusza, oto Frisco Kid kręcący młynka rewolwerami, oto...

— A gdzie mnie tu leżą w buciorach?! — skrzeczący głos wspartej na mopie sprzątaczkki przywrócił wszelką realność rzeczy — Nie widzą, że podłoga umyta?! Maryniaaa! Zasuway no, dziewczyno, ze ściera! Jaśnie pany się przespacerowały, psiakość!

Przeciągający się do tej pory korytarz skończył się niespodziewanie i weszliśmy na schody.

Przystanąłem. Kurczę, nie skontaktowałem się z Plombą!

— Nie graj na zwłokę, cwaniaczku! — Szczęsny trzep-nął mnie po karku. Odwinąłem się, by mu oddać, ale Slipek

51

chwycił uniesioną pięść i bez wysiłku wykręcił mi rękę za plecy

— Dlaczego... — sapnąłem. — Dlaczego nie walczysz! sam, śmierdzielu?

— Jesteś taki głupi czy udajesz? Przecież mam kurato-1 ra — roześmiał się Hulewicz. — Chyba nie chcemy iść do pudła?

— My? — oburzyłem się. — Jacy my?!

Wyszliśmy na zewnątrz. Zebrała się spora grupa obserwatorów, ze dwadzieścia osób — oceniłem pobieżnie. Nawet schizofreniczny Ogóras przebierał nogami w podnieceniu i pięściami młócił powietrze, kryjąc się za plecami rosiej -szych kolegów. Kilka dziewczyn też było, a jakże.

Poszukałem wzrokiem Ani, ale jej nie dostrzegłem. Może to i lepiej.

Pojedynek miał się odbyć za szkołą, a konkretnie na tyłach domu Wąsika, gdzie kwitł właśnie biały bez. Grunt, to polec w miłym, niewinnym otoczeniu.

Ze zrzuczonych na trawę plecaków powstał nieprzekraczalny krąg walki, coś w rodzaju gladiatorskiej areny. Tyle że ja nikomu rozsądnemu nie powinienem się z gladiatorem kojarzyć. I chyba nikt nie dawał mi dużych szans...

— Zabij go, Cyna! — zapał znieca Jurek Mętlik. Jego entuzjazm tylko potwierdzał wcześniejsze przemyślenia. — No dalej, idź za ciosem!

— Spadaj, Ogórek, nie było jeszcze żadnych ciosów, po-myleńcu — Dratwa pogonił mojego jedyne kibica. Któż więc mi zamknie powieki i przykryje prześcieradłem?

52

— Odbierasz mu podstawowe prawo do oglądania masaży? — wykrzywiłem się do Niteckiego. —

Wiesz dobrze, że chłopak ma w domu szlaban na wszelką przemoc.

— N00... niech zostanie — zgodził się po namyśle. Wśród publiczności rozległy się nieliczne głosy aprobaty. Do czego to doszło — Bolek Nitecki, nieuk i analfabeta, arbitrem poprawności szkolnych pojedynków! Nastaly złe czasy.

— Rozbieraj się! — warknął do mnie Ślipek, prężąc potężne mięśnie. Stał już boso w samych spodniach.

— Nie za zimno? — zapytałem i potarłem dłonie, chuchając w nie wymownie. Niby już pogodziłem się z losem, lecz niespodziewanie obudził się we mnie instynkt przetrwania. Poza tym wiedziałem, że w porównaniu ze Ślipkiem moja muskulatura wyda się dziewczynom nieco skromna.

Fala śmiechu wystarczyła za odpowiedź. Ściągnąłem bluzę i rozpiąłem koszulę. Stanęliśmy naprzeciw siebie, zaciskając pięści.

— Stać! — krzyknął przedzierający się przez podnieconą cizbę Plomba. — Errata!

— Nie bić się, debile! — za nim, pomagając sobie łokciami, wynurzył się spocony Kostek Ptak. — Errata!

No proszę, Frisco Kid doczekał się kawalerii Jankesów! Jednak ucieszyłem się o sekundę za wcześniej. Ślipek pochylił głowę i zaszarżował w moim kierunku. Mógł mnie powalić jednym ciosem, ale chciał się popisać umiejętnościami zapaśniczymi.

Miałem nad nim przewagę szybkości i intelektu. Uchyliłem się nieznacznie, jednocześnie wystawiając nogę w bok.

53

Poskutkowało, ledwie udało mu się musnąć moje ramię i pod cięty Ślipek zwałił się twarzą w plecaki.

Poderwał się zaraz w rytmie braw oraz pełnych podziw gwizdów. Poczzerwieniały ze wstydu chwycił mnie w pasie, przygniatając do ziemi. Poczulem zapach trawy, stokrotek i kociego moczu. Zacząłem tracić oddech.

— Errata! — usłyszałem jeszcze raz dziwny okrzyk Ptaka. W chwilę później zachęcany kuksańcami nieznanych sprawców zapaśnik podniósł się niechętnie. Skuliłem się! obolały.

— Jaka errata? — denerwował się Skunks. — O czym wy gadacie?

— Ano takie uzupełnienie do Kodeksu honorowego... — zaczął wyjaśniać Jacek Plomba, zwany Klockiem.

— Żartujesz? Nie ma żadnego Kodeksu, po prostu strach was obleciał, że poleje się krew!

— To ty żartujesz, synku — uśmiechnął się Kostek. — Jesteś u nas od paru miesięcy, więc cię nie wtajemniczono. Jacek, pokaż mu!

Przewodniczący Samorządu Uczniowskiego posłał mi porozumiewawcze spojrzenie i wyciągnął spod wiatrówki zieloną, tekturową teczkę. Tę samą, którą kupił wczoraj po drodze ze szkoły. Wiem, bo szliśmy razem kawałek.

— Teraz widniał na niej wielki napis: Kodex honorowy ypoedynkowy żaków maści rozmaitey.

— O, a co to? — zdziwił się Dratwa. — Nie przypominam sobie, żebym to kiedyś widział.

— Bo to tajny kodeks, napisany jeszcze przed rewolucj

54

ażdziernikową, stąd taka pisownia — zełgał gładko Kostek. __ д my jesteśmy jego strażnikami...

__ Mam to... — zaczął Szczęsny

__ namaszczoneymi przez Klan Zaufanych — dokończył Ptak.

— I burmistrza miasta Zdzisława Czkawę — dołożył Plomba. — Poważna sprawa, chłopie.

Hulewicz wytarł nos w rękaw, a Ślipek zaczął nerwowo pstrykać palcami. Plomba rozsznurował teczkę, wyjął z niej pożółkły, nadpalony na krawędziach papier i przeczytał:

— W punkcie siódmym erraty do Kodeksu jest napisane, eem... „każden pojedynkujący się żak, tudzież inne szkolne pacholę ma prawo oddać satysfakcję obrażonemu, za-dośćuczyniając popełnione krzywdy". Tak się składa, że Cyna przygotował pewne zadośćuczynienie — kiwnął do mnie.

— Ee, to znaczy, co? — przełknąłem ślinę.

— To znaczy zeszyt, ciemniaku — szepnął Kostek.

— Zeszyt?

— TEN ZESZYT — zmrużył oczy, jakby chciał mi coś przekazać telepatycznie.

— A, ten zeszyt! — rozjaśniłem się. — Ten zeszyt to ja mam, pewnie, że mam! — Zacząłem przerzucać plecaki w poszukiwaniu własnego.

Zeszyt Ptaka spoczywał w miłym towarzystwie niezjedzonych kanapek i butów na WE

— No, co jest? — niecierpliwili się rozczarowani kibice. — Będą się bić czy nie?

55

Wyprostowałem zawinięty róg okładki z koszykarzami. Na pierwszej stronie umieszczono krótką instrukcję: „Czytaj powoli, z dykcją i radośnie!”. Na kolejnych zaś były cztery krótkie wierszyki opatrzone stosownymi numerami.

— Teraz Cyna się zrehabilituje i po herbacie — ogłosi Jacek.

Nie padł żaden komentarz. Czekali.

— Uważam, że to żalosne — pochyliłem się do Kostka. Już wolę się bić.

— Jesteś nienormalny? Czytaj!

— Nie przeczytam.

— Bez dyskusji! — Kostek pogroził mi pięścią. Westchnąłem.

— Mam tu dla ciebie takie coś... „Na Tornado nie ma rady, wszyscy boją się Tornady!” — odcyfrowałem. — Tornado?

Skunks wydał wargi. Nie sądzę, by mu się spodobało. Zerknąłem na kumpli i postukałem się w czoło.

— Są jeszcze trzy, jeden lepszy od drugiego — wzruszyłem ramionami. — Na przykład taki: „Do boju, do boju, Tornado kochane! Kto z nami wojuje, mieć będzie...” — zawahałem się. — Jaka do tego będzie najlepsza dykcja? Francuska?

— Dosyć! — Skunks wyrwał mi zeszyt z dłoni, po czym wdeptał go w trawę. — Wcale nie chcesz się zre... — zaciął się, a potem wybełkotał — ... humbumbilitować! Kończ, Piotrek, przedstawienie — klepnął Ślipka.

— Zaraz — zza krzaków wychynął Lopez. Dałbym głowę, że od dawna jest w domu. Widocznie cyrkowcy nie mają domu. — Nie zaczynajcie beze mnie.

56

— A ty tu czego, przybłądo? — zapytał z pogardą Dra-twa — Cały czas podsłuchiwał! Idź lepiej naskarżyć na nas Tycze, w końcu leczy się u was. Co, nie wiedzieliście? — zwrócił się do reszty klasy. — Jego tatuś otworzył gabinet dentystyczny i Tyczka tam chodzi.

— No i co? — Hulewicz podniósł brew.

— Na pewno na nas skarży...

— Zgłupieliście? — wtrąciła się Beata. — Przecież dopiero dzisiaj się pojawił, więc jak to możliwe?

Sprawy zaczęły się toczyć w sposób niekontrolowany. Miałem tego dosyć.

— Jak tam sobie chcecie — powiedziałem. — Znudziło mi się stać na golasa, idę do domu — podniosłem koszulę.

— Nie tak szybko — uśmiechnął się Lopez szelmowsko. — Jest jeszcze punkt siedem „a” Kodeksu.

Kostek z Jackiem popatrzyli na siebie z niedowierzaniem.

— Siedem „a” — Plomba oblizwał wargi. Miał prawo się zdziwić, bo na pewno nie wcześniej niż godzinę temu ułożyli z Ptakiem cały odczytany tekst.

— Tajny punkt, tylko dla wybrańców — Ligurski przeczeszał palcami grzywkę. — Mówi on, że w razie braku satysfakcji w imieniu obrażającego wystąpić może zastępca, persona surrogatus 14 po prostu.

Dziewczęta spojrzały na niego w niemym zachwycie. Chłopcy — wręcz przeciwnie.

— Czyli chcesz się bić za Cynę? — upewnił się Hulewicz. — Wykluczone.

Persona surrogatus — (łac.) zastępca.

57

Lopez przeskoczył plecaki i, nim ktokolwiek mrugnął powieką, grzmotnął Ślipka w nos.

— A teraz?

— Ty gnojku! — ryknął zapaśnik, tamując dłonią krew. -Zatlukę cię!

Złapał wolną ręką Lopeza za kark. To znaczy, tak nam si początkowo wydawało. Znowu, nie wiedzieć kiedy, Ligurski

w^V

zadał Ślipkowi mocny cios. Tym razem w żołądek. Był szybki, nieludzko szybki.

Chwyliłem plecak i wmieszałem się między obserwatorów. To miejsce podobało mi się bardziej od poprzedniego.

— Szczęśny, nie stój tak — wybulgotał zgięty wpół Ślipek.

— Co ty, Piotras, najarałeś się czegoś? — skubnął się w ucho Skunks. — Przecież wiesz, że nie mogę się bić. Dowal mu i idziemy — doradził, dysząc przez nozdrza. — To zwykły śmieć.

Nagle odniosłem wrażenie, że czas się zatrzymał. Ułamek sekundy temu Lopez stał na wyciągnięcie ręki, potem jakby znikł i znów się pojawił niedaleko mnie. Prawie nic się nie zmieniło, tyle że obok jęczącego Ślipka jęczał Szczęśny Hulewicz, macając puchnące usta.

— Złamalesz mi żąb, Lopesz — poskarżył się rudzielec płacząco. — Jesteś psychiczny!

— Ty też, Dratwa, chciałbyś się wypowiedzieć? — Li-gurski zbliżył się do Bolka Niteckiego.

Oddech miał równy i spokojny. W ogóle sprawiał wrażenie odprężonego.

— Ja nic do ciebie nie mam, Patryk — Dratwa podniósł ręce w obronnym geście. — Uważam, że jesteś w porządku i tak dalej...

Pomagając sobie wzajemnie, Skunks i Ślipek opuścili w pośpiechu miejsce pojedynku.

Odprowadzały ich pogardliwe spojrzenia zawiedzionych nastolatków.

— Tyle hałasu i nic z tego nie wyniknęło — powiedziała Beata.

59

— Jutro jest gala boksu w telewizji — pocieszyła ją radośnie jedna z koleżanek.

— Dobra, wynocha — zadysponował Dratwa. — Koniec przedstawienia. Wszystko zgodnie z regułami, jakby ktoś pytał.

Tłumek zaczął rzednąć. Podszedłem do Kostka, Jacka i Lopeza.

— Cyna, jesteś wielki — uwiesił mi się na szyi uszczęśliwiony Ogóras. — Ale ich załatwiłeś!

— Ja? — odepchnąłem go. — Ślepy jesteś, czy jak?

— Dzięki — podałem Lopezowi rękę. — Jesteś szybszy od błyskawicy. Umiesz czarować?

— Czasami mi się udaje — odrzekł Ligurski tajemni czo. — Ale tylko czasami...

Rozdział 6.

Brygada Porodów Parkowych

Czas naglił, toteż po wyjściu z terenu szkoły stanęliśmy na moment przy kiosku z gazetami.

Ustaliliśmy, że spotkamy się zaraz po obiedzie, czyli mniej więcej o szesnastej w Jamie Almenika.

— To znaczy więcej o szesnastej niż mniej — uściślił Ptak. — Bo o wpół do szóstej mam biegi przełajowe w parku von Bittza. A ty się nie zapisałeś, frajerze? — zwrócił się do mnie, zerkając kątem oka na kupującego papierosy wysokiego brodacza w czapce z daszkiem i przeciwsłonecznych okularach. Spod czapki wyglądały mu długie czarne włosy.

— A ktoś mi o tym powiedział? — odpowiedziałem pytaniem.

— Szkoda, ale chyba jeszcze możesz się zgłosić, do czternastej rejestrują zawodników. —

Czyżbym usłyszał w jego głosie nutkę niepokoju?

— Podobno można wygrać rower wyścigowy — wtrącił Plomba.

Rower już mam.

— Młodszego brata też masz, dasz mu na urodziny — rezolutnie zauważył Kostek i kucnął, by zawiązać sznurowadło. —

61

Czy nie wydaje się wam, że ten gość nas podsłuchuje? — zapytał szeptem.

Spojrzeliśmy na typka spod kiosku. Teraz wypróbowywał jednorazowe zapalniczki. Na mój gust

wyglądał bardziej naj studenta niż na tajnego agenta. Co prawda, ślamazarnie mul szło kupowanie, ale to nie powód, żeby się niepokoić. Zresztą, nie rozmawialiśmy o tajemnicach państwowych.

— Nie przesadzasz? — również ściszyłem głos. — To si nazywa bodajże mania prześladowcza. Szpiedzy na to mó wią...

— Ciii, mam pomysł — sapnął mi do ucha Lopez. Uśmiechnął się nagle od ucha do ucha. — Ten, tego... która jest właściwie, bo zgubiłem zegarek? — rzucił głośne pytanie.

Plomba otworzył usta, ale Lopez podniósł palec i zawołał:

— Przepraszam pana bardzo, nie wie pan, która jest...

W tym momencie rozległo się bicie zegara z wieży kościoła Świętego Dominika. Brodacz, nie patrząc na nas, odszedł szybkim krokiem i znikł za rogiem.

— A bodaj to... — zaklął rozczarowany Lopez po trzynastym uderzeniu.

— Idźmy za nim, dopóki nie zwieje! — podniecił się Kostek.

— Według mnie, Ptaku, dostajesz świra — oceniłem. — Za bardzo się zaangażowałaś w DERKI i mózg ci się wypalił.

— Obyś miał rację — Ptak wsadził ręce w kieszeń wiatrówki i wyjął telefon. — Widzę zero kasy na koncie, więc jakby co, to wy dzwońcie do mnie, dobra?

62

Rozstaliśmy się, bo Lopez miał jeszcze zrobić zakupy, a Plomba wracał do szkoły wywiesić nową gazetkę. Odprowadziłem Kostka prawie pod drzwi.

— Nie wejdiesz? Mam Kłatwę Srebrnego Sztyletu, trzecią część. Na tej nowej karcie chodzi jak zyleta — kusił. Odmówiłem jednak, bo miałem swoje plany.

Była pierwsza po południu z minutami, zostało mi jakieś pół godziny z hakiem na dotarcie do parku. Mnóstwo czasu, raz jesienią dobiegłem tam w kwadrans. Ale wtedy chodziło o życie Gluta, w panice człowiek szybciej się porusza.

Postanowiłem sprzątnąć ten rower Ptakowi sprzed nosa. Lubiłem sportowe wyzwania.

Przyspieszyłem kroku, bo zauważyłem, że w tym samym kierunku co ja, podąża pomarańczowa furgonetka dostawcza z napisem: „Napoje SEBA drogą do nieba”.

Kierowca był nadzwyczaj ślamazarnym facetem i powinni mu wlepić mandat za tamowanie ruchu. Jako przyszły rajdowiec patrzyłem na takich z pobłażliwą wyższością.

Dopiero u wylotu ulicy Zielonogórskiej, ze sto metrów od zjazdu do Muzeum Miejskiego obudziła się w gościu resztką męskiej ambicji i dodał gazu. Powinien wyregulować gaźnik, pomyślałem, usiłując obejść chmurę czarnego dymu, jaką samochód za sobą pozostawił.

Też zdążył do parku von Bittza; pewnie w celu zaopatrzenia imprezy w napoje dla biegaczy. Nie zdziwiłem się więc, gdy po dziesięciu minutach zobaczyłem furgonetkę parkującą na zwirowym podjeździe muzeum. Przedemną ciągnęła

63

się platanowa aleja, którą zapewne spacerowała przed la Teresa von Bittz, tęskniąc za swoim Giuseppe Cantorim. Po czułem delikatne swędzenie blizny na brzuchu.

Do imprezy zostało jeszcze sporo czasu i aleja świecił pustkami. Jedyne na pobliskiej ławce siedziała komicznie ubrana czarnowłosa kobieta. Dopiero gdy się zbliżyłem, dotarło do mnie, dlaczego wygląda tak nienaturalnie. Była! w ciąży, lecz zamiast luźnej sukienki miała na sobie czerl woną wieczorową suknię ozdobioną falbanami i cekinami, z dużym dekoltem przykrytym czarnym szalem. Przez tą obcisłe ubranie wyglądała, jakby połknęła globus. Grube nogi, obute w wielkie pantofle spowijały równie grube wełniane rajstopy. Pewnie bezdomna, przemknęło mi przez głowę.

Starąłem się zbytnio jej nie przyglądać. W domu uwrażliwiano mnie na ludzkie nieszczęście, więc usiłowałem wywołać w sobie współczucie.

— Oj oj — jęknęła cichutko, kiedy się zbliżyłem.

Mimowolnie na nią spojrzełem. Miała przesadnie wymalowane usta i policzki. Fryzura za to prosto od fryzjera, lakier aż ociekał. Co za pokraka, pomyślałem i natychmiast siebie za to skarciłem.

— Oj-joj! — powtórzyła.

— Dzień dobry — wymamrotałem, idąc coraz szybciej.

— Pomóż mi! — zawołała za mną. — Nie uciekaj, hej! Głos miała chropawy. Przystanąłem, bezwiednie zerkając na zegarek. Jeszcze zdążę się zarejestrować.

64

— Nie bardzo wiem, jak mogę pani pomóc. Nie dostaję kieszonkowego — odpowiedziałem. — Może wysłę pani totka? Zdaje się, że jest kumulacja...

— Mówię, że bez ciebie nie dam rady — uśmiechnęła się żałośnie. Była młoda, poznałem po pryszczach na czole. — Tanek, nie bądź, kurde, taki fajans. Chcesz, żebym tu urodziwa? — pogłaskała się po brzuchu.

— Pani mnie zna? — cofnąłem się, zaskoczony

— Skądże znowu, he, he! — zaśmiała się rubasznie. — Taka jedna Cyganka mi wywróżyła, że jakiś farfocel, imieniem Janek, odbierze poród w parku. I się, bach — klasnęła — spełniło! Struchlałem. Sytuacja na kilometr śmierdziała absurdem.

— Nie będę odbierał żadnych porodów! — krzyknąłem. — To... to jakiś nonsens!

— Musisz. Serca nie masz? — mówiąc to, poruszyła się, jakby chciała wstać. Odskokczyłem przestraszony — Oooch... oddychaj ze mną! — poprosiła. — Raz, dwa, trzy, wydech! Raz, dwa, trzy...

— Kategorycznie od... odmawiam, nie mam kwa... kwalifikacji — wykrztusiłem. — O, tam idzie jakiś pan — wskazałem palcem biegnącego ku nam od strony muzeum mężczyznę w białym płaszczu.

Ciężarna położyła się na ławce i westchnęła:

— No dobra, żartowałam. Co z ciebie za nieużyty typ — przymknęła oczy — Na co czekasz, pajacu, wezwij lekarza! — warknęła.

65

Zdenerwowany włączyłem komórkę. Miałem nieodebraną rozmowę z domu.

— Ale jaki jest numer? — zapytałem bezradnie.

— Ja jestem lekarzem — oznajmił zasapany mężczyzna. — Ktoś wzywał lekarza?

Okazało się, że to, co wzięłem za płaszcz, było białym fartuchem z wyhaftowanym na kieszonce imieniem Raul. Swoją drogą, doktor Raul miał niewiarygodny słuch. W życiu bym nie usłyszał tak cichych jęków z odległości stu metrów. Może się wspomógł stetoskopem, który mu wisiał na szyi?

— Ja właśnie chciałem, ale... — rozłożyłem ręce. — Sam nje wiem.

— Co my tu mamy? — zainteresował się lekarz. Był wysoki i miał czarną brodę, zupełnie jak facet spod kiosku. Tyle że tamten to hipis, a ten wygolił się do skóry. No i nie nosił okularów.

— Poród mamy — wychrypiała kobieta. — Ile będę tu leżeć?!

— Pomożesz mi — zadysponował, podwijając rękawy Na lewym przedramieniu widniała naga syrena z mieczem. — Ekhm, to taka pamiątka ze studiów — chrząknął. — Że siedziałem aż w Warszawie.

— Powiedział pan „siedziałem”? — podłubałem w uchu.

— N00... yyy... na ławce, na wykładach! — rzucił w pośpiechu. — Wiesz, ciężko było. Te codzienne sekcje, wiwisekcje i...

— Lewatywy — podpowiedziała ciężarna. Gdy spojrzałem na nią zaskoczony, zaczęła szybko oddychać. — Raz, dwa, trzy, wdech! Raz, dwa, trzy, wydech!

— Miałem na myśli prelekcje i proszę się nie wtrącać, bo... — zacisnął pięść. — Bo nie!

Poklepał się po kieszeniach.

— Pani to weźmie — wetknął jej w zęby termometr.

— Ona rodzi, a nie gorączkuje —

67

pociągnąłem lekarza za fartuch. Popatrzył na mnie z niesmakiem.

— Kto tu jest doktorem, ja czy ty? — prychnął.

— Niby pan...

— To się nie wtrącaj! Potrafisz odebrać poród?

— Czy ja potrafię odebrać poród?! — zapiałem zszokowany. — W szkole tego nie uczą, panie Raul...Raulu!

— Raulu? — zastanowił się. — Aaa, no jasne — pomacał haft na kie szonce. — Pewnie, że Raulu!
— Pośpiesz się d... doktorze, bo mnie podwiewa — przypomniała o sobie kobieta. Doktor podrapał się po łysinie.

— Masz telefon? — M... mam — odpowiedziałem ostrożnie. — Pan nie ma? — Nie zabrałem narzędzi, jestem tu przejazdem — mruknął. — Zadzwoń po BPP ale szybko! Sam nie dam rady. Wcisnąłem zero i zawahałem się.

_ Co to jest BPP?

__ Brygada Porodów Parkowych, nie wiedziałeś? Kobieta rodzi, więc niechże wreszcie urodzi!

_ A pan jaką ma specjalizację? — zainteresowałem się podejrzliwie.

— Kasy i drobne kra...

— Słucham?

— Kasy Chorych i drobne krajanie... chirurgia drobna — sprecyzował po namyśle. — Dawaj, sam zadzwonię — wyrwał mi z dłoni aparat. — No, no, nie podglądaj, bo to numer zastrzeżony — odwrócił się ode mnie i schował się za drzewem.

W oddali pojawiła się gromada rozwrzeszczanych dzieciaków z dwójką dorosłych na czele. Od razu można było poznać wycieczkę z podstawówki idącą do muzeum.

— Masz i zmiataj — wyrósł przede mną doktor Raul, wciskając mi w rękę komórkę. — Już jest git.

— Mogę iść? — upewniłem się. — A co z porodem?

— Kazali się wstrzymać do jutra. Dziś mają urwanie głowy, czterdzieści siedem porodów parkowych w całym powiecie, a człowiek ma tylko dwie ręce — pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Dzięki za pomoc, spadaj! — trzepnął palcami. — No, jazda!

Co za świat, westchnąłem i pobiegłem do muzeum, żeby zdążyć przed bachorami. Po kilkudziesięciu metrach obejrzałem się za siebie. Lekarz i ciężarna kobieta siedzieli na ławce, paląc papierosy. Chyba ktoś próbuje zrobić ze mnie wariata, bo nie wierzę, żeby współczesna medycyna aż tak zesłała na psy.

69

W holu muzeum miasta Trombolina nie było nikogo. Na szybie okienka kasowego tkwiła kartka z nieśmiertelnym „Zaraz wracam”.

Czekając, obejrzałem wystawę plakatów „Przyszłość Trombolina” wykonanych przez artystów z TDK-u. Najbardziej przypadł mi do gustu jeden, przedstawiający nałożone na siebie kolorowe plamy, przyklejony kawałek gazety, zamek błyskawiczny i wieczko z konserwy mięsnej. Według tytułu przedstawiał Trombolin jako globalną wioskę. Skreśliłem „globalna wioska” i napisałem markerem „wysypisko śmieci”. Teraz pasowało.

Przez okno zobaczyłem odjeżdżającą furgonetkę.

— Ktoś mnie obsłuży czy nie?! — zawołałem zniecierpliwiony.

Po dwóch minutach otworzyły się dębowe drzwi. Pojawił się w nich wyjątkowo chuda kobieta z diabelsko zakrzywionym nosem. W dłoni trzymała bułkę.

— Tu się nie wydziera przede wszystkim — wygładziła fałdy niebieskiej marynarki. Na prawym ramieniu widniał herb miasta i logo muzeum. — W sprawie zakupu pamiątek?

— Chciałem się zapisać na bieg przełajowy — wyjaśniłem grzecznie.

— Poważnie? A dzień dobry?

— Dzień dobry.

Ugryzła spory kęs i przez chwilę przeżuwała.

— Jak nazwisko?

— Racyniak Jan, gimnazjum numer...

70

__ O szkołę na razie nie pytałam — otworzyła leżący na stoliku skoroszyt. — Razymiak?

— RACY...

— Nie ma takiego na liście. — Zamknęła skoroszyt.

— Jak ma być, skoro się nie zapisał. .. e, nie zapisałem?

Odwróciła się i spojrzała na wiszący na ścianie zegar elektroniczny. Było siedem po drugiej-

— Zapisy były do czternastej.

— Nie można by...

— Nie można! — Wstała i wyszła. Jacy ci ludzie zrobili się niezyczliwi, ręce opadają.

Wychodząc, przecisnąłem się przez pakujące się do środka dzieciaki, które natychmiast zabrały się za poszukiwanie toalety, skubanie kwiatów i odrywanie plakatów ze sztalug. Ciesz się, Trombolinie, oto twoja przyszłość.

Rozdział

Detektyw Cyna na tropi

Dwie przecznice od Rejtana, ulicy, przy której mieszkała zadzwonił Plomba.

— ... aliście ju... ka... kę alesa? — zagadał bez wstępu Nic z tego nie zrozumiałem.

— Powtórz, Klocku, bo mi coś przerywa!

— ... o gadasz?

— Powtórz, głucholu! — wrzasnąłem, płosząc wygrzewającego się na murku burego kota.

Jakaś kobiecina zaczęła wygrażać mi laską, zapewne właścicielka. Obróciłem się do niej plecami.

— Pi... liście już ka... wkę? — Mimo że teraz on się wy dzierał, ledwie wyławiałem słowa z koszmarnego szumu.

— Porąbało cię? Ja nie pijam kawki, matka nie pozwala! Zasłoniłem drugie ucho, by lepiej słyszeć.

Oprócz trzasko ze słuchawki dobiegało słabe pikanie.

— ... niej prze... nię ... eść! — mój rozmówca się rozłączył.

— ... eść! — odpowiedziałem kotu, który z powrotem ulokował się na murku. Popatrzył na mnie i ziewnął. Szkoda że nie jestem kotem — koty nie mają zmartwień.

Wszedłem na naszą uliczkę. Mama już powinna być w domu, bo jeżeli nie, to nici z obiadu. Pod furtką czekała n

72

mnie Ania z Dyziem na smyczy. Na mój widok psisko oszalało z radości, czego nie można było powiedzieć o dziewczynie. — Słuchaj, Cyna — starała się nie patrzeć mi w oczy — Tu masz jego miskę — podniosła reklamówkę — i torbę psiej karmy, żebyś nie miał kłopotu na początku.

— To już dzisiaj? — zapytałem z niedowierzaniem. — Nawet nie byłem w domu...

— Wiem, spacerujemy tu od piętnastu minut. — Dalej na mnie nie patrzyła. Głos miała cichy, jakby lekko nieobecny. — Co cię zatrzymało?

Gdybym jej powiedział, że prawie odebrałem poród w parku, wzięłaby mnie za nieuleczalnego łgarza. I bez tego coś między nami zgrzytało. Zgrzytał między nami niejaki Patryk Ligurski.

— Łaziłem tu i tam... — machnąłem dłonią. — Byłem u Kostka, graliśmy w fajnego RPG-a15, więc zeszło.

— Doprawdy? — poczułem się tak, jakbym usłyszał Palikową, albo mamę.

— N-noo...

— Ciekawe, dopiero co rozmawiałam z Kostkiem — zmrużyła oczy. Oczy miała piękne, mógłbym się w nie wpatrywać godzinami. — Nie wspominał, że jesteś w pobliżu. Umówiliśmy się na spotkanie — dodała, kładąc nacisk na „umówiliśmy się”. Żrenice jej pociemniały, już nie wydawały mi się piękne. Raczej wredne.

RPG — (z ang. Rok-Playing Games) rodzaj gier, w których grający wciela się w wybraną postać, np. wojownika, maga, krasnoluda, i kreuje ją, bogate się, nabierając doświadczenia, mocy itp.

73

— Dobra, wezmę psa — udałem obojętność, choć mó; świat zaczął się walić w gruzy Zabrałem torbę i wyszarpałem smycz z jej dłoni. — Przecież uratował mi życie. N razie! — rzuciłem przez ramię.

Dyzió zatańczył wokół nóg dziewczyny. Pociągnęła go za sobą. Gdy byliśmy już za furtką, spojrziałem na Anię. Patrzyła na mnie przez parę sekund z zaciśniętymi ustami a potem odeszła wolnym krokiem.

— Nie ociągaj się — burknąłem do psa. — Zdaje się, że byliśmy sobie przeznaczeni. Ty i ja, dwie sierotki nieszczęśliwe. Ty nie masz nikogo, a ja...

Kiedy nacisnąłem klamkę, Dyzió zaskowytał tęsknie, czym podskoczył, przebijając w miejscu

łapami. Stulił sobie uszy i czujnie wyprężył ciało.

— Co jest? — zapytałem szeptem. Pies spoglądał na opuszczony dom Łobodaków. Drżał.

— Teraz masz inny adres — pogłaskałem go po łebku. — Przyzwyczaisz się. A może nawet polubisz, kto wie?

Otworzyłem drzwi, odpinając smycz. Dyzio natychmiast skorzystał z okazji i prysnął pod ogrodzenie. A nieć' go...

— Janek? — wołanie mamy dobiegało z kuchni. — Dopie ro ze szkoły?

— Momencik! — odkrzyknąłem, ścigając plecak. — Mu szę... muszę coś przynieść z ogrodu!

— Z ogrodu?

Nie odpowiedziałem. Rzuciłem reklamówkę, trzasnąłem drzwiami i pobiegłem za psem. Dyzio na mój widok dokonał

74

rzeczy niebywałej. Cofnął się dwa kroki, po czym wskoczył na siatkę, wdrapując się na górę jak kot.

— Do nogi! — zawołałem, przerażony, że skręci sobie kark. Ale on nie reagował. Jakimś cudem przerzucił przednie łapy przez metalową poprzeczkę i upadł na trawnik.

— Dyzio, psia twoja mać! — jęknąłem.

Dobiegłem do siatki. Pies stał z podwiniętym ogonem, węszył. Tuż przy podmurówce niekoszona od miesiący trawa była mocno wydeptana. Dalej, aż do piaszczystej dróżki przed domem, znaczone połamanymi źdźbłami ciągnęła się wąska ścieżynka.

Obudziła się we mnie detektywistyczna ciekawość. Wspiąłem się na ogrodzenie i wylądowałem obok Dyzia.

— Wygląda na całkiem świeży trop — skomentowałem półgłosem. Serce zaczęło mi bić przyspieszonym, mocnym tempem. Cały ból miłosnych rozterek minął, jak ręką odjął.

Pies tylko czekał, aż się pojawię. Łypnął na mnie okiem, pokazał zęby w psim uśmiechu, a potem potruchtał z nosem przy ziemi. Nie miałem innego wyjścia, jak iść za nim.

Zgarbiłem się, żeby za bardzo nie rzucać się w oczy, chociaż jeżeli ktoś nas obserwował z okna, nie miało to większego sensu. Ale w kreskówkach detektywi zawsze się garbią, powinienem więc czerpać wzorce z krynicy ich doświadczenia. W najgorszym wypadku dostanę lekkiej skoliozy, co i tak przepowiada mi szkolna pielęgniarka.

Jak na razie zielona zasłonka pozostawała nieruchoma. Istniała przecież możliwość, że po pierwsze, wczoraj mi się

75

przywidziało, po drugie, ścieżkę wydeptały koty, a po trze-I cie... Zawsze powinno być jakieś po trzecie, nic mi jednak! nie przyszło do głowy.

Dotarliśmy do budynku i wtedy Dyzio po raz drugi dał nogę, ale nie uciekł daleko. Konkretnie zaś, trącił łapą piwniczne okienko, zaczekał, aż się otworzy i wlaź do środka.] W odróżnieniu ode mnie znał teren. Ja nigdy do Łobodaków nie chodziłem.

Podszedłem do drzwi. Co ja robię? — pomyślałem, wciskając dzwonek. Jeżeli pan Karol wrócił, nie będzie przecież mi się rzucał na szyję z radości. Raczej dokończy to, co zał czął pół roku temu. Zabije mnie.

Wbrew obawom drzwi się nie otworzyły i nie wyskoczył z nich żaden krwi morderca. Poza tym uświadomiłem sobie, j że Karol Łobodak siedzi w zielonogórskim areszcie śledczym w oczekiwaniu na rozprawę.

Zęby być w zgodzie z sumieniem i własnym strachem, zastukałem mocno.

— Jeżeli tam ktoś jest... — wychrypiałem. Kaszlnąłem, żeby zyskać głosową głębię, po czym przyłożyłem dłonie do ust. — Tu policja! Jeżeli tam ktoś jest, to niech zaraz wyjdzie z rękami uniesionymi do góry! Znaczy się, najpierw niech otworzy drzwi, a potem uniesie! Powtarzam... Z okienka wyrzwał Dyzio i zaszczekał krótko, darowałem więc sobie zabawę w policjanta.

— No i jak, w porządku? — zapytałem.

Pies wywalil jęzor, sapiąc głośno. Widocznie wszystko gra.

76

— To zabierz pysk, bracie, bo się we dwóch nie zmieści-my — kucnąłem przy okienku. Powiało stęchlizną.

Dyzio posłusznie zeskoczył na betonową podłogę. Ja, z drobnymi stratami w odzieży, zeskoczyłem obok. Chyba stworzyliśmy dobrze rokujący duet kryminalny. A jeszcze tak niedawno miałem nieustającą ochotę udusić psa za nocne hałasy.

W pograżonej w półmroku piwnicy czułem się nieswojo. Na dobrą sprawę stałem się włamywaczem i trudno byłoby to przekonująco usprawiedliwić. Pies otarł się o moje stopy i warknął.

— Dyzio — szepnąłem — nie pora na czułości. Szukaj schodów.

Chyba je znalazł, bo prawie natychmiast dobiegło mnie skrobanie psich pazurów o blachę.

Wyciągnąłem ręce przed siebie i kierując się słuchem, podążyłem za psem. Znowu coś trąciło mnie w nogę. Ten pies ma niesamowity talent do błyskawicznego przemieszczania się. Skrobanie pazurów stało się bardziej natarczywe, przeplatane bulgoczącym warczeniem.

— Cichooo... zaraz do ciebie... auć! — W ciemnościach nadziałem się na metalowy regał.

Brzęknęły słoiki, a po butach przebiegły mi drobne łapki. Coś pakowało się w nogawkę moich dżinsów. Otworzyłem usta w bezgłośnym krzyku. To nie mógł być Dyzio...

Wierzgnąłem, chcąc pozbyć się niechcianego lokatora i poczułem ból przebijanej zębami skóry

— O w mordę! — Sięgnąłem ręką do spodni. Palce zacisnęły się na szorstkim, nagim ogonie.

Zatrzęsło mną

77

z obrzydzenia. Z niegodnym detektywa piskiem wyciągnąłem wijącego się szczura i odrzuciłem go w ciemność.

Nie pamiętam, jak wbiegłem na schody. Wiem tylko, że potknąłem się o psa, łupnąłem czołem w obite metal] drzwi, wymacałem klamkę i wyturlałem się z piwnicy

Hol domu Łobodaków świecił pustkami, śmierdział rybą oraz skwaśniałym piwem. Otwarte drzwi wnękowej szafy odsłaniały porozrzucane ubrania, zaś obok, na czarnej komo-i dzie, stał telefon z urwaną słuchawką. Dyzio pochwycił ja zaraz i pognał schodami na górę.

Intensywny zapach psujących się resztek zwabił mnie do kuchni. Bałagan imponował fantazją i rozmachem. Kiedyś spędziłem trzy dni sam w domu, ale nie da się porównać efektów

W zlewozmywaku nie było miejsca dla niczego większego od łyżeczki do herbaty, a stół zaścieniały pogniecione puszki po piwie „Potemkowickie. Jasne fuli”, jednorazowe kubki, talerze pełne ości i wędzonych rybich łbów, tudzież wyschnięte kawałki pizzy z oliwkami.

— Hmm, a to co takiego? — zainteresowałem się papierową kulą leżącą w pełnej niedopałków popielniczce.

Wysmarowana tłuszczem kartka okazała się fragmentem artykułu z marcowego „Głosu Wybrzeża”.

Zacząłem czytać: ...o czym pisaliśmy już w poprzednim numerze. Wspomniany przyrząd zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach ponad pół wieku temu, kiedy podczas działań wojennych większość zbiorów muzealnych po prostu zagrabiono. „Jest to niepowetowana strata. I dla nauki, i dla całej ludzkości” — tłumaczy znawca kultury sumeryjskiej, prof. Dezyderiusz Ciamajda.

78

O autentyczności sprawy świadczyć ma, rzekomo znaleziony w litewskich archiwach, zapisek dotyczący przesłuchania Jędrzeja Ligurskiego przez NKWD. Przed wywiezieniem do sowieckiego łagru zeznał on podobno, iż udało mu się wykraść rosyjskiemu oficerowi tak zwaną „lunetę wisielca” i ukryć gdzieś na terytorium Trójmiasta.

He w tym wszystkim jest prawdy, a ile zwykłej, taniej sensacji i ludzkich marzeń?c.d. s. 6.

Odwróciłem kartkę, ale dalej było o połowach dalekomor-j skich. Jędrzej Ligurski i luneta wisielca... Cóż za zbieg oko-| liczności!

Sprawdziłem czas. Spędziłem tu dobry kwadrans, trzeba] się zbierać.

— Dyzio! — krzyknąłem. — Wychodzimy! Odpowiedzią był hałas, jakby coś się przewróciło.

WrzJ

ciłem papier do popielniczki i pobiegłem szukać harcowni-j ka.

Pies stał ze skruszoną miną obok leżącego na podłodze wyścieranego krzesła. Zdaje się, że trafiłem

do sypialni Ło-bodaków, bo w chmurze fruującego pierza dostrzegłem skotłowane łóżko i toaletkę z lustrem. Moją uwagę przykuły stojące w rzędzie trzy plastikowe głowy. Środkową zdobiła ruda damska peruka, dwie pozostałe były puste. Pani Maryla, musiała mieć słabe włosy, skonstatowałem. Spojrzałem w lu-| stro i się wzdrygnąłem.

Twarz miałem umorusaną wapnem i kurzem, z włosów zwisała potężna pajęczyna z muszymi truchelkami, a nad uchem siedział włochaty pająk, bodajże krzyżak. W pierwszym odruchu chciałem go trzepnąć, po namyśle jednak sięgnąłem po leżący wśród szminek pędzelek i szturchnąłem nim pająka. Najpierw mnie zignorował, a potem schował się we włosy. Z trudem go wydłubałem.

— Ja to mam dzisiaj szczęście — westchnąłem. Wziąłem psa na ręce, kierując się do wyjścia.

— Janek! — usłyszałem wołanie z za okna. Podeszedłem do zielonej zasłony i spojrzałem w dół.

80

przy ogrodzeniu stała mama, rozglądając się z niepokojem- Obok niej, z groźną miną, krążył Glut, uzbrojony w rurę od odkurzacza. Będę musiał wymyślić coś bardzo przekonującego, inaczej, marny mój los.

Rozdział 8.

Nareszcie w areszcie! i

Otworzyłem drzwi, po czym wytrzeszczyłem oczy ze zdumienia.

— Rączki do góry, koleżko! — starszy posterunkowy Ciąg 1 ka mierzył do mnie z pistoletu. Za nim stali dwaj wyraźnie podekscytowani młodzi policjanci.

— No co pan, panie dzielnicowy? — wymamrotałem. Dyzio zaczął się wiercić, usiłując polizać starszego posterunkowego. Przycisnąłem go mocniej do siebie.

— Ty mi tu nie „cokaj”, jesteś aresztowany! — oznajmił pan Lechosław ponuro.

— ARESZTOWANY?! Ja? — Nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem. — Jestem niewinny!

— Niewiniątko, tak? — Ciągka odpiął kajdanki i potrząsnął nimi. — Słyszeliście, chłopcy?

Brudny, w pajęczynach i niewinny Jesteś, jak to mówią, nareszcie w areszcie!

Chłopcy zarechotali z uznaniem dla poczucia humoru przełożonego.

— Za co? — zapytałem oszołomiony Pies, nie bacząc na okoliczności, łasił się do dzielnicowego. Zmienił się u Ani w domowego pieszczocha, zgłupiał po prostu i zaczynał mnie wkurzać.

82

Lechosław Ciągka zdjął czapkę, podrapał się po głowie, ponownie włożył czapkę, odchrząknął i powiedział:

— Mieliśmy obywatelską inicjatywę informacyjną...

— Właściwie to był zwykły donos — wyjaśnił jeden z młodych.

— Właśnie, zwykły donos obywatelski — obrzucił tamtego niechętnym spojrzeniem. — Niejaka Trzmiel Regina, Rejtana siedemnaście..

— Renata — wtrącił drugi policjant, sprawdzając zapiski. — Bąk Renata, Rejtana piętnaście, szefie!

— Może i Bąk — zgodził się dzielnicowy gniewnie. — Otóż Bąk Rejtana, eem, Renata poinformowała nas, iż na terenie posesji Rejtana szesnaście, cytuję — otworzył notes, poślinił palec i znalazłszy właściwą stronę, przeczytał — „od paru dni kręci się dwóch podejrzanych osobników, pewnie bandyci jacyś, panie Leszku”, koniec cytatu — zamknął notes.

Zrobiło mi się nieco lżej. Na duszy, oczywiście. Ręce omdlewały od próbującego się wyrwać kundla.

— Widzi pan? Dwóch, a ja jestem sam! — parsknąłem.

— A pies to co? — Ciągka zatrzasnęła mi kajdanki na przegubie. Zakręciło mi się w głowie. — Dla mnie jeden i jeden jest zawsze dwa, koleżko. I nie ma o czym gadać. Posterunkowy Kozuszek, aresztować podejrzanego z gatunku pies!

Posterunkowy Kozuszek, blondyn z nikłym, jasnym wąsikiem, służbiście strzelił obcasami, po czym uwolnił mnie od Dyzia. Sprzedajny pies natychmiast polizał go po twarzy Gdzie ta mama? —

jęknąłem w duchu. Dlaczego już nie woła?

83

Ciąćka założył mi drugą bransoletę. Byłem skuty niczym prawdziwy bandzior. Ja, przed pięcioma minutami detektyw;!

— Pod jakim zarzutem jestem aresztowany? Przecież niczego nie zrobiłem. Mam dopiero czternaście lat — próbowa-1 łem przemówić im do rozumu. Okazało się to niemożliwe.

— Rzeczywiście — dowódca patrolu ocknął się z zadumy. — Jako nieletniemu przestępcy przysługują ci jakieś prawa. Posterunkowy Papiński, przeczytajcie, co tam trzeba.

Papiński wyprężył się radośnie.

— Znam to na pamięć, szefie — otarł czoło rękawem. Ze względu na sporą nadwagę mocno się pocił. — Wiedziałem, że kiedyś się przyda. Zatrzymany... — zawahał się. — Jak nazwisko?

— Racyniak — burknąłem. — Jan Racyniak.

— Zatrzymany w miej scu przestępstwa, Janie Radzyminiak, podejrzany o włamanie w celach rabunkowych, masz prawo do złożenia zażalenia oraz prawo do obrony Jeżeli nie stać cię...

— Jedną chwilę — podniosłem ręce. Kajdanki błysnęły w słońcu. — A nie mam przypadkiem prawa nie odpowiadać na pytania?

— No, niby masz — stropił się Papiński.

— To dlaczego...

— E tam, nie wymądrzaj się, koleżko — uciał Ciąćka. — Było nic nie gadać, a teraz już za późno

— uśmiechnął się blado. — Źle go skułeś — nachylił się do Kozuszka. — Ręce mają być z tyłu.

— Ja-a? — zachnął się blondyn. — Szefie, przecież to szef osobiście...

84

— Ech, posterunkowy — pokiwał głową starszy policjant. — Jesteś jeszcze głupszy, niż ustawa przewiduje. Skoro szef ci powiada, żeś źle skuł, popraw i nie marudź. Mówię ci, Kozuszek, awansować to ty za prędko nie będziesz.

— Jaki pan, taki kram — odciął się Kozuszek. Oddał mrużącego senne ślepia zwierzaka koledze. Odpiął kajdanki, wykręcił mi ręce, a Ciąćka odbezpieczył pistolet.

— Na wypadek ucieczki — wyjaśnił, z powątpiewaniem spoglądając na uwijającego się przy moich nadgarstkach podwładnego.

— Panie dzielnicowy — popatrzyłem na niego jak na człowieka — przecież pan mnie zna. Ja jestem ten od radia w szkole. No niechże pan pomyśli, proszę — były ze mnie siódme poty. Dopiero zacząłem sobie uświadamiać grozę sytuacji.

— A ja tam nie jestem od myślenia — przełknął ślinę. — Był rozkaz, żeby radiowóz przyjechał na miejsce przestępstwa, to radiowóz przyjechał na miejsce przestępstwa. Kazali aresztować sprawców, aresztowałem sprawców, dalej niech się „górką" martwi, koleżko — wyrzucił z siebie z goryczą. Coś go nagle zaczęło trapić. Widocznie mimo niechęci pomyślał i stracił rezon. Młodzi policjanci popatrzyli po sobie.

— Szefie — Papiński ułożył drzemiącego psa na ramieniu i podniósł rękę. — On ukradł radio w szkole, sam się przyznał! Szef zwrócił uwagę?

— Radio, a może i nawet telewizor! — podniecił się Kozuszek. — Tylko patrzeć, jak wyniesie pracownię komputerową albo...

Dzielnicowemu ze zdziwienia opadła szczęka.

85

— Czy oni powariowali — zabalgotał. — Kogo oni mi dają na patrole? Jakiś wypust ze szkoły specjalnej? Jazda do radiowozu!

— Z podejrzanymi? — upewnił się Papiński.

— Jazda! — Ciąćka zgrzytnął zębami. Poszliśmy Pod bramą Łobodaków zebrała się grupka sąsiadów.

— A nie mówiłam, pani kochana? — ucieszyła się Bąko-wa. — Znalazł się gagatek! — słowa skierowane były do mojej zszokowanej mamy.

Mama podeszła do nas z pobladłą twarzą.

— Co się tu dzieje? Proszę natychmiast uwolnić moje dziecko, barbarzyńcy!

Krzysio wyskoczył przed nią, machając plastikową rurą z wyrazem twarzy jak u japońskiego samuraja albo Brucea Lee.

— Uwolnię cię, mój bracie! — wrzasnął, po czym zdzielił posterunkowego Kożuszka w kolano.

— Auć! — pisnął zaskoczony policjant. — Auć! — Bohaterski Glut zdołał go jeszcze smagnąć w udo, zanim mama interweniowała.

— Krzysiu, to bardzo nieładnie! — była na granicy płaczu. — Marsz do domu!

— Bo będzie czynna napaść!

— Nie wygłupiaj się, Kożuszek, jaka napaść? — prychnął Ciącka.

Oczywiście Krzysio nie posłuchał. Schował się za mamę i wywalił język do policjantów. Pod nosem wisiał mu olbrzymi smark. Zaczęła mi wracać nadzieja na rychłe zakończenie tego nieporozumienia.

86

— Pani jest matką lub opiekunką prawną małoletniego? — dzielnicowy umieścił pistolet w kaburze, a potem wygładził fałdy munduru.

— Co pan się wygłupia, przecież pan wie — wykrztusiła mama.

— Zwariował chłop, czy jak? To skandal skuwać dzieciaka w łańcuchy — oburzyli się solidarnie sąsiedzi.

— Co ja wiem, to wiem. Proszę odpowiadać na pytania — Ciącka próbował odzyskać przewagę.

— No właśnie, odpowiadać — Bąkowa pomagała mu, jak umiała. — Teraz // nigdy nie wiadomo, namnożyło się tych nieletnich złodziejasków. Tylko patrzeć, jak zaczną..

— Pani Reniu, pani się uciszy łaskawie — zasugerował sąsiad spod jedenastki, pan Gawełek, lekarz psychiatra.

— Co „pani się uciszy”?! — Bąkowa chwyciła się pol boki. — Mało to się kręci zбочeńców, tfu — splunęła — i rzezimieszków?! Pan Karol taki porządny człowiek był, zawsze: dzień dobry, Reniu, co słyhać, Reniu, jak tam dzieci... — nabrała powietrza. — Bogacz był, kto wie, ile najstarszy Ra-cyniaków w kieszeniach powynosił. Rewidowaliście go?

Starszy posterunkowy pokręcił głową. Nie wiem, czy przecząco, czy z rozpaczy nad ludzką głupotą.

— Jestem, jestem matką — wtrąciła mama gorączkowo. — Prawną! Obu!

— Dobrze — Ciącka odetchnął z ulgą. — Jeżeli pani za niego poręczy, nie zabierzemy syna do PID-u16, wystarczy, że pani podpisze. Posterunkowy Kożuszek, rozkuć aresztowanego!

— Jak to, szefie? — poczerwieniał Kożuszek. — A rozkazy?

— No? A rozkazy? — zmrużyła oczy sąsiadka. — Rozkazy rzecz święta, panie dzielnicowy. — Mój zięć, Arkadiusz, ten, co ma wulkanizację przy Towarowej, tam koło Urzędu Skarbowego, jak był we wojsku, zawsze powtarzał: rozkazy, mamuniu...

— Co to za naród? — posmutniał dzielnicowy, przery wając potok słów. — Pani Bąk, czy potwierdza pani, że te chłopiec, Jan Racyniak, kilkakrotnie włamywał się do posesj na Rejtana szesnaście? 16 PID - Policyjna Izba Dziecka.

88

— W porozumieniu z psem — szepnął posterunkowy Pa-oiński. Obudzony hałasami Dyzio skorzystał z okazji i liznął go w tłusty podbródek.

— W porozumieniu z psem — powtórzył dzielnicowy.

Bąkowa cofnęła się nieco, przyjrzała mi się badawczo, po czym powiedziała:

— Ja tam nie wiem, co tam zobaczysz po ciemku... Może i nie on, dwóch ich było. Ludzi dwóch. Młodzi tacy, ale dorośli — uśmiechnęła się niefrasobliwie.

— Pani Reniu — mruknął Gawełek — przyjmuję codziennie od dziewiątej do siedemnastej. Po sąsiedzku dam pani zniżkę.

— Nie potrzeba — obraziła się Bąkowa. — Idę, bo mnie się kartofle spała — to mówiąc, włożyła ręce do kieszeni fartucha. Rzecz jasna, nie ruszyła się z miejsca. Na ulicy było zbyt ciekawie. Kiedy wreszcie, na wyraźne polecenie dzielnicowego, sąsiedzi się rozeszli, mama podpisała kwit, że bierze za mnie całkowitą odpowiedzialność, a policjanci spisali moje oświadczenie na temat okoliczności wtargnięcia do cudzego domu.

— Jak za psem, to za psem — rozluźnił się Lechosław Ciąćka. Znowu był naszym dzielnicowym, przyjaznym policjantem. Dałbym sobie rękę uciąć, by dowiedzieć się, dlaczego zachowywał się tak dziwnie.

— Szeffie — sapnął zmęczony dźwiganiem psa posterunkowy Papiński — jak go pan zwolni, komisarz pozamiata nami korytarz. Mieliśmy mieć osiągi, a co mamy? Protokół?

— Komisarz mówił wyraźnie: jechać i aresztować! — dorzucił Kozuszek. W dłoni zaciskał kluczyk od kajdanek. Zda-

89

je się, że nie miał ochoty go użyć. — Ten donos to tylko taka przykrywka...

— Wystarczy! — Dłoń dzielnicowego powędrowała bezwiednie w okolice kabury. — Wiem, co mówił komisarz. Właśnie coś sobie uświadomiłem i nie wezmę udziału w żadnych gierkach kosztem obywateli — uśmiechnął się gorzko. — Bardzo panią przepraszamy, zaszło nieporozumienie. Każdemu może przecież uciec pies. A my wrócimy i zabezpieczymy ślady — posłał podwładnym groźne spojrzenie.

Nie kryjąc niezadowolenia, młodzi policjanci rozkuli mnie i wcisnęli Dyzia w moje ręce. Spasł się ten pies jak świnia. Ledwie go utrzymałem.

Dzielnicowy zmierzwił mi włosy, mrugnął porozumiewawczo do Gluta, a potem wolnym, krokiem, kołysząc się na boki, odszedł z powrotem pod dom Łobodaków. Przypominał szeryfa po wygranej strzelaninie z bandą koniokradów. Posterunkowi powlekli się za nim.

Krzysio pogroził im rurą.

— O kurczę, ale było, co nie?

Pies szczeknął twierdząco. Obrońca, że hej!

— Co jest na obiad? — delikatnie zmieniłem temat.

— Na obiad, mój panie, suchy chleb i woda! — Palce mamy wbiły mi się w ramię. — Ale najpierw odpowiesz na kilka pytań...

Rozdział 9.

Pod szlabanem

Wyjaśnienia nie zabrały mi wiele czasu. Opowiedziałem o okolicznościach pozyskania Dyzia i pokrótce o wyprawie do parku von Bittza. W odwrotnej kolejności ma się rozumieć.

— No i tyle. — Przymknąłem oczy. — Jak się ma pecha, to się człowiek na prostej drodze potknie. Mama nie odpowiedziała. Poglaskała mnie tylko po włosach i poszła poszukać jakiegoś kocyka na posłanie dla Dyzia. Ku mojemu zdumieniu pies został od razu zaakceptowany Glut, kiedy zobaczył, jak drapię Dyzia po brzuchu, z miejsca zaproponował transakcję wiążaną.

— Lubisz patyczaki?

— Dlaczego pytasz? — ziewnąłem, bo wbrew zapowiedziom mama podała normalny obiad. A konkretnie makaron z boczkiem i sosem pomidorowym. Zawsze po takim jedzeniu robię się senny. Krzysio uśmiechnął się niewinnie. Gdybym go nie znał, dałbym się nabrać. Prawdopodobnie tak wyglądają diabełta po wizycie w salonie piękności i intensywnym szkoleniu. Ja jednak miałem za sobą lata doświadczeń.

— Bobek jest genialny, mówię ci! Wczoraj nauczyłem go wierszyka o głupiej mrówce. Chcesz posłuchać?

91

Powiedziałem, że chcę. Glut wciągnął gluta i wyrecytował jednym tchem:

Była sobie głupia mrówka, mrówka głupia jak zelówka, która zamiast spać w mrowisku, w piłkę grała na boisku!

A jak ją trafiła piłka, to jej gacie spadły z tyłka, sędzia za to ją rozdeptał i się mrówka w piekle piekła!

Po tych słowach zaczął podskakiwać, udając, że palą mu się stopy

— Już koniec? — roześmiałem się. Czarne loki zatrzęsły się twierdząco. — Chcesz mi wmówić, że patyczak zna ten wierszyk? Przynieś go więc, niech się popisze.

— Powiedziałem, że go nauczyłem, a nie, że będzie występował — Krzysio postukał się w czoło.

— Jest nieśmiały, musi się najpierw przyzwycząić do nowego właściciela, a po paru latach...

— Ej, czy ty mi przypadkiem nie podsuwasz tego śmierdziela? Zdycha ci, czy jak?

— Wcale jeszcze nie zdycha! — Glut zmarszczył nos. — Zamienimy się, dobra? Ja ci dam Bobka, a ty mi — psa!

— Wypchaj się.

— Dam ci jeszcze dziesięć złotych — kusił Krzysio. W odróżnieniu ode mnie zawsze miał jakieś pieniądze. Nie rozumiałem tego.

92

— powiedziałem, wypchaj się sianem i zeżryjcie się nawzajem ze swoim karaluchem — stanowczość to podstawa, naczaj nici z zysków. Dobrze, że nie wiedział biedaczek, jak intensywnie myślałem nad wciśnięciem mu Dyzia.

Na zegarze było za dziesięć czwarta, więc trzeba się zbierać. Jednak zanim wyjdę, muszę pozbyć się psa. Ruch należał do małego.

— Dwadzieścia złotych i do tego nauczę cię wierszyka o mrówce, no zgódź się! — wyraźnie dostał psiej obsesji.

Udałem, że ciężko myślę. Po ciągnących się w nieskończoność westchnieniach i kalkulacjach rozłożyłem ręce w geście poddania.

— Wygrałeś, męczący gaduło. Ale znaj serce braterskie — otarłem fałszywą łzę. — Dajesz dwie dychy i pies jest twój. A Bobka i wierszyk sobie zatrzymaj. Nie mam sumienia cię wykorzystywać — wyciągnąłem rękę, żeby przybić transakcję. Szczęście Krzysia nie miało granic.

Zadzwoił telefon.

— Nie wyszedłeś? — Aż tu było słychać, jak Plombie spadł kamień z serca.

— A co?

— Nie szło się z tobą dogadać. Chyba ci siada bateria w telefonie, sprawdzałeś?

— Ale o co chodzi? — Niemożliwe, żeby dzwonił z troski o moją komórkę.

— Pisaliście już kartkówkę z Talesa na matmie?

— Coś tam pisaliśmy...

— No to ją przynieś do Jamy — Plomba był bardzo

93

bezpośredni- ~~ Ciapek robi te same zadania we wszystkich klasach. Nie chce mu się wymyślać nowych, wiesz?

Tłumaczył mi tak, jakbym chodził do szkoły od wczoraj.

— No coś podobnego! To kombinator jeden — zakpiłem. — A ty pewnie się już obkułeś i chcesz tylko zobaczyć, jaki jest poziom?

Tacek o mało co me napluł do słuchawki w odpowiedzi. Obiecałem więc, że zaraz przyniosę.

Rozejrzałem się za butami.

— Nigdzie nie wyjdiesz. — Wyrosła nade mną mama z kraciastym kocem pod pachą. Dyzio próbował chwycić zębami jego róg- Stary pies, a zachowuje się jak szczenię -1 zdążyłem pomyśleć, zanim zrozumiałem, co zostało powiedziane.

— Muszę wyjść, to sprawa nie cierpiąca zwłoki — stękając, rozsuptałem sznurówkę.

— Za chwilę to ty będziesz cierpiał — ostrzegła mama. — Nawet mnie nie denerwuj, synku. Masz szlaban aż do przyjazdu ojca. Cieszysz się?

— Mamo> ty nic nie rozumiesz — przypomniał mi się ucisk metalowych obręczy na nadgarstkach.

— Obiecałem Klockowi zadania z Talesa, no i są takie różne okoliczności śledcze. Bo musimy namierzyć pewną...

— \Y ramach takich różnych okoliczności zjawisz się za

pięć sekund w swoim pokoju, namierzysz biurko i prześledzisz zadania domowe — zarządziła.

— Tylko że...

— To rozkaz!

94

— Mamo, a my teraz jesteśmy żołnierzami? — zainteresował się Krzysio.

— Bezwzględnie tak — oświadczył żandarm w spódnicy i wskazał kierunek, w którym

powiniennem się udać. — Biegiem!

Szlaban był ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałem, zwłaszcza w obliczu randki Ptaka z moją dziewczyną. Postanowiłem upozorować się na rozsądnego młodzieńca.

— Yes, madami — zaszalowałem, wyprężony niczym struna. Zgiąłem ręce w łokciach i potruchtałem przed siebie, nucąc: W domu szlaban mam, że hej! Dwa tygodnie albo mniej! Glut klasnął z radości. Ustawił się za mną, powtarzając rymowanekę. Tak doszliśmy do mojego aresztu, a tam zatrzaskałem mu drzwi przed nosem. Na dwór, Glucie, prowadź psa, bo na dywan nasi-ka!

Usłyszałem niewybredny komentarz pod moim adresem. Zastanawiam się, czy rodzice wiedzą, co za chwast im rośnie w domowym zaciszu.

Rzuciłem się na tapczan, bynajmniej nie w celu czytania lektur albo studiowania któregoś z podręczników, ale po to, by z głową pod poduszką zwalczyć w sobie pragnienie ucieczki z domu. Gdy miałem dziesięć lat, przeczytałem Przygody Tomka Sa-wyera i odtąd nęciła mnie myśl zamieszkania w beczce, jak to robił kumpel Tomka, Huckerberry Finn. W tej myśli czaiło się niebezpieczne pragnienie wolności, zerwania szkolnych Pęt i połamania wiszącego nade mną rodzicielskiego bata. Może nadszedł właściwy czas?

95

Wstałem, otworzyłem okno, przewiesiłem nogi przez parapet. .. i znieruchomiałem. Na podwórzu domu Łobodaków stała pomarańczowa furgonetka firmy SEBA. Z ledwości;! dostrzegałem jej tył, ale to na pewno ona. Życie w beczce musi poczekać.

Szlaban szlabanem, a pod moim nosem dzieją się wysoce podejrzane rzeczy. Połączyłem się z Ptakiem. Po dwóch sygnałach odebrał.

— Jest dwadzieścia po czwartej, Cyna — warknął. — Żarty sobie stroisz? Naginaj do Jamy!

— Uruchamiam DERKI! - sapnąłem.

— Co?

— Uruchamiam DERKI, natychmiast!

— Powaliło cię? Przecież to ja właśnie uruchomiłem... chwila, co się dzieje? — oprzytomniał Kostek.

— Żeby to ja wiedział? Za długo by opowiadać...

W tym momencie moja komórka sfiksowała. Najpierw rozległo się delikatne piknięcie, potem szum i w końcu jedynym słyszalnym dźwiękiem stały się przetykane piszczaniem trzaski.

— ..o ty ..dasz? — Ptak był zapewne równie zaskoczony. — Co ..am tak ..eszczysz?

— Psuje mi się! — krzyknąłem rozdrażniony. — Zdaje się, że bateria. Przyjdźcie do mnie, bo mam szlaban!

— ...aba...? ...iłeś...oś...erk...!

— Sam jesteś „osierk”! — odpowiedziałem zniechęcony. Rozmowa straciła sens.

Wyjrzałem przez okno. Furgonetka znikła, chociaż w powietrzu unosił się jeszcze siwy obłoczek spalin. Liczyłem

96

jednak na inteligencję Kostka i na to, że moi kumple z DER-KJ zjawiają się rychło.

By nie tracić czasu, rozłożyłem zeszyty. Na jutrzejszy WOS mieliśmy przynieść miesięczny przegląd najważniejszych wydarzeń z kraju i ze świata. Bagatela, od czego jest Internet.

Odpaliłem komputer w oczekiwaniu na połączenie z globalną siecią, gdy za oknem rozległ się głośny tupot i do pokoju wpadł spory kamień, owinięty brązowym papierem. Potoczył się po leżących na podłodze zeszytach, nieruchomiejąc przed szafą. Poderwałem się na równe nogi.

— O zesz ty, gnojku! — wychyliłem się, złorzeczając. Nie dostrzegłem żywego ducha.

Na papierze, który okazał się fragmentem pocztowej koperty formatu A4, widniał napis: „Drzyj, śmieciu, Tornado nie przebacza!”.

Ten znajomy charakter pisma i czerwony marker...

— Czekać no, robaczku — wyszeptalem. — Już ja cię tak urządzę, mój Szczęsny, że tornado to ty będziesz oglądał, ale w telewizji. Na świetlicy w poprawczaku — dodałem mściwie.

Schowałem „przesyłkę” do plecaka, niedługo zrobię z niej użytek. Ktoś zastukał do drzwi.

— Uczysz się? — zapytała mama, trzymając rękę na klawiszu.
— A mam wyjście? — zasłoniłem plecami ekran monitora. W czasie szlabanu włączanie komputera tylko za zgodą rodziców — tak głosiła jedna z domowych zasad.

97

— To dobrze, ale — mama uśmiechnęła się żałośnie musisz sobie na moment przerwać.
— Czyżbym miał gości? — ucieszyłem się.

— Tak jakby — zabrzmiało to nieco niegościnnie. Ale kie są matki.

Wbrew moim oczekiwaniom zamiast chłopaków w hol czekał na mnie wysoki, wąsaty facet w błękitnym kombinezonie.

— Panu się psuje telefon — oświadczył szorstko. Do kieszonki miał przyczepiony identyfikator: „Marian Dziurman — konserwator telefonuf.

— Mnie się psuje?

— Telefon komórkowy firmy Nokia, zgadza się? — zapytał tak, jakby z góry znał odpowiedź.

— Skąd pan wie? — zrobiłem zdziwioną minę.

— Było zgłoszenie, to wiem — wyciągnął rękę. — Pan da aparacik!

Widać, nie ochłonałem jeszcze po liście z pogroźkami, bo zamiast oddać komórkę, podniosłem brwi, pytając: __ Pan od operatora?

— Znaczy... co? — zmieszał się. — Dajesz telefon czy nje? __ niecierpliwił się coraz bardziej. Na akord pracuje, czy jak?

Nie miałem do niego za grosz zaufania.

— Niczego nie zgłaszałem. A w ogóle, to kto do was dzwonił?

— Albo oddasz telefon, albo odłączymy cię od sieci! — wielkie łapsko zawędrowało w okolice mojej kieszeni.

— Jakież problemy? — mama wyrzała z salonu, a za nią ziewający pies.

— Nie... A w ogóle, jaki tu adres? — spłoszył się wąsacz.

— Rejtana czternaście, pan nie wiedział?

— REJTANA?! O matko! — monter chwycił się za głowę. — Myślałem, że Wiśniowa dwadzieścia siedem. Przepraszam i do widzenia! — Wybiegł, nie zamykając za sobą drzwi.

Dotarło do mnie, że powinienem zacząć się bać. I to na poważnie.

Rozdział 10.

Ręka szybsza od oka

Upłynęło zaledwie pięć minut od wizyty pomyłonego konserwatora analfabety, gdy dzwonek u drzwi rozdarł się wniebogłosy Akurat zdążyłem znaleźć w sieci stronę wiadomości telewizyjnych.

— Jaaanek! — zawołał Krzysio, z impetem wpadając do pokoju. — Kostek przyszedł!

— I jak ja mam zdać do następnej klasy! — wybuchnąłem, zapominając, że sam to towarzystwo do siebie ściągnąłem.

— Ja też zostanę nieukiem — oznajmił Glut. — Tak jak ty!

— Tylko spróbuj, to ci smary wyleżą uszami — zagroziłem, próbując jako tako posprzątać. — A poza tym — zreflektowałem się — ja wcale nie jestem nieukiem. Mam czasami pod górkę, i to wszystko. Kto tu robi taki chlew?! — zdenerwowałem się w końcu.

Glut zwiął, więc wkopałem co się dało pod tapczan, a na leżące na wierzchu ubrania narzuciłem koc. Teraz zrobiło się całkiem przyjemnie. Nawet plam od herbaty i soku na biurku nie było widać w tym świetle.

Wyszedłem, żeby ich przywitać i z miejsca mnie przytknęło.

— Jeżeli myślisz, że będziemy biegać na każde twoje zawołanie w tę i nazad, to się dobrze zastanów! — Stojący na

100

środku holu z przewieszonym przez ramię workiem sportowym Kostek nie miał na twarzy wymalowanego szczęścia. — dzie jesteśmy — wskazał na skubiącego słonecznik Plombę, rozglądającego się po kątach Lopeza i... zażenowaną Anię

Piętak.

— Czy ona też... jest detektywem? — zapytałem z niedowierzaniem.

— Może nas zaprosisz? — Plomba splunął w dłoń. Ciekawe, w jaki sposób pozbędzie się łupin?

— Ale Ania...

— Wyjdę, jak ci nie pasuje, Cyna — powiedziała Ania do ściany Na mnie nie patrzyła.

— Aniu... przecież ja tylko... no ogólnie... — zapomniałem, co chciałem powiedzieć.

Przypuszczalnie to, że mi na niej zależy i że zdążyłem się stęsknić, jednak w towarzystwie kumpli o uczuciach się nie rozmawia. — Bardzo się cieszę! — dodałem szybko, by nie zrozumiała na opak mojego wahania.

Wpakowali się do pokoju, bezceremonialnie zajmując najlepsze miejsca siedzące. W efekcie byłem zmuszony usiąść na podłodze, tuż przy nogach leżącego na tapczanie Kostka.

— Niepotrzebnie zdejmowałeś buty, Ptaku — stwierdziłem, marszcząc nos.

— Nie narzekaj, mogłeś trafić gorzej — zbagatelizował w odpowiedzi.

— Jakoś mi nic nie przychodzi do głowy — odsunąłem się nieco. Trafiłem w poblizze brązowych skarpet Jacka, więc

101

wstałem i oparłem się o parapet. Wszyscy jak na korenciII włożyli buty z powrotem. Nikt się nie odzywał.

— Co uchwaliliście? — mruknąłem po dłuższej chwili.

— Zaraz, przecież to ty darłeś się: „uruchamiam DERKI!” — ożywił się Kostek. — No to uruchamiaj — zachęcił nieokreślonym gestem.

Osiem oczu wlepiło we mnie źrenice. Od razu zrobiło mi się sucho w gardle i poczułem się jakby mniej inteligentny.

— Yyym... — wydałem z siebie nieartykułowany dźwięk, na dowód nagłej blokady umysłowej. — Bo...

— Co bo? Bombę podłożyłeś? — spróbował pomóc Lo-peż.

— Boo ten... — straciłem wątek, ponieważ spostrzegłem, że wyłuskał z półki cztery płytki z gramii, w tym „Piekielnego Podróżnika — powrót w zaświaty”, zapewne z zamiarem wypożyczenia.

Niedoczekanie. — Bo...

— Hm, borujesz? Bonitujesz gleby? Bokami robisz? —■ zgadywał Ligurski. — Już wiem, bobki! Zbierasz kozie bobki! To jakiś opłacalny biznes?

— Przerabiam kozie bobki na karmę dla Lopezów, więc I bardzo opłacalny! — wściekłość dodała mi polotu.

Plomba, widząc, co się święci, klasnął w dłoń. Do nie-Я dawna trzymał w nich łupiny słonecznika, a teraz były puste. Cud? Gdy wyjdę, zajrzę tu i tam.

— Dosyć, chłopaki! — powiedział poczerwieniały. —III W DERKI nie będzie kłótni, zrozumiano?

— Ale kto się kłóci? — uśmiechnąłem się odprężony Już I byłem gotów do dalszych działań.

102

— Może jednak wyjdę, będziecie swobodniejsi — odezwała się Ania. Z minuty na minutę stawała się piękniejsza. Jak to możliwe?

— Nie! — krzyknęliśmy trzej naraz. Jedynie Plomba ziewał, obojętnie dłubiąc w nosie. Ożywił się dopiero na dźwięk sygnału SMS-a. Wyjął telefon i zmrużył oczy

— Od wczoraj przydarzyło mi się parę dziwnych przygód — zacząłem opowieść. Z początku szło mi nieskładnie, lecz w miarę upływu czasu rozkręcałem się coraz bardziej. Aż za bardzo.

Słuchali w skupieniu. Nawet parkowy poród przełknęli dosyć gładko. Dopiero, gdy wyraziłem przypuszczenie co do wymierzonego przeciw mnie spisku kosmitów, pojąłem, że zaczynam pleść bzdury.

— Policjanci też mogą być nosicielami obcych, zwłaszcza... — przerwałem nagle, bo w oczach Ani dostrzegłem głębokie politowanie.

— Rozgryziemy sprawę — oznajmił Ptak i machnął ręką. — Tyle że jedna rzecz mi nie pasuje.

— Co?

— To. — Podrzucił w dłoni dzisiejszy kamień. — Kto się podszywa pod Skunksa?
— Twierdzisz, że Hulewicz... — Wyrzuciłem przez okno. Spokój. — Że Hulewicz nie ma z tym nic wspólnego? Przecież sam się podpisał.

Ligurski skorzystał z mojego zaangażowania w detektywistyczne rozważania i podniósł do góry płyty z gramami.

— Mogę? — zapytał bezgłośnie.

103

— Spadaj — odpowiedziałem równie bezgłośnie. Udał, że nie rozumie.

— Nikt się pod niczym nie podpisywał, Cyna — przypomniał Plomba. — Użył jedynie nazwy Tornado, a to mógł« zrobić każdy

— Przecież Skunks był zainteresowany, poniżony i żądny krwi — zaprotestowałem.

— Owszem, był. Ale był również nieobecny, bo — o ile wiem — od dwóch godzin jest w klinice dentystycznej Proteza w Zielonej Górze — przewodniczący samorządu uczniowskiego zerknął na treść SMS-a, który przyszedł do niego przed dwiema minutami.

— Co ty, jasnowidz jesteś? — odsunąłem się od okna. Zaczęło wiać, a ja miałem słabe nerki.

Usiadłem na poręczy fotela zajmowanego przez Anię, która nawet nie drgnęła.

— Zaraz tam jasnowidz. — Jacek schował telefon. — Nata-la chodzi na kółko plastyczne z Tyską, młodszą siostrą Szczęsnego. Tamta papie o wszystkim na prawo i lewo, więc jestem na bieżąco.

— Tyska? — Lopez podniósł brew. — Co to za imię, indiańskie?

— Normalnie: Justyna - wyjaśnił Plomba. — Ale przedstawia się jako Tyska, skrót jakiś chyba.

Rozmowa ni z tego, ni z owego przeszła na tematy błahe, więc otworzyłem drzwi i zawołałem:

— Krzyyyychu!

— Jestem. — Glut wynurzył się z kąta obok. — Wołałeś mnie?

104

— Podśluchiwałeś?!

— Chciałem, ale nic nie można zrozumieć — wyznał szczerze. — O czym się naradzacie?

— Nie „o czym”, a „nad czym” — poprawiłem odruchowo. — Nad niczym. Przynies czter... pięć butelek coli, szklaneczki i otwieracz — zadysponowałem. — Pić nam się chce.

— Cola miała być na grilla, do kielbasek — oburzył się mały

— Odbiorę ci psa — podniosłem palec.

Pobiegł natychmiast. Mam wypracowane skuteczne metody wychowawcze i muszę nieskromnie przyznać, że rodzice pod tym względem nie dorastają mi do pięt.

— Napijecie się? Już wysłałem brata.

— Cyna — odchrząknął Jacek Plomba. — Mam wrażenie, że twoje problemy nakładają się na nasze problemy Mam na myśli taki układ podwójny, spleciony jakby...

— He?

— Jacek chce powiedzieć, że pewne rzeczy pasują do siebie jak ulał — dołożył Kostek. — Jedynym osiągnięciem DERKI od czasu rozbicia Klanu Zaufanych było odnalezienie w lutym zaginionej Ziuty, papuzki mojej sąsiadki Leokadii Papiak.

— Nie ma się czym chwalić, bo papuga była zamarznięta na kość — podkreślił Plomba. — Niepotrzebnie ją, Jasiu, reanimowałeś.

— Reanimowałeś papugę? — w głosie Ani zabrzmiała pewna życzliwość. Jednak patrzyła gdzieś ponad moją głowę.

105

— Usta—usta — zaśmiał się Kostek.

— No co? — burknąłem. — Nadzieja przecież była. I nie usta—usta, tylko usta—dziób!

— Tak, tyle że drugą połowę Ziuty dawno koty zjadły, ale ta oferma tego nie zauważyła — powiedział Plomba i pokazał na mnie palcem.

Na twarzy Ani pojawił się grymas obrzydzenia. Nasz śpiący się związek znów mocno się obsunął, byłem jednak bezsilny.

Wszedł Glut z trzęsącą się tacą, pełną butelek, szklanek i talerzyków na ciasto.

— Potem przyniosę resztę, bo nie mam siły — stęknął. — Gdzie mam postawić? — zapytał, niebezpiecznie balansując. Poderwałem się, by mu pomóc, lecz niestety się spóźniłem.

Krzysio szedł, nie patrząc pod nogi — o co nie można mieć pretensji — i na swoje nieszczęście potknął się o czyjeś stopy.

— Jeju! — wydał z siebie pisk grozy, po czym runął wraz z tacą na tapczan.

Kostek wykazał się nadzwyczajnym refleksem, tudzież przytomnością umysłu, w porę zrywając się z tapczanu, lecz Patryk Ligurski dokonał rzeczy niebywałej. Odniosłem wrażenie, że się rozmazał w powietrzu. Właściwie, gdyby nasze mózgi nie zarejestrowały barwnej plamy, nic by się nie zmieniło. W tej samej chwili siedział na krześle przy biurku, rozpląnął się i znów siedział. Tyle że Glut stał z otwartą gębą, a taca bezpiecznie spoczywała na tapczanie w stanie nienaruszonym.

106

___ jesteś nawiedzony czy ćwiczyles kung-fu albo coś podobnego? — wydusiłem z siebie. — Bo jak mogłeś...

Krzysio oprzytomniał, kwiknął i uciekł. A niech tam, jeśli wygada, mama i tak mu nie uwierzy

— Ręka szybsza od oka — stwierdził Jacek.

— Widzisz, Cyna — Lopez podrapał się w głowę. — Im już opowiadałem... Moja rodzina od dwustu lat z hakiem jest, właściwie — była w posiadaniu pewnego przedmiotu...

— Luneta wisielca — pstryknąłem palcami. — Słyszałem co nieco.

— Zgadza się — Lopez zerknął łakomie na moje gry Zacisnąłem zęby — Jeszcze przed wojną starszy brat dziadka, Jędrzej...

— Jędrzej Ligurski?! Ten wywieziony do obozu? — wyszczerzyłem zęby Ania obdarzyła mnie łaskawym spojrzeniem.

— Skąd wiesz? — zaniepokoił się Kostek.

— W domu Łobodaków czytałem o tym w gazecie. Za- j pomniałem wam powiedzieć — wyjaśniłem. — Zresztą mało z tego zrozumiałem — po tych słowach zauważyłem, że oczy Ani zgasły. Oszaleć można z tą dziewczyną. — Pijcie — wskazałem butelki. Pochwycili je łapczywie. — W każdym razie Jędrzej zostawił mgliste wskazówki co do miejsca ukrycia przedmiotu — ciągnął Lopez.

— Co to ma wspólnego z twoją prędkością? — przerwałem mu niecierpliwie.

— Ty guzik jednak wiesz — pogładził palcami miecz „Piekielnego Podróżnika”, spoglądającego z kolorowej okładki płyty. Musiał być jak ja fanem RPG-ów. — Nie masz pojęcia, co potrafi luneta! Zgodziłem się, że nie mam. Sięgnąłem po przysługującą Ani butelkę coli i zapytałem wzrokiem, czy chce.

— Nie, dziękuję — zatrzepotała rzęsami.

— Jak nie, to nie — otworzyłem butelkę, ochlapując się biało-brązową pianą. Wyschnie. — To co potrafi luneta? — zagadnąłem Ligurskiego.

— Słyszałeś o Sumerach? — spoważniał Plomba.

— Coś niecoś...

— Sumerowie to prastara cywilizacja, sprzed prawie sześciu tysięcy lat — wyrecytowała Ania. Co się tutaj wyrabia? Najwyraźniej we własnym pokoju robię za matoła. —

Mieszkali w południowej Mezopotamii, czyli na terytorium dzisiejszego Iraku.

— Zapamiętałaś mój wykład — pochwalił Lopez. — Sumerowie wierzyli, że ich bogowie to przybysze z kosmosu...

— A nie mówiłem?! — wyrwało mi się. Kostek przyłożył palec do ust i syknął.

— Zdumiewające jest to, że wiedza astronomiczna Sumerów i niektóre odnalezione w świątyniach przedmioty świadczą mogą o kontaktach z jakąś rozwiniętą cywilizacją — kontynuował Patryk.

— Jeżeli nie z kosmitami, to z kim? A luneta...

— A luneta pomoże odnaleźć mego tatę — dokończyła Ania. — Dlaczego tak psykasz? — zwróciła się do Ptaka, nie dając mi chwili na poukładanie myśli.

— Tę? — pisałem niczym mysz na widok kota.
— Cicho bądź, Cyna — szepnął Ptak. Podążyliśmy za jego spojrzeniem.
— O w mordę — zdziwiłem się.

Nad parapetem sterczał fragment pomalowanego farbą maskującą wojskowego peryskopu. Jego obiektyw obrócił się niespiesznie, po czym skierował prosto na mnie.

Rozdział II.

Schizofrenia Mętlika

Tym razem ja byłem najszybszy. Skoczyłem do okna, zrywając niechcący firankę z karnisza i capnąłem metalową rurę. W ostatniej chwili, ponieważ rura najwyraźniej wyczuła niebezpieczeństwo. A ściślej mówiąc, wyczuł je osobnik trzymający końcówkę peryskopu. Prawie wypadłem na zewnątrz, ale nic to.

— Oddawaj — głos podglądacza wyrażał głębokie oburzenie i żal.

— Ogóras? — kwiknąłem zaskoczony. — Zostałeś szpiegiem?

Pod oknem stał Jurek Mętlik ubrany w połatany mundur polowy oraz czarny beret z naszytym orzełkiem. Szarpnął peryskopem, a kiedy nie udało mu się go odzyskać, pokazał mi język.

— Czekaj no, cwaniaczk! — zaparłem się. Jurek musiał mieć spocone dłonie, bo po krótkiej szamotaninie rura była moja. Miała na oko z półtora metra i wyglądała na obiekt muzealny

— Złodziej i bandyta — podsumował Mętlik. Zauważyłem, że przy parcianym pasie nosi bagnet albo jakiś nóż woj skowy Wziąwszy pod uwagę jego szaleństwo, mógł stanowi'

no

publiczne zagrożenie; zwłaszcza że nie wykazywał skruchy ani chęci ucieczki.

— Jurek, skąd się tu wzięłeś? — huknął mi nad uchem Plomba, bez pardonowo rozpychając się łokciami. Za nim tłoczyła się reszta detektywów Krawędź parapetu zaczęła mi się wrzynać w brzuch.

— Odwalcie się, głupki — zaprotestowałem. Gdy zrobiło się nieco luźniej, przerzuciłem nogi na zewnątrz i wyskoczyłem. Nie był to skok precyzyjny więc nic dziwnego, że

UI

zwałem się na Ogórka bezwładnie jak worek piachu. Upafl dliśmy na trawę. Mętlik wiał się niczym trzymany za głowę zaskroniec, lecz ze swoją wymoczkowatą budową ciała niewiele wskórał.

Obezwładniłem go migiem, wbijając kolana w rachityczną pierś schizola. Na wszelki wypadek zabrałem mu broń, która okazała się zabytkowym bagnetem o wyszczerbionym ostrzu. Powoli uniosłem go w górę.

— Nie! — Ogórek zacisnął powieki. — Ja chcę żyyyć! — j zawył dramatycznie. Wojskowy beret zsunął się na ziemię.

— Lepiej najpierw go przesłuchaj — doradził Kostek z okna.

— Zapytaj, dlaczego nas podglądał — wtrącił Plomba.

— I skąd ma takie wyposażenie — między Jackiem a Kost-kiem wynurzyła się rozczochrana głowa Lopeza.

Odrzuciłem bagnet, nie kryjąc obrzydzenia. Błysnął w słońcu i znikł w gąszczu rosnących w pobliżu krzaków bukszpanu. A niech się nim koty pobawią. Albo krety

— Może sami się pofatygujecie? — zapytałem, dysząc. Zmęczyło mnie ściskanie śmierdzącego potem i tłustymi włosami Ogórka, zwłaszcza że zaczął się ślinić i bulgotać.

Dwa razy nie musiałem powtarzać. Wzajemnie sobie pomagając, wylądowali na trawniku, i jak zauważyłem, znaleźli w tym sporo frajdy.

Na końcu pojawiła się Ania, zdecydowanie ignorując wyciągnięte ku niej dłonie Kostka i Patryka. Ja swoich nie mogłem jej ofiarować, choć bardzo chciałem. Dusilem przecież Mętlika.

— Wstań, Ogóras, nie rób z siebie pośmiewiska. — Plomba dał mi znak, bym się odsunął. Pochylił się, bez specjalnego

112

^siłku stawiając delikwenta na nogi. Mętlik stał chwiejnie, mieląc w ustach skomplikowane przekleństwa. Przez chwilę słuchaliśmy w skupieniu.

- A niech to! — przeraził się nagle Kostek. — Przecież mam biegi! Pomóż mi — zwrócił się do

mnie.

Podsadziłem go, ocierając plecy o szorstki tynk. Syknałem z bólu i w tym samym momencie spadł mi na głowę worek z dressem i butami do biegania. Świat wokół pociemniał.

- To ja lecę, później opowiecie — zadźwięczały gdzieś w pobliżu słowa Ptaka. Otworzyłem oczy. Kostek właśnie zniknął za ogrodzeniem, a Plomba usiłował ocucić omdlałego Mętlika.

- Ja chyba też pójdę — westchnęła Ania. — Robi się późno, a tyle nam zadali...

Nie wiem, skąd wytrzasnęła takie informacje. Jakoś nie przypominam sobie, żeby aż TYLE nam zadawali.

- Cześć, Jacek — machnęła ręką. — No i — omiotła mnie wzrokiem - trzymaj się... — Ogóras! - zasalutowała Mętlikowi po żołniersku i odeszła dróżką w stronę furtki.

- Gniewacie się? — Plomba otarł pot z czoła.

- Też to zauważyłeś?

- N00, nawet ślepy by się pokapował — przewodniczący trzasnął Mętlika w twarz otwartą dłonią. Ogórek nie zareagował. — O co poszło?

- Poszło, ogólnie mówiąc, o... - usiłowałem sobie przypomnieć, o co. Zdaje się, że dostałem zaćmy umysłowej, bo nic sensownego nie przyszło mi do głowy. — O takie tam sprawy wiesz... jak to z babami. Nigdy nie wiadomo.

и3

— Bablute lutok - wybełkotał oparty czołem o ramię Jacka przytomniejący Mętlik. Plomba odsunął go od siebie z odrazą.

— Coś mi tu napluł? — skrzywił się Jacek. — Kto ma ba-błucić?

— Ratujcie ludzkość! Ratujcie ludzkość! — podskoczył Jurek. — Oni nadchodzą — zniżył głos.

— Są blisko...

— Nie świruj pawiana — warknąłem. — Gadaj, jak się tu znalazłeś.

Mętlik rozejrzał się trwożliwie.

— Czy jest bezpiecznie? Zapewniłem go, że tak.

— Chodzą za tobą. Cyna — zatrzęsł się, jakby poczuł chłód. — Muszę cię chronić, dlatego zostałem komandosem. — Podniósł beret i naciągnął aż na odstające uszy. Przypominał zmilitaryzowanego Gapcia z baśni o królewnie Śnieżce.

— Skąd wzięłeś takie ciuchy? — Plomba skubnął rękaw munduru.

— Ukradłem — wychrypiał z dumą. — Ze szkoły.

— Jak to ze szkoły? — usiłowałem przypomnieć sobie, gdzie u nas w szkole są takie rzeczy.

— Nie z naszej, z ogólniaka — uściślił Ogóras. — Z magazynu rzeczy do przySpOSObienia obronnego. — Jego zielonkawa cera zarumienija się lekko. — Przecież mój brat Wacław należy do kółka strzeleckiego, nie wiecie? — zdziwił się. — Pomagałem im sprzątać magazyn przed inwentaryzacją — mówiąc to, rozglądał się czujnie. W pewnej chwili

114

przykucnął, a potem położył się plackiem, przykrywając rękoma głowę.

— To na wypadek nalotu — powiedział niewyraźnie z twarzą wciśniętą w trawę. — Siedzą cię z satelity albo ze statków zwiadowczych.

— Gadanie... — zbagatelizowałem, uśmiechem dodając sobie animuszu.

— Połóż się koło mnie, Cyna — szepnął przenikliwie.

— Zdumiałeś do reszty?

— Połóż się, mogą cię namierzyć i wyssać mózg. — Jurek błysnął oczami. — Ty, Plomba, też się połóż. Bo nic nie powiem. — Odwrócił od nas głowę.

Zdecydowaliśmy się natychmiast. Głównie dlatego, że moja mama wyszła wyrzucić śmieci i nie chcieliśmy zostać zauważeni.

— Furgonetka cię śledzi — kontynuował Mętlik. — Pomarańczowa, z napisem „napoje SEBA”. — Podjechała na sąsiednie podwórko, to sobie zajrzałem do środka...

— I co?! — zdenerwowałem się. Mama przystanąła na moment i skubnęła ucho. Wstrzymałem oddech. Odeszła jednak, kręcąc głową.

— No i nic, tylko jakiś kufer. — Mętlik wypluł kamyczek. — Pewnie trzymają w nim

dojrzewające jaja albo larwy.

Mama zawróciła, więc spłaszcyliśmy się ponownie. Ogórek mnie przerażał. Wiedzieliśmy, że ma problemy ze sobą, ale żeby aż takie? To przecież z daleka pachniało manią prześladowczą i biedny chłopak nie powinien chodzić do normalnego gimnazjum, bo rozsiewał bakcyle wariactwa.

115

Przypuszczalnie kilkadziesiąt osób już się zaraziło, na przykład taka Palikowa — na sto procent.

— Dość tych głupot — Jacek wstał, otrzepując ubranie. — Słyszałeś, o czym rozmawialiśmy?

— Próbowałem odczytać z ruchów warg — Mętlik oblizał zapiaszczone usta. — Zdaje się, że mówiliście coś po angielsku na temat lata, tak myślę.

— Lata?

— Summer, tak to odszyfrowałem...

— No brawo — Jacek poklepał go po głowie. — Planowaliśmy wakacje w Irlandii i tobie nic do tego, nie zabierzemy cię.

— Dlaczego? — zmartwił się Ogóras. — Nie byłem w Irlandii.

— Ktoś musi zostać na posterunku i śledzić kosmitów — odparłem. — Przecież nie możemy dopuścić do inwazji.

— Ale ja ciebie ochraniam, a na odległość...

— Już my Cynę popilnujemy — uspokoił go Plomba. — Nie damy się byle ufoludkom. Wracaj, Jurek, do domu i słuchaj radia, wróg nie śpi.

— Chyba że tak... — Mętlik podniósł się niechętnie. Odszukał peryskop i przycisnął go do piersi. Pomachaliśmy mu na pożegnanie.

— To pewnie on wrzucił kamień z pogroźkami, kręcił się przecież w pobliżu! — olśniło mnie, gdy tylko odszedł.

— Nie sądzę — powiedział Jacek i rozgryzł źdźbło trawy — Mętlik ma dysgrafię, a teksty nie zawierały błędów. To całkiem inny koleś... Lecę, Cyna — zreflektował się. — Mam obowiązki. Na wycieczce doszlifujemy plan.

116

— Plan? — potarłem czoło. — Jaki plan i na jakiej wycieczce?

— Spałeś w szkole? — Jacek splunął zieloną śliną. — Jedziemy do Gdańska szukać lunety wisielca! — wykrzyknął, przeczesując palcami włosy.

— Nie wyjaśniliście mi... — zaprotestowałem. — No i miałem ci dać kartkówkę z matmy.

— Obejdzie się, dostałem od Anki. Cześć! — mruknął i stękając, przelazł przez ogrodzenie.

Wspiąłem się na palce, chwytając krawędź parapetu. Od jesieni urosłem parę ładnych centymetrów, ucieszyłem się. Podniosłem oczy

Nade mną znajdowała się umorusana czymś różowym buźka Gluta. Przebijając nogami, wgramoliłem się do pokoju.

— Co tutaj robisz? — burknąłem gniewnie.

— Obżeram się — Glut wskazał na resztki ciasta z kremem. Sądząc po rozdętym żołądku, zjadł pewnie z pół kilo. — Ale zostawiłem ci wisien... kę — beknął przeciągle. Obrzydliś-two! — Chyba się porzygam — powiedział i znów beknął.

— Wszystko słyszałeś, prawda?

— Trochę... — przyznał. — Przyniosłem ciasto i nudziłem się. Fajnie torturowaliście tego żołnierza!

— Zamknij się — zatkałem mu usta. Pobladł niebezpiecznie, więc cofnąłem dłoń, przyciągając go do okna. — Oddychaj — poleciłem. — To nie był żołnierz, a poza tym nikt nikogo nie torturował, zdawało ci się. Tak się tylko bawiliśmy.

117

Odetchnął głęboko.

— Zapisz mnie do swojej bandy — poprosił. — Będę wam nosił torbę z granatami! Mogę czyścić karabiny; widziałem, jak robili to na jednym filmie.

— Nie ma żadnej bandy, debil — uszczypnąłem go w policzek.

— Powiem wszystko mamie...

— I zostaniesz bez psa — dokończyłem.
— No to co?! — zacisnął pięści wojowniczo. Pora na cios poniżej pasa.
— Widziałeś patyczaka bez głowy? — zapytałem beznamiętnie. Źrenice Gluta rozszerzyły się gwałtownie.
— Żartowałem, nie powiem — wyszeptał żarliwie. Jego twarz nabrała niebezpiecznego koloru, a z żołądka dobiegło ciche rżenie. Za chwilę będzie wesoło jak na karuzeli.
— Oczywiście, że nie powiesz, bo nie masz o czym — potwierdziłem i wyrzuciłem go z pokoju. Słyszałem, jak tupie pospiesznie.
Usiadłem, zbierając myśli. Jak na razie w głowie miałem jeden wielki bałagan. Ponownie włączyłem komputer, by coś znaleźć na jutrzejszy WOS. Zgłosiła się znajoma strona wiadomości telewizyjnych i jednocześnie zadzwoniła moja komórka. Numer nieznany — odczytałem, wciskając klawisz połączenia.
— Tak? — zapytałem zmęczonym głosem.
— Tu punkt napraw telefonów — powiedział ktoś nosowym głosem. — Proszę się natychmiast u nas stawić, adres...

118

— Chwileczkę — przerwałem. — Skoro rozmawiamy, to po co mam naprawiać aparat? Przecież działa bez zarzutu — faktycznie odbiór był czysty, pewnie bateria się sama podładowała.
— Eee, naprawdę? — spłoszył się tamten. — Zaraz się pewnie zepsuje... — Coś brzęknęło i pojawiły się piski i trzaski. Po chwili umilkły. — No i co?
— Nic — wzruszyłem ramionami. — Teraz też jest w porządku.
Nie podobała mi się ta rozmowa. Usłyszałem brzęk. Piski i trzaski stały się intensywniejsze. Już miałem wyłączyć telefon, gdy nastąpiła cisza.
— Podobało się? — głos tego faceta wydał mi się znajomy. — Jak się nie zjawisz, będziemy to powtarzać w kółko.
— Co pan powiedział?
— Po... powiedziałem, że bez naprawy te szумы mogą się w kółko powtarzać. Serwis jest...
— Wiem, gdzie — westchnąłem. — W pasażu na Traugutta.
— Nasz jest na Wiśniowej dwadzieścia siedem!
— Wiśniowa? Coś mi się kojarzy — podrapałem się po nosie. I wówczas zrozumiałem.
— No widzisz! — ucieszył się głos. — Przyjdź zaraz i przynieś telefon.
— A nie, zaraz to ja nie mogę, proszę pana — odparłem grzecznie. — Najszybciej jutro po szkole albo jak wrócę z Mrągowa.
— Jedziesz do Mrągowa? — zdumiał się mężczyzna po chwili konsternacji. — A kiedy się wybierasz?

119

— Na emeryturze — prychnąłem.
— Słucham?!
— Mówię, że na emeryturze, cwaniaki. Odpowiedzią był nieznośny szum. Wiedzą, że ja wiem. Tylko co ja wiem tak naprawdę?

Rozdział 12.

Inwalidą to ja nie jestem

Komuś bardzo zależało na moim telefonie, pomyślałem, myjąc zęby. Twarz miałem szarawą, zbyt zmęczoną jak na piętnastolatka. Przed snem przypiąłem walającą się na podłodze, zerwaną po południu firankę.

Jednak noc nie przyniosła spodziewanego ukojenia. Gdy zasnęliśmy na dobre, Dyzio przypomniał sobie o Ani i zaczął skomleć.

— Uspokój się — zgromiłem psa. Leżał na kocyku pod drzwiami Gluta i przyglądał mi się smętnie.

Korzystając z okazji, poszedłem do kuchni po coś do picia. Dyzio zawył tak przejmująco, że się nieomal udławiłem sokiem. Czy tylko ja go słyszę?

— Zamknij paszczę, świrusie, bo cię wyrzucę na dwór — ostrzegłem, ziewając. — Ten twój Glut

to niezły łobuz.

Otworzyłem drzwi pokoju brata. Chrapał.

— Masz swojego pieska — szepnąłem, po czym wkopałem tam kocyk wraz z opierającym się kundlem. — Dobranoc, wyj cu.

Wyrząłem przez okno. W bladym świetle księżycy dom sąsiadów wyglądał upiornie. Drzewa i inne nierozpoznawalne obecnie przedmioty rzucały długie, nieruchome cienie.

121

Już miałem zamknąć okno, gdy jeden z cieni poruszył się nieznacznie, a potem straciłem go z oczu. Pewnie kot. Ułożyłem się wygodnie w pościeli. Błoga cisza zamknęła mi oczy.

...szedłem brukowaną ulicą. Miasto było nieznane, pełne mrocznych zaułków i drewnianych, obitych kutym żelazem, cicho skrzypiących na lekkim wietrze zatęchłych bram. Starąłem się stapać ostrożnie, lecz każdy krok odbijał się zwielokrotnionym, gromkim echem od murszejących ścian wiekowych budynków.

Nad jednym z wejść kołysała się przymocowana do ściany poczerniałymi łańcuchami drewniana tablica: Pod Wesołyłr Wisielcem.

— To tutaj, Cyna! — zachichotał wychylający się z małego okienka Jurek Mętlík. Na wojskowy beret miał wciśniętą kucharską czapę, a w dłoni trzymał brudną ścierę. Przystanąłem.

— Co jest tutaj?

— Wejdz i się przekonaj. — Ogóras wyszczerzył zżarte próchnicą zęby. — Każdy musi kiedyś tu wejść.

Chciałem mu odpowiedzieć, że wcale nie odczuwam potrzeby wchodzenia do takiego miejsca, ale nie mogłem wydobyć z siebie żadnego dźwięku oprócz skomlenia. Dotknąłem zimnej żelaznej klamki. Mętlík pomachał ścierą zachęcająco.

— Janek! — zabrzmiał głos za mną.

Odwróciłem się. W rosnącej kałuży stała Ania z szarpiącym smycz Dziem. Po policzkach ciekły jej łzy. Kałuża rosła w zatrważającym tempie.

122

— Nie wchodź tam — załkała. — Nie wolno ci tam wchodzić!

— Muszę — wykrztusiłem. Bardzo pragnąłem ją przytulić.—Muszę...

— Próbowałem podejść do niej, jednak stopy wbrew mej woli przesuwały mnie w nieprzeniknioną ciemność.

— Wciąża mnie, sama widzisz — popatrzyłem na Anię bezradnie. To jednak pies skomlał, nie ja.

— Kocham cię, Cyna — wyszeptala.

— Co? — spytałem. Z mroku bił lodowaty chłód.

— Nienawidzę cię, Cyna! Strasznie cierpię...

Ciemność wessała mnie, nim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć. Przeszedłem kilkanaście metrów, macając dłońmi wilgotne ściany. Ilekroć próbowałem zawrócić, jakaś straszliwa siła paraliżowała całe ciało.

— Witamy w punkcie napraw telefonów — usłyszałem, a mrok rozjarzył się czerwonym światłem. Przede mną majaczyła wysoka, niewyraźna sylwetka.

— Czy to... — zawahałem się. — Czy to Wiśniowa dwadzieścia siedem?

— To samo piekło, synu! — postać zbliżyła się z chrzęstem. Nie mogłem się ruszyć.

Mężczyzna ubrany był w srebrną zbroję i maskę przypominającą głowę orła. W łuskowatej rękawicy trzymał podłużny przedmiot z soczewkami.

— Tego szukałeś? — jego głos brzmiał jak skrzeczenie olbrzymiego ptaka.

— Nie wiem — odkaszlnąłem.

123

<g^>

^^i

Γi

ся
CD
N тм
• ero
Э
43
3
o
N-
pa
3
'<
N ся
O czy я§
!*Г п i
Wia B B* "iN mipa l
—, O o. ■<
z szele dem i o pok prowac
stem wy uch c' 43
03 stanov l
o. r»3 C 3
w G s'.
2, ^ ^
o
I
o 3
a
o o
N
I
CTO
O
43
o 1-1
Ла
o
N
a
o-
N
pa
ся N
a-

Krzyś teraz je śniadanie — powiedziała, jakby to wszystko tłumaczyło. W swoich psich rachubach nie wzięłam na nią poprawki.

Zwlokłem się z wyrka, klnąc pod nosem. Włożyłem dres.

— Idziemy, szczyłu — obrzuciłem psa nieprzyjemnym spojrzeniem i przypiąłem smycz. W odpowiedzi zamerdał wesoło.

Powietrze było rześkie, a ja nie włożyłem skarpet.

— No dalej, sikaj! — ponagliłem obwąchującego trawnik Dyzia. Łypnął na mnie, po czym chwycił zębami wybrudzo-ny piachem liściasty patyk.

— O, na pewno nie będziemy się teraz bawić — poinformowałem go. Poczułem łaskotanie w

nosie. Jeszcze chwila i dostanę kataru. — Sikaj!

Dyziowi wcale się nie spieszyło. Palce u nóg zaczęły drętwieć. Niepotrzebnie wyszedłem w samych kapciach. Pies podniósł tylną łapę.

— Mądry piesek — pochwaliłem. Przedwcześnie jednak.

Pod płótem przemknął duży czarny kocur i pies natychmiast zapomniał, po co wyszliśmy. Smycz naprężyła się, a Dyzio zawisł na niej, usiłując wyrwać się w kierunku kota. Dyszał ciężko.

— Bodaj cię pokręciło — zjeżyłem się. Jeszcze mi tu kota brakowało do szczęścia. — Psik! — syknąłem odstrasżająco.

Dachowiec ocenił sytuację i prychnął z pogardą. Wskoczył na słupek ogrodzenia i zajął się wylizywaniem futra. Wredny prowokator.

— Nie, to nie — pociągnąłem smycz. — Idziemy do domu.

126

Na takie dictum pies zignorował kota, udając, że szuka ustronnego miejsca. Byliśmy trwale złączeni smyczą, więc pobiegłem za nim. Gorzko tego pożałowałem.

— Aj, zaraza! — przystanąłem, oglądając unurzanego w psiej kupie kapcia. I miej tu, człowieku, humanitarne odruchy! Nieźle mnie Ania wmanewrowała.

Odpiąłem Dyzia. Muszę się jakoś pozbyć niechcianego balastu. Przypomniał mi się bagnet Mętlika.

Idealne narzędzie do skrobania. Przeszukałem krzaki, ale bagnet przepadł. Ktoś go zabrał, bo w trawie leżało kilka świeżo ułamanych gałązek. Może Ogóras tu wrócił? Załatwiłem sprawę wiechciem zielska i złapałem psa, mając go nieistniejącym ciasteczkiem. Jeżeli tak mają wyglądać moje poranki, to serdecznie dziękuję. Feralna ławka na biologii zaczęła zbierać żniwo. Po drodze do szkoły uprzytomniłem sobie, że nie przygotowałem się na prezentację z wiedzy o społeczeństwie. Z ciężkim sercem kupiłem jakiś ilustrowany tygodnik polityczny, wertując go nerwowo. „Amerykanie planują budowę osiedla na Marsie” — przeczytałem wytłuszczony tytuł. Brzmi obiecująco. Zajrzałem na kolejną stronę. — „Jestem zagorzałym pacyfistą — przekonuje Osama bin Laden”. Ciekawe...

Mocne pchnięcie przewróciło mnie na chodnik. W ostatniej chwili podparłem się rękoma, amortyzując upadek, ale i tak grzmotnąłem kolanami o beton. Zacząłem podnosić się z jękiem.

— Tsa go ratować, co nie, gaździno?

127

Za mną stało, uśmiechając się, dwoje górali w strojach ludowych i z wózkiem inwalidzkim u boku.

— Ano, jak tsa, to tsa — potwierdziła góralka. Była niska i krępa.

Nim się obejrzałem, chwycili mnie pod pachy, chcąc siłą wpakować do wózka.

— Ale ja nie chcę! — spróbowałem wstać, lecz noszący sumiaste siwe wąsy góral przypiął mi ręce skórzanymi pasami do poręczy. Plecak gniótł mnie nieznośnie. — Inwalidą to ja nie jestem! — zaprotestowałem.

— Nie mondruj się — pogłaskał mnie po głowie. — Poje-dzies prościusko do szpitala — tupnął obutą w kierpce nogą i zawołał donośnie — Hej!

— A dyć nie wydzierajcie się, gazdo, bo ludziska pat-są — strofowała go góralka, z chustą nasuniętą głęboko na oczy. Zauważyłem, że oboje byli nieogoleni. Wózek zaczął się powoli toczyć.

— Nie trzeba, naprawdę! — czułem wszechogarniającą panikę.

— A jo mówiem, że jak tsa, to tsa! — góralka była niewrażliwa na jęki. — Moześ cosik sobie łoberwał w kiskach?

— Na pewno łoberwał, hej — potwierdził gazda. Wózek nabierał rozpędu. Płytki chodnika zaczęły zlewać się

w nieprzerwaną szarą smugę. Spłoszeni przechodnie odskakiwali na boki, na przemian psiocząc i złorzecząc. Niedaleko szkoły skręciliśmy w boczną, wiodącą do cmentarza uliczkę.

— Proszę się zatrzymać! — krzyknąłem. — Czy ja wyglądam na rannego?!

128

,- Cichojze, robacku — gazda pacnął mnie w ucho. — Sy-, juško naprawimy — mruczał. —

Kisecki naprawimy, komórkę naprawimy, syćkie łomyłki tez. Łoj, będzie dobrze, hej!

Sytuacja przerosła mnie bez dwóch zdań. Zostałem po-

rw^any.

— Przepraszam bardzo, dokąd ten uczeń jest wiezio-
Y? — przed nami wyrósł pan Krzywka, nauczyciel chemii.
\\f jednej dłoni trzymał teczkę, w drugiej zaś czarny parasol.

Wózek zahamował z piskiem.

— Do szpitala — oznajmiła góralka. Dłoń górala zacisnęła się na moich ustach. Pan Krzywka podniósł brew. — Muszę go tsymać, bo wymiotuje.

— Państwo z pogotowia?

— Ano z pogotowia — zełgał gazda. Próbowałem ugryźć go w palce, jednak bez skutku.

— Jak to? W takich strojach? — Czubek parasola mierzył w kierpce gaździny.

— Bo my som z Nowego Rynku, na wymianie — bąknął góral.

— Z Nowego Targu, profesozo — poprawiła kobieta.

— Czy my się nie znamy? — nauczyciel wyjął zza pazuchy okulary i przyjrzał się góralom podejrzliwie.

Palce gazdy drgnęły nerwowo.

— Pseciez, ze nie. Nas uczył chemii taki jedyn z brodom...

— Słucham?

— To my jus pójdziemy, profesozo — gaździna poprawiła węzeł pod brodą. — Chodu! — szturchnęła swego partnera.

Pchnęli wózek na pana Krzywkę i uciekli, znikając za cmentarną bramą.

— To oszuści, proszę pana! — krzyknąłem. — Trzeba ich gonić!

— Taak... — Chemik w zamyśleniu odpinał krepujące mnie pasy. — Hm, mam pamięć do uczniowskich twarzy, ale w górach nigdy nie pracowałem, do diaska.

Rozdział 13.

Pałka, zapalka, dwa kije

Okazało się, że uratował mnie przypadek.

— Dzisiaj jest jedenasta rocznica śmierci Martusi, mojej małżonki — powiedział pan Krzywka, zatrzymując taksówkę. — Zawsze w tym dniu kładę na jej grobie wieniec. Musimy się pośpieszyć, inaczej nici z punktualności. A tak przy okazji, dlaczego to góralskie pogotowie wiozło cię na wózku?

— Długo by tłumaczyć, proszę pana — byłem pewien, że chemik i tak nie zrozumie tego zawirowania wokół mnie. — Tak się chyba wygłupiali, z nudów.

— Co to za świat? — odparł zdumiony Krzywka. — Dawniej górale byli bardziej cywilizowani. Podjechaliśmy przed szkołę chwilę przed dzwonkiem, wywołując zdumienie gromady zaspanych uczniów. Przypuszczalnie w ich oczach zostałem szkolnym lizusem. A niech tam. Gorzej, że gazetę, za którą wybuliłem cztery złote, diabli wzięli. Jak i drugie śniadanie. Wkroczyłem do klasy, klapnąłem obok Dratwy, z którym dzieliłem ławkę na WOS-ie, po czym odszukałem wzrokiem Mętlika. Siedział pod ścianą jak zwykle samotnie. I jak zwykle zamyślony. Przynajmniej ubrał się po cywilnemu, odetchnąłem. Może dzisiaj miał przerwę w obsesjach.

131

Pani Anastazja Krocymordka, nazywana przez nas z racji Wyglądu Kluchą, wcisnęła się za biurko i chrząknęła, dając rnak, że rozpoczyna lekcję. Z reguły to nie wystarczało, jakie więc było moje zdziwienie, gdy szmery rozmów umilkły, Ustępując pola szelestowi notatek.

— Zgodnie z umową — zagaiła Klucha po sprawdzeniu obecności — osoby, które nie mają ocen z ostatniej kartkówki, zaprezentują swoje miesięczne obserwacje.

Rozluźniłem się.

— Mnie to nie dotyczy — szepnąłem do Dratwy Zignorował moje szepty, był zły za ponizienie nieobecnego dziś

Skunksa.

— Korzenny Mirosław — wytypowała Klucha.

Mirek Korzenny, jeden z wielu nierzucających się w oczy chłopaków, wstał, ściskając zeszyt.

— Obecny - mruknął.

— Obecność już sprawdzałam — przypomniała nauczycielka Nastrozone blond włosy miały w zamierzeniu odjąć Jej kilkanaście lat. W rzeczywistości wyglądała, mówiąc delikatnie, dosyć zabawnie. — Przedstaw, co tam masz.

— Mam czytać?

— A nauczyłeś się na pamięć?

— Nie.

— jo CZytaj — skrzywiła usta. Lata pracy zniechęciły ją do zawodu, z daleka rzucało się to w oczy.

Korzeń pogmerałw notatkach i zaczął dukać.

— Procesy- ee-- progresywne inklinacje al ter... globa-listów...

132

Ogarnęła mnie błoga senność. Męcząca noc, zaskakujący poranek, zagadkowa przyszłość. Można by tym obdzielić połowę miasta, westchnąłem. Ciężkie powieki opadły powoli, odgradzając mnie od bolesnej rzeczywistości. W tle bębnił głos męczącego się Mirka.

— ... lukratywne posady jej wyznawców...

Z otulającej świat mgły wyłoniła się orlopodobna istota.

— Nie szukaj mnie — zaskrzeczała. — Znajdziesz śmierć!

— Kim jesteś?

— Utu...

— Do ciebie mówi — syknęła siedząca z tyłu Beata. — Przestań chrapać, idioto.

Otrząsnąłem się. Klucha spoglądała na mnie z niepokojem.

— Prze... pra... praszam, nie dosłyszałem pytania — wybełkotałem spłoszony

— Nie śpisz?

— Ja?! — wstałem, wytrzeszczając oczy. — A gdzieżby, proszę pani! — W głowie szumiała mi nieznośna pustka. — Oczy mnie boją, to przymknąłem.

Klasa gruchnęła śmiechem.

— Znakomicie, Racyniak — pochwaliła nauczycielka. — Produkuje się więc.

— Nie rozumiem — wymamrotałem, tłumiąc ziewnięcie. — Jak mam się produkować?

133

Pani Kroczymordka wytarła w bibułę końcówkę długopisu.

— Werbalnie się produkuj, Racyniak.

Przestałem się chwiać. Sen ukrył się w zakamarki pamięci.

— Nadal nie rozumiem, proszę pani.

— Werbalnie, czyli wokalnie. Gadaj po prostu, coś przez miesiąc wypisał.

Teraz zrozumiałem i ciarki przeszły mnie na wylot.

— Zaszło, zdaje się, nieporozumienie, proszę pani — uśmiechnąłem się pobłaźliwie. Omyłki przydarzają się nauczycielom nagminnie. — Ja pisałem kartkówkę, więc nie podlegam odpytaniu.

— Owszem, pisałeś, lecz podlegasz — spuściła wzrok na dziennik. — Wszyscy jedynkowicze podlegają.

Ręce mi opadły, a za nimi szczęka.

— Jacy jedynkowicze? Dostałem czwórkę, czyli dobry!

— Dostałeś niedostateczny, czyli pałę — Klucha pokręciła głową. — Nie przedłużaj tej farsy Nie zdzierzyłem. Odsunąłem krzesło i podszedłem do biurka.

— Proszę pokazać — zażądałem.

— Twoja arogancja i brak elementarnego wychowania, tudzież poszanowania wartości mnie przerażają. Źle skończysz, ostrzegam cię — mówiąc to, zacisnęła dłonie na dzienniku.

Furia odebrała mi rozum. Sięgnąłem po dziennik, nie zważając na opór stawiany przez roztrzęsioną kobietę. Obserwujący nas zamarli w nieskrywanym zachwycie.

134

przerzuciłem strony, odnajdując WOS. Przejechałem palcem w dół, po kolumnie ocen z kartkówki. W mojej kratce wpisana była... jedynka.

— A... ale t-to... — wyjąkałem. — Proszę zo-zobaczyć p-pod światło — podsunąłem jej dziennik

pod oczy — Wyskrobane, ktoś przerobił! — zrobiło mi się niedobrze.
— Ja ciebie zaraz przerobię! — wyjęła mi dziennik z mdlejących dłoni. — Takiego chamstwa jeszcze nie przeżyłam, odkąd pracuję!
— Przepraszam, jeśli uraziłem — wybąkałem płaczliwie. — To jakiś podły spiszek...
— Spiszek? Wiedz zatem, że od dziś ja również należę do tego spisku — zgrzytnęła. — Na początek notatka, żeby wychowawczyni miała co czytać rodzicom na wywiadówce, terrorysto! — za-
głos, co pisze. -- Uczeń Racyniak Jan swoją postawą wypacza obraz normalnego... — tu zabrakło jej odpowiedniego słowa. — Normalnego nastolatka — dopisała z ulgą. Nie omieszkała umieścić szykan, jakich się wobec niej dopuściłem, obrazy majestatu, zdrady stanu i zamachu na państwo polskie. — Bo nauczyciel jest urzędnikiem państwowym, gdybyś nie wiedział.
Miałem ogromną ochotę wybiec z klasy, ale ucieczka pograżałaby mnie na amen. Usiadłem zrezygnowany. Na zeszytce znalazłem złożoną we czworo karteczkę.
— Jeszcze z tobą nie skończyłam — Klucha spojrzała z wyrzutem. — Czytaj opracowanie, żebyś nie mówił, że nie dałam ci szansy
Właśnie tego chciałem uniknąć. Powinienem błagać ją o wyrozumiałość, lecz zaryzykowałem.
— Tjaa... — rozprasowałem dłonią zeszyt. Korzeń snuł farmazony, mogę i ja. — Mam takie coś... eem... Amerykanie przymierzają się do zbudowania osiedla na Księżycu...
— Poważnie? — zapytała drwiąco.
— Powiedziałem, że na Księżycu? Miałem na myśli Marsa, oczywiście — powiedziałem z przekonaniem.
— No i?
— No i... się przymierzają... żeby zbudować.
— Co dalej? Kontynuuj, zaintrygowałeś mnie. Kontynuuj, dobrze jej mówić.
— Na razie zbierają fundusze.
— Z jakich źródeł?

136

— Chyba od... biznesmenów?
— Ty czytasz czy snujesz przypuszczenia? — odsłoniła zęby w ironicznym uśmiešku. Widziałem kiedyś w telewizji polującą jaszczurkę — Klucha wyglądała teraz podobnie.
— Czytam.
— Aha — ziewnęła sennie. Dałbym głowę, że dostrzegłem rozdwojony jęzor w jej paszczy. Zamrugalem, odganiając dziwne wizje. — Cóż jeszcze nam opowiesz?
— Ze... — zmarszczyłem czoło, usiłując sobie przypomnieć — ostatni Benjamin jest... zagorzał!
— O? — ożywiła się. — Benjamin jest zagorzał? Co to znaczy?
— Chyba to, że lubi... gorzałę — palnąłem. — Nie?
— Przynieś ten zeszyt — zażądała.
— Mam tu trochę nagryzmołone — spuściłem głowę. — Nie doczyta się pani.
— Nic nie przygotowałeś, prawda? Potwierdziłem zrezygnowany
— Wiedziałaś — wyprostowała się z tryumfem. — Czy do was nie dociera, że nas się nie oszuka? — omiotła wzrokiem cichutkich jak mysz pod miotłą uczniów. — Nie dorośliście do tego, by traktować was jak ludzi! A ty, Racyniak, czuj się zagrożony! — Krótki ruch dłoni nie pozostawił mi złudzeń co do oceny. Leżałem z kolejnego przedmiotu.
Zapisała na tablicy nowy temat, lecz przestało mnie to interesować. Rozłożyłem liścik. „Pałka, zapałka, dwa kije, cwaniaczek Cyna nie żyje! Usunąłem ci czwóreczkę, cieszysz się? Tornado wymiata! S.H.”.

137

— Kto to podrzucił? — zapytałem Niteckiego.
— Bo ja wiem? — Dratwa wzruszył ramionami. — Skądś przyfrunęło.
— Skunks ci tego nie dał?
— Szczęsny leczy zęby, gnoju! — warknął Bolek z nienawiścią. — Jeszcze za to zapłacicie. Pani Krocymordka pogroziła mu palcem. Powinna go od-pytać, ja bym tak zrobił. Na przerwie

przypałał się do mnie Zuzalek.

— Masz kłopoty, co?

— A kto ich nie ma? — odparłem filozoficznie, wypatrując Ptaka. — Dzięki za współczucie. — Skierowałem się w stronę toalet.

— Skunks się na ciebie uwziął, na nauczycieli też — nie dał się zbyć Zuzał. — To niebezpieczny typ. Wiesz, co mi powiedział?

— Nie mam pojęcia... Lopez, zaczekaj! — zauważyłem przemykającego korytarzem Ligurskiego. Wbrew wcześniejszym zwyczajom, nie usiadł ze mną na WOS-ie, a szkoda. Przynajmniej wiedziałbym, od kogo dostałem korespondencję. — Chyba mnie nie usłyszał.

— Zostaw go — doradził Zuzalek. — Jest jakiś nietypowy Wiesz co, moglibyśmy się bardziej skuplować, pasujemy do siebie.

— Nie przypuszczam — zaczął mnie złościć. — Co ci powiedział Hulewicz?

Chce, żebym do nich przysłał...

— To nie nowina, każdego namawia — nie wiedziałem,

138

jak się pozbyć natręta. — Dziewczyny też się przy nim kręcą. Muszę iść do biblioteki.

— Zaraz dzwonek, nie zdążysz — Zuzał postukał paznokciem w szkło zegarka. — Szczęśny odgraża się, że cię załatwi. Ze nie puści płazem.

— Płazem to on jest od urodzenia, Piotrek. Masz jeszcze jakieś rewelacje?

— Właściwie nie — wyszeptał Zuzalek. — Szkoda, że nie siedzimy już razem na bioli, fajnie było.

— Nie moja wina, stary. I nie twoja — klepnąłem go w ramię. — Samo życie. Idziemy na lekcję! Odszedłem szybkim krokiem, zostawiając go w tłumie. Stał tak, poszturchiwany przez śpieszących się do klas nastolatków. Na twarzy malował mu się beznadziejny smutek.

Zanim pojawił się Ciapek, dorwała mnie Edyta Mateńko, skarbniczka.

— Sto pięć — wyciągnęła rękę. W drugiej trzymała notes.

— Jak masz chęć, to se wkręc — odpowiedziałem.

— Co se wkręc? — potrząsnęła warkoczem.

— A co sto pięć?

— Zbieram na wycieczkę, podobno jedziesz, więc wpłać zaliczkę — wyjaśniła. — Sto pięć złotych.

— Zapomniałem — wyznałem szczerze. — Jutro przyniosę, Eda. Zapiszę sobie.

— Jutro, Cyna, to będzie futuro. Dzisiaj chcę wpłacić Tycze forszę, prosiłam przecież. Nie będę nosić po mieście pieniędzy

139

— Było mówione, że do piątku, i tego się trzymajmy — popatrzyłem na nią z uwagą. Miała ładne oczy, ale do Ani jej daleko.

— Jesteś podły, wszyscy chętni już wpłacili — popatrzyła na mnie z niesmakiem.

— Skoro jestem podły, zachowam się podle i wpłacę jutro — odrzekłem rozdrażniony.

— Poszukasz Palikowej i jej wpłacisz — oznajmiła wyniośle. — Ja nie mam zamiaru ryzykować dla takiego zazdrosnego padalca. Mnie nie doprowadzisz do łez, świni.

Chciała odejść, ale złapałem ją za rękę.

— O czym ty gadasz?

— Czepiasz się głupot i masz serce z kamienia, tyle ci powiem — uwolniła się i pobiegła na miejsce, bo do klasy wparował spóźniony Ciapek.

Jego zadowolona mina nie wróżyła najlepiej.

Rozdział 14.

Fatalnego dnia ciąg dalszy

Jednak tym razem przeczucie mnie zmyliło, Ciapek nie szykował żadnej pułapki. Wręcz przeciwnie.

— Muszę się wam czymś pochwalić — rozsiadł się wygodnie na krześle.

— Wygrał pan trójkę w totka? — zapytał ktoś zjadliwie.

— Nie, ale możecie zgadywać — zanosilo się na luźną lekcję, bo w zgadywaniu byliśmy

niepokonani.

— Kupił pan nowy krawat! Ale śliczny! — podlizła się Otylia Zębacz, najgrubsza dziewczyna w klasie.

— Ten? — matematyk ujął swój prążkowany krawat w dwa palce. — Ten krawat, moja droga, noszę od pół roku — obraził się nieco.

— Wiem — wyrwała się Beata. — Oświadczył się pan wreszcie pani Wioletce! Kiedy ślub?

— Też coś — spłoszył się pan Ciapek. — Z wami tylko zacząć. Powiem, bo i tak nie zgadniecie — podniósł się, oparł dłonie na biurku i powiedział z dumą — Jeden z moich uczniów, Ptak Konstanty, wygrał wczorajszy bieg przełajowy o puchar przechodni burmistrza Czkawki! Zdobył też nagrodę główną, czyli rower wyczynowy marki Shima-no.

141

A to morda cicha z tego Ptaszyska, nawet nie przedzwonił. Myślał, że się nie dowiem?

— Chwileczkę — wyciągnąłem rękę. — Kostek wygrał, ale co pan ma z tym wspólnego?

— Jak to co? — poczerwieniał Ciapek. — To ja uczę matematyki w tamtej klasie, nikt inny No i mam przejąć wychowawstwo od pani...

— O ile wiem — ciągnąłem niewzruszenie — Kostek trenuje przełaje od podstawówki. Nie bardzo pojmuję, jaki jest pański udział w jego wygranej.

Samozadowolenie matematyka pierzchło gdzieś w nieznane. Zwalił się na krzesło z łomotem i wstrętem w oczach.

— Twoje szydercze nastawienie jest bardzo nie na miejscu — wy sapał. — Nauczyciel to najważniejszy element w rozwoju ucznia, ale tak płytki rozum jak twój nie jest w stanie tego ogarnąć. Od rana trąbię o tym zwycięstwie i od rana zbieram gratulacje, a tu, proszę, kpiarz się trafił. To ja, a nie ty dopingowałem Konstantego, choć wiatr hulał w moich włosach! — perorował z goryczą. — To ja, a nie ty, Ra-cyniak, zdzierałem gardło, krzycząc: Kostek, gaz do dechy! To ja z własnej pensji wykupiłem cegiełkę na rozwój sportu amatorskiego, podczas gdy ty w ciepłych kapciach zaśmiecałeś sobie głowę filmami piątej kategorii! — Na ustach nauczyciela zgromadziły się krople śliny. — I to tobie, cyniczny potworze, klasa zawdzięczać będzie kartkówkę z Talesa! — uniósł rękę w teatralnym geście rozpaczy

— Ale myśmy już pisali z Talesa — pisnęła zrozpaczona Otylia. — Niech Racyniak sam pisze!

142

— O nie. — Ciapek otworzył okno, wciągając ze świstem powietrze. — Klasa to zbiorowość, napiszecie więc wszyscy i wszyscy koledze podziękujecie. Skończyłem temat.

Zapadła grobowa cisza. Powinienem wymoczyć jezor w formalinie, ale mądrość przyszła za późno.

Co za różnica dla mnie, kto sobie przypisuje czyjeś sukcesy? Czując na sobie nienawistne spojrzenia, wyrwałem kartkę z brudnopisu.

Wybawienie nadciągnęło ze zgoła nieoczekiwanej strony

— Dzień dobry — do klasy zajrzał Wąsik. — Masz pan chłopaków, panie Maćku?

— Nie mam, panie Stefanie — odparł zaskoczony Ciapek.

— Przecież widzę, że są — woźny popatrzył na nas spode łba. — Będzie ze dwunastu.

— Ale chodziło mi, że nie mam teraz czasu, kartkówkę piszą — tłumaczył Ciapek.

— Przecież widzę, że nie piszą. — Wąsik niespiesznie zamknął drzwi. — To jak?

— Czy coś się stało?

— Stoły na stołówkę przywieźli. Nosić trzeba — wyjaśnił woźny. Nie miał zamiaru ustąpić.

Wiedząc z góry, że postawi na swoim, zaczęliśmy się pakować.

— Wy dokąd? — spłonił się matematyk. — Wcale nie kazałem wychodzić!

— Dyrektor Balezny kazał, chyba że pan zapłacisz postojowe — mówiąc to, Wąsik kiwnął na nas ręką. Wyskoczyliśmy ochoczo z ławek.

143

— Skoro dyrektor... — poddał się Ciapek — to co ja mogę? Tylko niech pan na nich uważa, to jaskiniowcy. Żebyśmy obaj nie poszli siedzieć.

— My? Dyrektor kazał, dyrektor pójdzie — skomentował woźny ponuro. — Co nam do tego? No dalej, nie ociążać się! A ten, czemu nie idzie? — Wskazał na lękliwie kurczącego się w ławce

Ogórka.

— Jerzy jest słabo dysponowany, ma, nazwijmy to, problemy emocjonalne, które...

— Kaleka znaczy? — machnął ręką Wąsik. — Przez te komputery, satelity, panie Maćku, to oni wszyscy kalecy jacyś. Dawniej taki by nie przeżył.

— Tak nie wolno mówić, panie Stefku — w matematyku obudził się pedagog. — Odpowiednim podejściem...

— Daj go pan do noszenia, będzie miał odpowiednie podejście, he, he! — zaśmiał się woźny. — No dobra, chłopcy idą, dziewczyny i kaleki zostają.

Ustawił nas w pary jak przedszkolaków.

— J-a też pójdę! — zdecydował się Mętlik. Widać, drzemała w nim męska ambicja i teraz się obudziła.

— No widzisz pan? — Woźny podkreślił węża. — I czego was uczą na tych studiach? Głupot, panie, samych głupot.

Wyszliśmy, zostawiając Ciapka w konsternacji. Dobraliśmy się po dwóch do stołu, a Mętlik z Zuzką mieli liczyć, czy stan się zgadza.

— Mogłeś mi przypomnieć o forsie na wycieczkę — sapnąłem do Lopeza. — Czekaaj, źle chwyciłem.

144

— A ty co, sklerozę masz? — odciął się Ligurski. — Niań-czyć cię trzeba?

Zamieniliśmy się miejscami. Niewiele to pomogło, ciężki blat dalej wyslizgiwał mi się z dłoni.

Targaliśmy stół, stawiając drobne kroki, niczym dwie pryszczate gejsze, lecz mimo tego co chwilę obtłukiwałem sobie nogi metalowymi wspornikami. Pożałowałem, że nie zostałem na kartkówce, z Talesa byłem obryty na cacy

Stołówka znajdowała się mniej więcej na skraju wszechświata, więc dobrnęliśmy tam ostatkiem sił. To znaczy, ja dobrnąłem, bo Ligurski wydawał się w wyśmienitej formie.

— Odsapnijmy — poprosiłem, ciężko dysząc. Doszliśmy właśnie do drzwi.

— Tutaj? Chyba mamy je wnosić na salę — Lopez oblizwał wargi. — Zresztą jak chcesz.

Postawiliśmy stół, zerkając, czy nie nadciąga następna para tragarzy. Otarłem rękawem mokre czoło.

— Gdzie mi łobuzy drzwi blokują! — wrzasnęła kierowniczką stołówki, wynurzając się z zaplecza. — Już mi stół zabierać, ustawiać pod oknem!

Piorunem odzyskałem wigor. Prawie sam przeniosłem stół, a zdumiony Ligurski robił za nieistotne tło moich działań. Musiałem się natychmiast zmyć.

— Ja ciebie skądś znam? — zagadała skrzywiona kobieta.

— Niemożliwe, nie jadam byle... nie stołuję się tutaj, proszę pani.

— A jednak cię znam — zmarszczyła czoło. — Nie jesteś

145

przypadkiem jednym z tych zabiedzonych Korniszkiwiczów korzystających z opieki społecznej?

— Nie, na pewno nie — pociągnąłem za rękaw stojącego z zaciekawionym obliczem Lopeza.

— Pokaż no się — zbliżyła się do mnie, przyglądając się badawczo. — Maurycy Korniszkiwicz to twój brat? Jest was trzynaścioro, jeżeli się nie mylę. Biedna wasza matka, ręce sobie po łokcie urabia.

— My już pójdziemy po następny — wymamrotałem, zakrywając usta dłonią.

— Co tak się chowasz? — spytał zaniepokojony Lopez.

— Zęby! — jęknąłem. — Rozbolały mnie! Wskoczyłem ze stołówki, czując gwałtowne skurcze żołądka.

— Ejże! — zawołała kobieta. — Weź trochę zupy do domu, co prawda wczorajsza...

Przystanąłem za rogiem.

— Więcej nie noszę, stary — oznajmiłem zdumionemu Patrykowi. — Jeżeli ona sobie przypomni, skończę u dyra na dywaniku.

— Nie przestajesz mnie zaskakiwać, Cyna. Porysowałaś jej samochód?

— No coś ty — zachnąłem się. — Znalazłem na stołówce karalucha i... powiedziałem parę

niepotrzebnych słów.

— Nic nowego — Lopez obdarzył mnie szelmowskim uśmiechem. Wyjął z kieszeni lusterko, poprawił włosy i zapytał — Chcesz się zabunkrować, to wezmę Zuzalę do pomocy, i tak się objaja.

146

Podziękowałem mu, nie kryjąc ulgi.

— Co do Ani... — westchnąłem.

— Wiem — położył mi rękę na ramieniu. — W poprzedniej szkole było podobnie, chłopaki są zazdrosne. Ale ja już mam dziewczynę i nie potrzebuję cudzej.

— W naszej klasie?

— Tajemnica — Patryk mrugnął porozumiewawczo. — Wam też się ułoży, niech się tylko wyjaśni z jej ojcem.

Poblądłem.

— Słyszę o jej ojcu już któryś raz — powiedziałem zdławionym głosem. — Czy tylko ja nie wiem, o co chodzi?

— Niemożliwe, żebyś nie wiedział, przecież ona... — Lopez nie krył zaskoczenia. — Wszyscy wiedzą. Nie powiedziała ci? W głowie się nie mieści!

Trudno było zaprzeczyć.

— Mów!

— Jej stary wraz z dwoma kumplami kupił do spółki niewielki jacht na Wolinie. Kumasz? Wędkowanie na morzu i takie rzeczy. Wybrali się w ostatni weekend i mieli pecha: sztorm, człowieku, taki, że głowa boli. No i zatonęli...

— Jak to?! — chwyciłem go za bluzę. — Zatonęli?

— W telewizji mówili, że zatonęli. — Patryk uwolnił się z mojego uścisku. — Potem okazało się, że tamci dwaj pływali prawie godzinę w kapokach i wyłowił ich niemiecki kuter. Piętaka z nimi nie było, podobno próbował rzucić szalupę, ale stracili go z oczu. W sumie ciała nie znaleziono, więc Anka ma nadzieję, że luneta...

147

— Tu się dekuje, łotry — z tymi słowami wyłonił się zza rogu wściekły Wąsik. — Prawdę mówili, żeście uciekli od roboty. A tam jeszcze dwadzieścia stołów!

— Już pędzimy, panie Stefanie! Racyniak trochę zemdłał i cuciałem go — wymyślił Lopez na poczekaniu.

— Zemdłał? O kurna chata, niedobrze — zafrasował się woźny — Idź do klasy... albo lepiej nie, idź może do...

— Do biblioteki — zasugerował Ligurski.

— Otóż to, idź do biblioteki i się poucz — zgodził się Wąsik. — Nic tu po tobie. A ty — zwrócił się do Patryka — weź sobie do pary tego wysokiego, Zezołka czy jakoś tak.

W bibliotece panowała iście naukowa atmosfera. Pani Luiza w skupieniu katalogowała jakieś pozółkłe książki, zaś komputer okupowała rudowłosa Agata Ciernik z klasy Kostka.

— Cześć, Aga, długo jeszcze? — zagadałem uprzejmie.

— Niedawno zaczęłam, więc się odfanzol, Cyna — odgo-niła mnie zniecierpliwiona. Podejrzałem, że usiłuje połączyć się z Internetem. Na tym komputerze zejdzie jej do Bożego Narodzenia.

— Uczeń wchodzący do biblioteki powinien się najpierw przywitać — bibliotekarka spojrzała spod okularów z wyraźnym oczekiwaniem.

— Nie śmiałem przeszkadzać — ukloniłem się. — Widzę, że pani zajęta. Te papiery to na straty?

— Jakie papiery? — rozejrzała się z niepokojem.

148

— No te, na biurku u pani. Mogę wziąć na makulaturę, u nas na osiedle przychodzi taki facet z wózkiem, to mu podrzucę.

Chyba ją zamurowało. Patrzyła to na mnie, to na książki, aż w końcu wybuchła:

— Wypraszam sobie! To są dary od nauczycieli, a nie śmieci! Jak w ogóle śmiesz krytykować książki? Nie przeczę, że aktualność, jak również stan niektórych pozostawia wiele do życzenia, jednak zawierają w sobie...

— Roztocza?
— Wartość historyczną i... i emocjonalną. Ktoś je kiedyś kupił...
— I żał mu wyrzucić? Nie wiedziałem, proszę pani — próbowałem ją ułagodzić. — Mogę przejrzeć gazety?
— O, co to, to nie, dewastatorze! Możesz sobie posiedzieć i przemyśleć pewne sprawy.
— Dzień dobry! — do czytelnicy wszedł Kostek. — Cześć, Cyna! — rozjaśnił się na mój widok. — Wygrałem biegi, słyszałaś już?
— Pewnie, Ciapek wygrał je razem z tobą. Usiedliśmy przy stoliku, odprowadzani czujnym wzrokiem pani Luizy.
— Jak, razem ze mną?
— Jak, to ja nie wiem. Nie macie lekcji? — wskazałem na Agatę.
— Okienko, synu. Przyszedłem poszukać czegoś o Sumerach. Mam plan, megaplan, można powiedzieć. Można wziąć encyklopedię? — zwrócił się do bibliotekarki.

149

— Oczywiście, ale usiądź z dala od tego... chłopaka. Jakoś mu nie wierzę — przetarła okulary. Wyszedłem bez słowa. Moja opinia w szkole została znacznie nadszarpnięta i jeżeli czegoś z tym nie zrobię, to zginę.

Rozdział 15.

Klątwa Smutnego Antosia

— Coś ty taki przewrażliwiony? — Kostek dogonił mnie na schodach.
— Nie wiem — odparłem, zatrzymując się niespodziewanie. Refleks miałem bez zarzutu i to mnie ratowało. Kostek również przystanął. Piętro wyżej chłopaki z mojej klasy właśnie się naradzały na schodach, czy wracać na matematykę.
— Ciapek zdąży z kartkówką, nie bądźcie frajerami!
— Może nie zrobi?
— A jeśli zrobi? Nieźle się nam Cyna podłożył!
— Jeszcze go załatwimy — ten głos należał do Ślipka. Ptak położył palec na ustach, po czym szturchnął mnie delikatnie, wskazując na drzwi wyjściowe. Zrozumiałem.
— Znowu się naraziłeś? — zapytał, gdy wyszliśmy przed szkołę.
— Jak to w życiu — odpowiedziałem niejasno. — Co to za megaplan?
Ukucnęliśmy za drzewem, żeby nie wpaść komuś niepowołanemu w oczy. Na przykład dyrektorowi, którego gabinet ma okna od tej strony. Albo robotnikowi smołującemu dach kotłowni. Z dorosłymi nigdy nie wiadomo.

Mój kumpel podumał chwilę, po czym oznajmił:

151

— Megaplan ogólnie jest taki, że zrywamy się z wycieczki i szukamy lunety
— A szczegółowo?
— Szczegółowo powiem, jak dopracuję pewne... drobiazgi. Zaraz koniec lekcji, możemy się powoli zbierać.
Prawdę mówiąc, nie miałem ochoty wracać. Nie paliło mi się do tej bandy lizusów, a dzień był rozkosznie ciepły i słoneczny. Odgłosy ulicy nie raniły uszu, za to z krzaków bzu dobiegały radosne trele krzątających się ptaków.
— Może by tak... dać sobie spokój na dzisiaj?
— Wiem, co kombinujesz — Kostek był bystry — Ale nic z tego, koniec roku za pasem i w budzie aż iskrzy Belfry dostają świra, byle dać im pretekst. Tylko samobójcy ryzykują przed wystawieniem ocen.
I pomyśleć, że chciałem mu opowiedzieć o dzisiejszych przejściach z nauczycielami. Wziąłby mnie za kompletnie nieodpowiedzialnego i odsunął od działań DERKI. Dla mojego dobra.
— Jutro albo w sobotę umówimy się, co i jak. Dam ci znać o miejscu spotkania.
— Ale szlaban... — przypomniałem mu.

— Pamiętam, coś się wymyśli — mruknął uspokajająco. — Już moja w tym głowa...
Lekcja się skończyła i nim przebrzmiał dzwonek, na dziedziniec wysypała się co najmniej setka uczniów. Wbrew pozorom miało to swoje zalety Straciliśmy spokój i ptasie świergoty, za to zyskaliśmy na anonimowości. Ruszyliśmy spacerkiem do wejścia, poważni jak starzy agenci.

152

— Ktoś zakosił bagnet Mętlika — przypomniało mi się.
— Jaki bagnet... a, ten bagnet! Wpadł w krzaki, trzeba dobrze poszukać i się znajdzie — doradził.
— Zresztą był zardzewiały, więc czym się przejmujesz? Kup sobie nowy
— Nie potrzebuję bagnetu, tak się tylko zastanawiałem. Macie biologię pod jedenastką? —
zmieniłem temat.
— W tamtym roku miałem, a co?
— Nic — włożyłem ręce do kieszeni. — Kojarzysz pierwszą ławkę przed biurkiem?
— Kojarzę, tylko czubek dałby się w niej posadzić — zaśmiał się Kostek. — Jest feralna. Podobno
nawet potrafi zabić. Tak słyszałem.
— Żartujesz? — przełknąłem ślinę. — To w szkole może stać taka ławka?
Oparłem się plecami o ścianę, bo nagle zasłabłem. Na swoje nieszczęście oparłem się w miejscu
najgorszym z możliwych, ale dowiedziałem się o tym dopiero po chwili.
Zanim mi wyjaśnił, co ma na myśli, mówiąc o morderczej ławce, podeszło do nas dwóch
naburmuszonych pierwszaków Jednego znałem, nazywał się Wirgiliusz Gzyl, mieszkał niedaleko
mnie, na Kosynierów Spotykałem go kiedyś na treningach. Zauważyłem, że zmienił się, zmęźniał i
ściął włosy Drugi, niewiarygodnie piegowaty okularnik o prawie białych włosach, nie prezentował
się szczególnie urodziwie. Pewnie intelektualista.
— Cześć, Kostek! — przywitali się.
— Cześć, Cyna — dodał Gzyl po namyśle. Piegowaty nawet na mnie nie spojrzał. Już ja go przy
jakiejś okazji wychowam. — Słyszeliśmy, że sprzedajesz rower.

153

Spojrzałem na Kostka z niedowierzaniem, ale nie zaprze czył.
— A co? — zapytał dyplomatycznie.
— Podobno wygrałeś go wczoraj — piegowaty splunął i sprzedajesz nówkę za pół ceny.
— Ktoś ty jest w ogóle? — zainteresowałem się, nie dają Ptakowi szansy na odpowiedź.
Młody podłubał w ucho i znów splunął, nic nie mówiąc Za moment palnę go łeb.
— To Zbysław Czarny z mojej klasy — odpowiedział z niego Wirek. — Zbychu, po prostu.
— Czarny? — postarałem się, by zabrzmiało to ironicznie Pewnie zabrzmiało, bo piegowaty wydał
policzki, a pote pozbył się zapasów śliny na co najmniej tydzień.
— To jak z tym Shimano? Potargujemy się? — Zbych spojrzał na Kostka z cwaniackim błyskiem
w oku.
— Chyba źle słyszę? — roześmiał się Ptak. — Chcesz si targować poniżej połowy ceny za nową
wyczynówkę?
— A ile byś chciał? — Wirek powstrzymał pobladłego z gniewu koleżkę srogim spojrzeniem. —
Pięć stówek styknie.
— Nie jest na sprzedaż, spadajcie, głaby — Kostek oddalił ich królewskim gestem.
— To po co ta rozmowa? — opluł się Zbychu. — Masz nas za idiotów?
— Po pierwsze, plujesz jak wielbłąd, a to niekulturalnie, po drugie, nie okazujesz starszym
szacunku — wycodziłem, patrząc mu w oczy. Na zewnątrz spokojny, w środku kipiałem z ledwie
hamowanej złości.

154

— Szacunku, dobre sobie — parsknął piegowaty. — Nie mam szacunku dla kogoś, kto stoi w
smole i robią na niego gołębie! — splunął od serca i odszedł
z wypiętą piersią. Wirek za nim.
Zerknąłem na stopy i zatkało mnie. Podeszwy butów tkwiły zanurzone w kałuży niezastygłej smoły,
która musiała się wylać dekarzowi z wiadra. Przy okazji odkryłem strużkę ptasich odchodów na
rękawie.

Podniosłem głowę, Kostek również. W tym momencie rozdrażniony naszą obecnością gołąb rozpoczął kolejne bombardowanie.

— Uważaj! — krzyknął Kostek, odskakując przytomnie.

Nie zdążyłem. Mokra wydalina pacnęła mnie w czoło, tuż za nią poleciała jeszcze jedna, na plecy. Kiedy wyzwoliłem się wreszcie ze smoły, pobiegłem, pokracznie stawiając stopy, do sto jącego pod drzewem, zapłakanego ze śmiechu Ptaka. Mojego przyjaciela, gdyby ktoś nie wiedział.

— Doprowadź się do ładu, synu — doradził życzliwie. — Bo będziesz biedny.

— Jak mogło się stać, że w to wlażłem? — burczałem, ze-skróbując patykiem mieszaninę piasku i smoły. Już drugi raz dzisiaj skrobię podeszwy — Przecież widziałem wcześniej tego smolarza! Co mnie podkusiło, żeby tam stanąć?

— Skąd mam wiedzieć? — Kostek wyciągnął z kieszeni zmiętą chusteczkę higieniczną. — Masz, zetrzyj z siebie to...

— Dajesz mi zasmarkaną chusteczkę?! — przerwałam mu z oburzeniem. — I brudną od paluchów?

— Innej nie mam — wybąkał. — A ta niedobra? Niefrasobliwość Ptaka czasami rozkładała mnie na łopatki.

— No trudno, niech będzie. — Wziąłem chusteczkę i poszukałem czystego kawałka. — Miałeś dokończyć o ławce — przypomniałem Ptakowi i potarłem płamę. Bałem się tego, co za chwilę usłyszę.

— Po wojnie — zaczął Kostek — zrobili ze szpitala szkołę, pierwszą podstawówkę w mieście. Uczyły się tu dzieciaki z Trombolina i ze wszystkich okolicznych wiosek. Podobno nawet z Potemkowic przywozili uczniów ciężarówką z brezentową budą przez parę lat. Babcia mi opowiadała, że ścisk był niesamowity, po czterdziestu uczniów w klasie...

Zabrział dzwonek, więc podnieśliśmy się, wracając wraz z posmutniałym tłumem do szkoły. Wyobraziłem sobie, jak to kiedyś musiało wyglądać. Dzieciaki ze śmiesznymi tornistrami, mundurki, białe kołnierzyki. Jakiś podobny

156

do Lopeza chłopak wyskakuje z ciężarówki, pomagając młodszemu... Do Lopeza? Zamrugalem gwałtownie. Byliśmy w przedsionku szkoły.

— ... i brakowało ławek — ciągnął Ptak niestrudzenie. — Ktoś wpadł na pomysł, żeby wykorzystać deski z trumien. Tam niedaleko był zakład pogrzebowy z magazynem, a w nim ze sto trumien. Zapasy wojenne, kapujesz?

— Kapuję — wzdrygnąłem się. Więcej nie usiądę za trumną, choćby nieużywaną.

Zobaczyłem, że nowy facet od fizyki wpuszcza moich do klasy Fizykę mieliśmy w pracowni matematyki, więc nie musieliśmy przynajmniej biegać z plecakami tam i z powrotem.

— Może ci później dokończę? — zaproponował Kostek. — Mam sprawdzian z chemii.

— To mów w skrócie. — Zbyt mnie zaciekawił, bym pozwolił mu odejść.

— Okej, zdążyli zrobić tylko jedną ławkę, bo ludzie protestowali, że dzieciom się psychika wypaczy. Facet, który ją robił, był ślepy na jedno oko. Nazywali go Smutny Antoś, bo się nigdy nie uśmiechał. Przed wojną pracował jako grabarz i trumniarz w zakładzie pogrzebowym, który potem upaństwowiono, a Antosia przeniesiono do szkoły jako woźnego. Drzwi pracowni zamknęły się. Na korytarzu zrobiło się pusto.

— Jak robił ławkę, odciął sobie heblem palec i wdało się zakażenie. Przekreślił się w miesiąc, a umierając, przeklął ławkę i każdego, kto przy niej usiądzie. Od tamtej chwili aż

157

do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku nikt nie odważył się zignorować klątwy Smutnego Antosia. W końcu trafił się taki spryciarz z klasy mojego starego, Kazik Mularz. Po dwóch dniach wpadł pod samochód, obejrzyj sobie grób. Lecę! Spotkamy się po lekcjach — posłał mi kuksańca na odchodnym i pognał korytarzem.

— Czemu jej nie wyrzuca?! — krzyknąłem za nim.

— Nie da rady — odwrócił się. — Dyrektorzy boją się klątwy i wiedzę o ławce przekazują

następcom. Dziwię się, że nie słyszałeś! — znikł za zakrętem.

— Ale Tyczka na pewno słyszała... — wyszeptalem do siebie. — I mimo to tam mnie posadziła. Tylko dlaczego z Patrykiem?

Nowy nauczyciel fizyki okazał się przemiłym emerytem, zatrudnionym na kilka godzin. Machnął ręką na moje spóźnienie, dzięki czemu obaj uniknęliśmy mętnych tłumaczeń. Miałem co prawda w pogotowiu historyjkę o konieczności pójścia na szczepionkę przeciwko grypie, ale się obeszło.

— Gdzie byłeś? — zainteresował się Dratwa.

— Ja? — zapytałem zaskoczony. — Woźny wam nie mówił?

— Mówił, że delegował cię do smołowania dachu, ale wierzyć mi się nie chce.

— Dlaczego? — sondowałem ostrożnie.

— Bo twój przyjaciel Lopez najpierw przyszedł i powiedział, że zemdlałeś — najeżył się Dratwa.

— Dopiero później przyleciał przestraszony Wąsik z bajeczką o smołowaniu.

158

„Ty się migasz od pomocy kolegom z klasy. Zapłaciłeś woźnemu, żeby cię krył?”

Odsunąłem się bez słowa, podniosłem nogi i pokazałem mu wybrudzone podeszwy. Aż oczy wybałuszył z wrażenia.

— Jednak naprawdę smołowałeś — pokręcił głową z podziwem. — Nie jesteś taki najgorszy. Ale i tak zapłacisz za zęba Szczęsnego. Ciesz się, że nie zgłosił dyrektorowi.

— Co ty chrzaniś, przecież Ligurski załatwił Skunksa, nie ja — zdenerwowałem się.

— To Szczęsny tak twierdzi, nikt inny nie widział, kto załatwił mu zęba. A Slipek bił się z tobą.

— Gadasz jak nienormalny — mówiąc, włączyłem długopis, bo Dziadek, jak go wstępnie ochrzciłem, dyktował notatkę.

Zarzuty Niteckiego były niedorzeczne. Nie mogłem wybić zęba Skunksovi ani położyć Ślipka. Czy wszyscy powariowali?

Rozdział 16.

Komisarz Klupś

Ledwie wyszedłem ze szkoły, na chodnik przed bramą wjechał radiowóz na sygnale. Przystanąłem, jak wielu innych ciekawskich, rozglądając się za przyczyną policyjnej interwencji.

— Mówiłem, że w szkole podłożą kiedyś bombę! — cieszył się jakiś rozczochrany trzecioklasista o niewyspanym wyglądzie.

— Niemożliwe, przecież lekcje się kończą — oponowała z przekonaniem wysoka blondynka, Gabrysia Knapik z klasy Winiucha, o ile dobrze kojarzę. Fajna dziewczyna, ale do Ani nie ma podskoku.

— Jakiś seryjny morderca zwiął z więzienia, tak słyszałem — podniecił się Witek Pieluszką, nowy sztandarowy, wybrany do pocztu w miejsce Zuzalka.

Zabrzmiał urwany sygnał i szyba od strony pasażera opuściła się w dół. Z okna wychyliła się umundurowana ręka, kiwając na mnie. Poprawiłem plecak, spojrzałem za siebie, po czym odmaszerowałem rażnym krokiem.

— Hej, mały! — zawołał policjant. — My do ciebie! Rozległy się pełne uznania gwizdy.

Niezmiernie łatwo

zdobyć popularność, wystarczy radiowóz.

160

— Cyna, nie daj się!

— Jesteśmy z tobą! — krzyczeli entuzjastycznie. — Cyna na dyrektora!

Z niedowierzaniem dotknąłem piersi.

— Na pewno do mnie? Ale już wszystko...

— Właż i nie dyskutuj! — zarządził ten, który kiwał ręką. Uchyliły się tylne drzwi, więc wsiadłem z ociąganiem. Na

kanapie siedział cywil w średnim wieku, lekko szpakowaty. Tych z przodu rozpoznałem bez trudu.

Za kierownicą posterunkowy Kozuszek, z boku posterunkowy Papiński, obaj w mundurach.

Poczułem mocny zapach tytoniu i wody po goleniu.

— Komisarz Klupś — przedstawił się cywil. — Posterunkowych już znasz.
— Znam — potwierdziłem. — Coś się stało? Dlaczego jestem zatrzymany?
— Nie jesteś zatrzymany — roześmiał się komisarz. — Chcę tylko pogadać, to wszystko. Posterunkowi roześmiali się również, lecz jakoś mi nie ulżyło. Przez szybę zaczęli zaglądać zaintrygowani sytuacją gimnazjaliści.
— Proszę stąd odejść! — próbował ich przepłoszyć Papiński. — Nie macie tu nic do oglądania. Rozzuchwaleni łagodnym tonem uczniowie zaczęli stroić głupie miny, szczerzyć zęby i wywalać jęzory.
— Wynocha! — zirytował się posterunkowy.
— Odjedź stąd, Kozuszek — rozkazał Klupś. — Niepotrzebnie wzbudzamy sensację.

161

Radiowóz ruszył. Po kilkudziesięciu metrach zatrzymał się w zaułku, niedaleko baru Kefirek. Stąd było już parę kroków do cmentarza, dobrze znałem ten skrót.
— Co ci wiadomo o lunecie wisielca? — zapytał komisarz prosto z mostu. Pod szyją miał zawiązaną ciemną apaszkę.
— Pan jest na pewno z policji? — zmarszczyłem czoło.
— Nie, jestem dyrektorem zoo w Potemkowicach — odparł komisarz.
— W Potemkowicach nie ma zoo.
— W takim razie jestem z policji — sięgnął do kieszeni marynarki. — Proszę — podsunął mi legitymację ze zdjęciem — zgadza się?
— Fryderyk Michał Klupś, komisarz, ważna do dnia... — przeczytałem na głos.
— I tak dalej — zamknął legitymację. — Odpowiesz na pytania i zasuwasz na obiad, co ty na to?
— A nie przysługuje mi przypadkiem adwokat?
— Nie jesteś aresztowany, chcę tylko porozmawiać — uśmiechnął się sztucznie. — Luneta wisielca, mówi ci to coś? — zagaił, przekrzywiając głowę.
— Wisielca? Hmm... takiego z szubienicy? — grałem na zwłokę. Ze wstecznego lusterka spoglądały na mnie pełne napięcia oczy kierowcy — Ktoś się wam powiesił w więzieniu?
— Żartowniś z ciebie. — Komisarz otworzył paczkę Marlboro, wyjął papierosa, delikatnie roztał go w palcach i chwilę delektował się zapachem. — Dawno temu pewien polski podróżnik znalazł w górach Kaukazu niezwykle przedmiot...

162

niezwykle dla nauki — podkreślił szybko. — Pech chciał, że w drodze powrotnej natknął się na obozowisko jednego z oddziałów armii tureckiej, będącej w stanie wojny z Rosją. W ostatniej chwili ukrył znalezisko w sobie tylko wiadomym miejscu.
— Szefie, ludzie się gapią — wtrącił posterunkowy Papiński.
Z okien odrapanych kamienic zaułka Nowych Perspektyw obserwowało nas mniej lub bardziej dyskretnie kilka osób. Szczególnie natrętnie przyglądał się wytatuowany grubas o nalanej twarzy i sinym, mięsistym nosie. Wychylił się mocniej.
— Cześć, władzuchno niebieska! — zawołał chrapliwie, odslaniając bezzębne dziąsła. — Nic do roboty, wszystkie bandziory powsadzane? To zapraszam na herbatkę z dodatkami — pokazał trzymaną w dłoni flaszkę. — Tyle że bez herbatki!
— Przejedźmy się po okolicy — zarządził komisarz i potarł palcem szyję pod apaszką. — Nigdzie nie ma spokoju.
— A co z Mokrakiem? Nauczmy go rozumu? — Kozuszek wskazał wzrokiem kiwającego palcem grubasa. — Obraża funkcjonariuszy na służbie.
— Taka jego uroda, zawsze obraża — potwierdził Papiński.
— No ruszaj — ponaglił szef.
Podjechaliśmy pod bramę cmentarza. Tutaj nie było nikogo.
— Ja już powinienem być w domu — przypomniałem o sobie.

163

— Wiesz, co się wydarzyło dalej w Turcji? — westchnął, ignorując moją uwagę. Przeciągnął

papierosa pod nosem.

— Nie...

— Po paru dniach Turcy, sądząc, że mają do czynienia z rosyjskim naukowcem, wymienili naszego bohatera na jednego ze swoich więzionych przez Rosjan oficerów Carscy żołnierze, kiedy okazało się, że więzień nie ma na ciele żadnych ran, oskarżyli go o szpiegostwo i czary To drugie oskarżenie padło ze względu na niezwykłą odporność Polaka na ból — wyjaśnił, widząc, że podnoszę brwi z niedowierzaniem. — Przed powieszeniem rozmawiał z innym Polakiem, nazwiskiem Ligurski. I wyobraź sobie, po kilkunastu latach przedmiot pojawia się w rodzinie Ligurskich, rodzina się bogaci i gdyby nie druga wojna, nie wiadomo, do jakiej pozycji by doszła... Gdzie jest luneta?! — huknął mi w twarz.

— Pierwsze słyszę o jakiejś lunecie — odsunąłem się od niego. — Proszę mnie wypuścić!

— Najpierw odwieziemy cię kawałek — Klupś nerwowo potarł brodę.

— Nie chcę — chwyciłem klamkę i otworzyłem drzwi.

— Zaczekaj — powstrzymał mnie mężczyzna. — W poniedziałek stawisz się na komisariacie, na Wiśniowej...

— Dwadzieścia siedem?

— Zgadza się, i wówczas porozmawiamy bardziej szczerze — oczy komisarza zwały się.

— W poniedziałek nie mogę — wrzuciłem ramionami. Z cmentarza wychodziły właśnie dwie na czarno ubrane starsze panie. — Jadę na wycieczkę do Gdańska.

164

Obaj posterunkowi obrócili się do mnie, mocno podekscytowani.

— Do Gdańska? — upewnił się Kozuszek. — Tego nad morzem?

— N-nad Bałtykiem? — zająknął się Papiński. — T-to

już?

Oficer kazał im się uciszyć.

— Jedziecie całą klasą?

— No, prawie — wystawiłem nogę na zewnątrz. Staruszki były całkiem blisko, postanowiłem oddać się pod ich opiekę.

— Ligurski też jedzie? — przytrzymał mnie Klupś.

— Jak zapłacił, to chyba jedzie — szarpnąłem się.

— Cóż — komisarz popatrzył na policjantów — muszę przyznać, że zaszło drobne... przekłamanie informacyjne...

— Niepotrzebna fatyga — potwierdził Kozuszek.

— Za bardzo się przejmujemy robotą — Papiński usiłował pogłaskać mnie po ramieniu. — Ale co tam, ktoś musi. Wesolej wycieczki życzymy, i tego...

— Nie chwytam — stęknąłem, gramoląc się na zewnątrz. — To znaczy, że co?

— Nie musisz się nigdzie stawiać — komisarz wydał policzki. — Aha, kłopoty z telefonem były przejściowe.

— Skąd pan w ogóle... — zacząłem, ale machnął ręką uspokajająco.

— Mamy znajomości u operatora. Bo wiesz, różne zdarzają się zakłócenia. Mniejsze i większe.

Trzymaj się, do widzenia — zamknął drzwi z cichym trzaskiem.

165

Zaczekałem, aż kobiety przejdą koło mnie i ruszyłem krok za nimi.

— Szefie? — ocknął się po chwili Papiński.

— No?

— Nie zapytaliśmy, czym oni jadą — mruknął markotnie. — Pociągiem czy autokarem?

— I o której godzinie — wtrącił Kozuszek.

— Dowiemy się — uspokoił go komisarz. Oblizał ustnik papierosa i włożył go w usta. — Nie łam sobie tym głowy Za coś tym dwóm kameleonom płacę.

— Mogliśmy mu rozbroić telefon — powiedział Kozuszek, przekręcając kluczyk w stacyjce. Silnik warknął niemrawo, więc dodał więcej gazu. — I założyć tamtemu.

— Jak? — Klupś przejechał palcem po srebrnej zapalniczce.

— Normalnie, na bezczelnego — Kozuszek wrzucił wsteczny bieg.
— Problem polega na tym, posterunkowy, że on nie ma w ogóle telefonu — komisarz wytarł zapalniczkę o spodnie. — Nigdy nie miał.
— To może w domu? — poradził Papiński. — Na pewniaka?
Radiowóz ruszył z powrotem w zaulek.
— A wiesz, gdzie on mieszka? — Klupś rozprostował zgarbione plecy. — Nie wiesz, bo nikt tego nie wie. Niby jest, a go nie ma, łapiesz?
— Nie łapię, szefie, nijak nie łapię — przyznał się posterunkowy.

166

— Ja też — westchnął komisarz, zapalając papierosa. — Gdzie jedziesz, tu jest jednokierunkowa.
— Wypuścił dym nosem.

— A co, policja nas zatrzyma? — zarechotał kierowca.

Radiowóz znikł za brudnym żółtawym budynkiem. Odprowadziłem samochód wzrokiem i przyspieszyłem kroku.

— To ja już panie opuszczę — ukloniłem się kobietom.

— Kawaler szedł z nami? — zdziwiła się starsza, z siwymi włosami upiętymi w kok.

— Troszeczkę — westchnąłem. — Dziękuję!

— Widziałaś, Jadziu, jaki uprzejmy? — powiedziała kobieta. — Rzadko się tacy trafiają.

— Niech mamcia lepiej sprawdzi w torebce, czy pieniądze są na miejscu — odrzekła młodsza nieufnie. Nie skomentowałem, zabrakło mi słów.

Po piętnastu minutach znów byłem przed szkołą. Puściłem się biegiem, nie chcąc narażać się na podejrzliwe pytania w domu. Pod Kefirkim stała znajoma pomarańczowa furgonetka. Nie wiem, jaki diabeł wepchał mnie do tego baru.

Stanąłem przed wielką tablicą z menu, starając się sprawiać wrażenie zainteresowanego wyłącznie jedzeniem. Przy stoliku pod oknem siedziało dwóch kapucynów w brązowych habitach z kapturami. Wielkie brody skutecznie maskowały rysy twarzy Jedli ulubioną potrawę bywalców barów, czyli flaczki z bułką.

— I co, kurna, dali znać? — siorbnął szczuplejszy braciszek. Nie podobały mi się jego zaniedbane łapska: za brudne chyba jak na zakonnika.

167

— Zamknij się, jełopie. Nie teraz. — Niższy odlepił uczepony brody kawałek krowiego żołądka. Przyjrzał mu się uważnie, a potem zjadł. Skrzywiłem się z obrzydzeniem.

— Chłopak zamawia czy stoi? — krzyknęła kucharka w okienku. — Bo nie wiem, co nakładać!

Mnisi zerknęli w moją stronę, po czym wrócili do jedzenia, zajęci rozmową. Już miałem wyjść, gdy większy brodacz zaczerpnął łyżką flaczek i zamarł niespodziewanie w niewygodnej pozycji.

Spojrzał wymownie na towarzysza.

168

— O żesz ty, koziołku, to przecież...

— Alleluja, bracie! — Mniejszy kapucyn poderwał się z miejsca. — Zapraszamy do nas — uśmiechnął się do mnie szeroko. — Nic tak nie krzepi, jak wspólna modlitwa!

Skoczyłem do drzwi, przewracając za sobą krzesło. Tumult za plecami dodał mi skrzydeł.

Rozdział 17.

Z wizytą u ciotki Klary

Na pewno nikt mnie nie gonił. Ale o tym przekonałem się dopiero, gdy wbiegłem na osiedle, kiedy dysząc niemiłosiernie, odważyłem się zatrzymać i poobserwować teren. Nie widziałem nikogo podejrzanego, jednak nie czułem się swobodnie. Zbyt wiele niewytłumaczalnych spraw ciągnęło się za mną, a poczucie bezradności nie pozwalało z optymizmem spoglądać w przyszłość.

Wchodząc do domu, przyjrzałem się z uwagą oknu Ło-bodaków Spokój i cisza, byle nie zapeszyć.

W przedpokoju pies obtańczył mnie radośnie, nie pozwalając na spokojne ściągnięcie butów.

Jakbyśmy nie widzieli się od dziesięciu lat i stracił wszelką nadzieję na mój powrót.

— Odejdź, szaleńcu — odganiałem natręta, próbując znaleźć kapcie. Wyciągnąłem je wreszcie z szuflady Nadal zalatywały psią kupą.

Uszczęśliwiony Dyzio odprowadził mnie do kuchni z nosem przy kapciach. W kuchni było podejrzanie czysto i pusto. Za czysto i za pusto. Nienormalnie.

— Mamo! — zawołałem. Musiała być w domu, bo samochód stał na podjeździe. Ostatnio wjeżdżam i wyjeżdżam z garażu na okrągło, rano i po szkole. — Mamo, cześć! Dawaj
170

jeść! — zrymowałem ku własnemu zaskoczeniu. Głód wyzwolił jakąś energię artystyczną. (Czyli przepis na bycie znanym poetą jest prosty: należy niedojadać).

— Obiadu nie będzie — pojawił się odświętnie ubrany Glut. Pod białym kołnierzykiem uwiązaną miał wielką muchę w groszki.

— Mama strajkuje czy chce się nas pozbyć? — zapytałem z niepokojem.

— No coś ty, mama się maluje szminką — mały postukał się w czoło. — Obiadu nie będzie w domu, ale tak w ogóle będzie, bo na niego pojedziemy

— Do restauracji? — podnieciłem się. Dawno nie byliśmy w restauracji, więc na samą myśl dostałem ślinotoku.

— Nie, do cioci Klary. Fajnie, co?

— Eee... — zrzędała mi mina — zwyczajna lipa. — Nie lubiłem obiadów u cioci Klary. Cioci Klary też nie lubiłem. — A po co ci muszka?

— Bo tak jest eleganciej i należy dbać o wygląd — wyjaśnił tonem stuletniego mędrca.

— O poprawność języka też należy dbać, jak twierdzi Tyczka. Strzelić ci z muszki? — zaproponowałem niewinnie.

— Strzel sobie z ucha — odparował z miejsca. Już zaczyna mnie doganiać w szybkich odzywkach. Co będzie za dziesięć lat? Strach pomyśleć.

W obłoku perfum, wymuskana niczym Wenus, nadpłynęła mama. Wyglądała jak bogini piękna i łaskawości. Wnikliwie spojrzała na mnie spod długich rzęs.

171

— Gdzieś ty się włóczył?! — warknęła. — Przecież mówiłam: dom—szkoła, szkoła—dom i ani kroku w bok!

— Wytłumaczę ci...

— Obejdzie się! — z tą jej łaskawością grubo przesadziłem. — Umyj się, uczesz włosy i przebierz w porządne ubranie!

— To jest porządne ubranie — jęknąłem, przerażony perspektywą wbijania się w garnitur. — A myłem się rano. W szkole nie ma piaskownicy, żeby się wybrudzić.

Mama zacisnęła usta, gromiąc mnie wzrokiem.

— No dobrze, umyję ręce — poszedłem na kompromis. — I twarz.

— Skąd te plamy na bluzie? Ktoś rzucił w ciebie jajkiem? — miała sokoli wzrok. Ja bym nie zauważył.

— Te plamy? To są takie te... od ptaka — wybąkałem.

— Od Kostka Ptaka?

— Raczej od gołębia ptaka. Ale Kostek też tam był — ściągnąłem bluzę i pobiegłem do łazienki. Święty spokój to towar deficytowy w moim domu. Przypuszczam, że nawet za czterdzieści lat mama będzie mnie ganiać do mycia.

Przetarłem twarz wilgotnym ręcznikiem. Od razu lepiej. Ubrałem się jak na pogrzeb, zrobiłem do lustra maksymalnie paskudną minę, po czym sztywnym krokiem wmaszerowałem do holu.

— Nie wyglądasz najlepiej — oceniła mama. — Możesz się nie garbić?

— Potrzebuję pieniędzy — postanowiłem skierować rozmowę na inne tory

172

— A kto ich nie potrzebuje? Znasz takich? — mama zrobiła unik taktyczny W palcach obracała kluczyk od samochodu, należało więc przyspieszyć negocjacje.

Usiadłem na pufie, niemrawo pucując czarne lakiery. Czułem się nieszczęśliwie w tych uciskających mnie ciuchach, z dławiącym gardło krawatem. Co ja jestem, jakiś angielski lord? Glut za to wyglądał jak w drugiej skórce.

— Jedziemy na wycieczkę i muszę jutro dać sto pięć... sto pięćdziesiąt złotych — kaszlnąłem, żeby

wywołać matczyzny niepokój moim stanem zdrowia. Może przejdzie drobny kancik.

— Ile? — W oczach mamy błysnęło niedowierzanie. — Wyjeżdżacie na Riwierę?

— Tylko do Gdańska. Poza tym powiedziałem sto pięć, a nie sto pięćdziesiąt... — zbyt późno zorientowałem się, co mówię. Odruchowo zakryłem usta i był to niewybaczalny błąd. — Odwiedzę ojca przy okazji — dorzuciłem gorączkowo.

Mama objęła tulącego się obłudnie Gluta, włożyła pantofle, a potem powiedziała:

— Na oszustwie człowiek daleko nie zajędzie, prawda, Krzysieńku?

Krzysieniek przytaknął gorliwie. Fałszywy dwulicowiec. Zwykle sztama z ojcem, a jak przychodzi co do czego, trzyma z mamą. Kicham na takiego towarzysza niedoli.

— Przejęzyczeniem, nie oszustwem — broniłem się, wiążąc buty. Zdaje się, że od ostatniego razu urosły mi stopy. Podkurczyłem palce. — Palikowa kazała jechać, to jadę...

173

— Nikt nie może nikogo zmusić do wycieczki — oburzyła się mama, popychając mnie do wyjścia.

— Zresztą, nie marn na to pieniędzy. Trzeba wyklepać blachę w drzwiach samochodu, a ubezpieczenie tego nie pokrywa. Twierdzą, że to uszkodzenie własne — dokończyła z zalem.

Wyglądało na to, że wpadłem w sidła własnej bezmyślności. Nie pojadę szukać lunety, bo walnąłem drzwiami w słup. Sprawiedliwie i beznadziejnie zarazem.

— Ja ci pożyczę — Glut pociągnął nosem.

— Poważnie? — poczułem nagły przyływ braterskiej miłości. — Kiedy?

Mały wytarł nos w chusteczkę i pokiwał głową.

— Jak będę miał.

Braterska miłość pomachała do mnie chudą rączką i od-frunęła w różowe obłoki dobrych chęci.

Wyszliśmy na ulicę. Natychmiast zagadła do nas Bąkowa, zamiatająca swój kawałek chodnika.

— O, sąsiadeczka! — powiedziała i wsparła się na brzozonej miotle. — A gdzie to Bozia prowadzi?

— Pani... Renu — wycodziła mama. — Pani się łaskawie już nam przysłużyła, więc raczy się pani... nie interesować.

— A co, szuka pani nowego męża? Taka elegancka! — Bąkowa poprawiła chustę na głowie, nie przejmując się słowami mamy. — I chłopcy jak malowanie, niejeden się na to złapie.

— Pani Renu — mama znieruchomiała z ręką na klamce samochodu. — Pani bredzi. Mój mąż jest w delegacji, niedługo wróci.

— He, znam ja te delegacje, pani kochana — sąsiadka mru-

174

nęła okiem, uśmiechając się krzywo. — Wszystkie rozwódki tak gadają. Jakby co, jest wolny taki jeden murarz, Kolanko Stefan. Niemłody, ale za dużo nie jada. Pół żołądka mu wycięli, matko jedyna! — Bąkowa załamała ręce. — No i trochę bezrobotny jest teraz. Ale chłop dobry...

Mama ruszyła z pochmurną miną. Nie mogłem tego puścić płazem. Opuściłem szybę.

— A pani zamiata czy odlatuje?! — wrzasnąłem na całe gardło. Sąsiadka pogroziła mi miotłą. Zagraliśmy jej z Glutem na nosach, niech wie, co społeczeństwo o niej myśli.

Ciotka Klara nie była naszą ciotką. Była jakąś bliską kuzynką mojej mamy, która — według słów babci — wyszła za mąż jak należy, czyli bogato. Wujek Tolek Bocian pracował jako instalator alarmów i gdyby mi się nie chciało uczyć, mam zaklepa-ne miejsce u niego w firmie. Tak kiedyś obiecał na imieninach ojca. Mieszkali na obrzeżach Trombolina, w tak zwanej Kraśnicy, składającej się głównie z dużych, ładnych domów, drobnych warsztatów i szklarni. Było tam nudniej niż na Rejtana.

Dojechaliśmy bez przygód, z grubsza biorąc. Mama tylko raz przekroczyła prędkość i jestem pewien, że widziałem błysk flesza fotoradarów, ale to się okaże za jakiś czas. No i jeszcze złapaliśmy gumę, więc wujek Tolek po powitaniu przebrał się od razu w swój kombinezon. Nie chciał pewnie, byśmy po obiedzie za długo czekali.

— Tobie to dobrze — oznajmiła Klara, patrząc na nasz obtłuczony samochód. — Wszędzie zaparkujesz. A my? Dwa mercedesy i ten ford transit — zatoczyła ręką. — Ani

175

to pomieścić, ani... Tolek drugi garaż będzie stawiał. Wy już wszystko macie — w jej głosie zabrzmiała zazdrość. — Wiesz, ile kosztuje utrzymanie takiego domu? A tych psów? — Wskazała na szamoczące się za siatką dwa tłuste dofermany i wy-strzyżonego pudła, zamkniętych z powodu naszej wizyty

— No tak — mama pokiwała głową, patrząc na trzypiętrową willę. — Z pewnością fortunę. Dobrze, że nie macie dzieci, dopiero byście biedę klepali. To cóż to za okazja?

— Masz na myśli dzisiejsze zaproszenie? - ciocia Klara dała znak zmieniającemu koło wujkowi, żeby się pośpieszył. — Tolek dostał duże zlecenie od niemieckiej firmy handlowej. Montuje alarmy w całym biurowcu i naszła mnie ochota na skromne oblewanko. Żeby się kontrakcik nie roz-sechł — zachichotała.

Wprowadziła nas do domu. Zawsze, gdy tu wchodzę, obiecuję sobie rzucić szkołę. Mój stary po studiach i jakichś tam kursach nie zarabia jednej dziesiątej tego, co wujek Tolek po zawodówce. A ciotka w ogóle nie pracuje. Nie wiem, dlaczego moi rodzice uparcie rozmawiają o pójściu do szkoły średniej. Przestali mnie kochać?

— Rozgoście się — zaprosiła Klara, gdy już — drugi raz w ciągu pół godziny — umyłem ręce. Gluta i jego łapska jakoś obie panie przeoczyły.

Jadalnia Bocianów wprawiała mnie w pełne zazdrości przygnębienie. Olbrzymi stół swobodnie mieścił dwanaście osób, bynajmniej nie na diecie. Ciężkie masywne meble i obrazy jak z muzeum uzupełniały się wzajemnie, kontrastując z rubasnością wujka Tolka. Pani Wisia, gospoia Bocianów,

176

wniosła wazę z gorącym rosołem. Glut stęknął lubieżnie, zatarł dłonie i rzucił się z łyżką na makaron.

— Co tam słyhać, Tomek dalej w Gdańsku? — zainteresowała się Klara, z niechęcią przypatrując się poczynaniom mojego braciszka.

— Wraca za dziesięć dni — odparła mama i nałała sobie symboliczną ilość rosołu. Jak dla niemowlęcia. — Mieszkają w takim ładnym hotelu, niedaleko rynku...

— My też byliśmy zimą na wczasach, ale na Hawajach — nie pozwoliła jej dokończyć ciotka Klara. — Wiesz, Alpy nam się znudziły, od kiedy Toluś złamał nadgarstek przez te narty W ładnym hotelu? Savoy czy Hilton?

— Po... Pomerania — zakrztusiła się mama. Jakoś zmizer-niała nagle.

— Jak tam w szkole, cisną? — wujek Tolek podsunął mi półmisek z mięsem. — Nakładaj, w domu tego nie masz, he, he! Wakacje za niedługo, jedziesz gdzieś?

— Jak nie zda, to nie pojedzie. — Glut chwycił największe kurze udko, jakie zobaczył. — Ma same pały!

— Nieprawda! — poczerwieniałem. — Mam też czwórki i... czwórki mam.

— E tam, jakby co, pomocnik mi się przyda. — Wujek Tolek nałożył sobie kopiec ziemniaków. — Mnie nigdy do nauki nie ciągnęło, nie, Klarka? Nauczyciele są głupie i czepialskie, dlatego psie grosze im płacą — uśmiechnął się szeroko. — Powiesz wierszyk wujkowi?

— Ja? Nie umiem żadnego — wybełkotałem z wiszącym u brody liściem sałaty

177

— Pytałem małego — sprostował wujek. — To jak będzie?

— Za ile? — zainteresował się Glut.

— Krzysiu, no wiesz co? — mama odłożyła łyżkę. — Zachowujesz się nieładnie.

— E tam — powiedział wujek i odgryzł kawał mięsa. — Zachowuje sze... paroms, zachowuje się jak trzeba, taki jest świat, kochana. Dam ci stówkę za ładny wierszyk — położył na stole portfel. Przełknąłem ślinę. Stówka to było to, czego potrzebowałem.

— Dwieście — targował się Krzysio. Oblał mnie zimny pot. Jeżeli przeszarżuje, Tolek się rozmyśli.

— Podziękujcie i idziemy do domu — zarządziła mama, odsuwając się od talerza. — Tylko wstyd mi przynosicie.

— Ja niczego nie przynoszę przecież — broniłem się. — Krzysiek...

— Krzysio jest twoim młodszym bratem i czerpie wzorce!
— Dobra, nie kłóćcie się, bo deszcz będzie padał — zażartował wujek. — Trzeba się targować. Pani Wisiu, podaj kaweczkę! — zawołał. — I ciasto! Wódki nie proponuję, bo jesteście samochodem. Sto pięćdziesiąt, w porządku?

— Niech będzie — zgodził się Glut.

Wyszedł na środek, odprowadzany zażenowanym spojrzeniem mamy Ukłonił się i zaczął:

— Była sobie głupia mrówka...

Braterska miłość wróciła do mnie ze zdwojoną siłą.

Rozdział 18.

Podmokła osiemnaście

Był piątek rano i miałem forszę na wycieczkę. Wystarczyło odnaleźć Tyczkę, wpłacić kasę i zacząć się pakować. Okazało się, że to nie jest takie proste.

Przed wszystkim dlatego, że powiesili ją na zastępstwach. To znaczy, nie ją osobiście, tylko jej nazwisko. Była na liście nieobecnych nauczycieli i pierwszy raz w życiu brakowało mi tej kobiety. Co prawda zaczęła się już chemia, ale nie mogłem pozwolić, by z tak błahego powodu przeszła mi koło nosa przygoda życia. Najpierw spróbowałem dowiedzieć się czegoś w sekretariacie.

— Dzień dobry! — ukłoniłem się pani Rozalce.

— Uczniów przyjmujemy na długiej przerwie — odpowiedziała sekretarka, spoglądając z uwagą w monitor komputera. Stuknęła długim paznokciem w spację. — Jeszcze tu jesteś? — wyczuwała moją obecność jakimś specjalnym sekretarskim zmysłem, bo przecież mnie nie widziała, siedząc tyłem. Obróciła się na krześle i podniosła głowę. — Nie dosłyszałeś?

— Szukam pani Tyczki...

— Osoba o takim nazwisku tu nie pracuje — wzrok pani Rozalki powędrował ku monitorowi, a ja znów mogłem podziwiać jej plecy

179

— Miałem na myśli panią Palik Halinę — odchrząknąłem. — Szukam, bo...

— Mówiłam, że nie pracuje — paznokcie pani Rozalki przebiegły po klawiaturze. — Jest na zwolnieniu lekarskim cały dzień.

— A mogę dostać jej adres albo telefon?

— To są sprawy poufne, uczniom się nie udostępnia — podniosła brwi. — Zapytaj w klasie pani Haliny, powinni mieć namiary — powiedziała, ściszej głoś.

— No właśnie jestem z jej klasy — oświadczyłem, licząc, że w końcu na mnie spojrzy i rozpozna.

— Pani Tycz... Palik nic nam nie dała. A to sprawa gardłowa. — Przejechałem po szyi kantem dłoni.

Usta sekretarki poruszyły się bezgłośnie. Chyba czytała.

— Jak się pisze „nieuważny”? — zapytała w zamyśleniu.

— Przez „u” otwarte, znaczy się zwykle. Tak sądzę.

— Ale razem czy osobno? — znów poruszyła ustami. — Dlaczego nie wychodzisz? Sekretariat sprawy uczniów załatwia podczas długiej przerwy — wyrecytowała. — Może jednak razem?

Przestąpiłem z nogi na nogę. Zdaje się, że wpadłem w jakiś kołowrót zdarzeniowy, a czas gonił nieubłaganie. Spróbowałem zagajenia w stylu Jacka Plomby Na podrywacza.

— Pięknie pani dzisiaj wygląda — zacząłem. Palce nad klawiaturą znieruchomiały. — Prawie wcale nie widać zmarszczek. Jakiego kremu pani używa? — pomyślałem, że takie zainteresowanie szczegółami ją podbuduje. Jakże się myliłem.

180

W taki oto sposób załatwiłem sobie dożywotni zakaz wstępu do sekretariatu.

— ... ewentualnie wtedy, jak się już rozsypię ze staro-Ljj — brzmiały mi w uszach pełne gorczy słowa. Mówiąc wprost, miała na myśli, że wejdę tam dopiero po jej trupie. Trzeba będzie wysłać Plombę z kwiatkiem w moim imieniu. Niech panią Rozalkę przeprosi.

Pracownia chemiczna była niedaleko. Zastukałem i wszedłem, nie czekając na zaproszenie.

— Przepraszam za spóźnienie — ukłoniłem się panu Krzywce.

— Dziesięć minut — chemik podniósł do oczu probówkę wypełnioną różowym płynem. —

Nieładnie, ja się nigdy nie spóźniam. Tobie też radzę, Janeczku — pociągnął nosem. — Pachnie jak należy — ocenił. — Dlaczego nie siadasz?

— Bo nikogo nie ma... — odrzekłem bezradnie. — Gdzie jest klasa?

— Która?

— Moja!

— Aaa, ci? — nabrał nieco różowego odczynnika w pipetę. — Klasy pierwsze zrobiły drugim niespodziankę i zaprosiły na przedstawienie do świetlicy. Wkładaj fartuch, pomożesz mi w eksperymencie. Zobaczmy, czy wybuchnie. — Kapnął płynem na metalową płytkę. Rozszedł się swąd i w metalu pojawiła się rosnąca dziura. — Trzeba czegoś dodać... — wbił we mnie wzrok. — Już się przebrałeś? Jakoś nie widzę.

181

— Myślę — uśmiechnąłem się przeproszająco — że powinienem pokazać się na przedstawieniu. Może jest ciekawe i pouczające?

— Wątpię — pan Krzywka włożył rękawiczki i okulary ochronne. — Coś, co nosi tytuł... bodajże „Nad rzeką Pierdą siedziała i beczała” czy podobny, nie może być ani ciekawe, ani pouczające. To jak, wybuchamy?

— Poszukam klasy — wykręciłem się. — A pan niech coś podłoży pod stół, bo się przepalił — pokazałem mu dymiące kropelki cieczy kapiącej z wytrawionej w blacie dziury.

— Nieźle! — ucieszył się chemik. — Znajdę coś neutralizującego! — wykrzyknął i odwrócił się do szafy laboratoryjnej.

Czmychnąłem, bo lepszy moment nie mógł się trafić. Było dla mnie oczywiste, że nie pójde oglądać niczego o płaczu, strata czasu. Zwłaszcza gdy zostało mi do spenetrowania gniazdo bestii, czyli pokój nauczycielski.

„Proszę tu nie stukać w czasie przerwy” — głosił napis na drzwiach. Była lekcja, więc zakaz nie obowiązywał. Zastukałem. Serce waliło mi z emocji. Odczekałem dziesięć sekund, a potem zastukałem ponownie. Nadal bez rezultatu. Niemożliwe, żeby nikogo nie było, pewnie nie słyszą. Zacisnąłem pięść i załomotałem solidnie. Drzwi otworzyły się natychmiast.

— Jak śmiesz się dobijać? Co to jest, karczma?! — zbeształa mnie pani Lachowska-Dowgiełło, nauczycielka angielskiego, zwana Laską. — Bezczelny typek!

— Dzień dobry, ja tylko... — szurnałem stopami. Gdyby mi nie zależało, nigdy w życiu nawet bym nie próbował

182

tu się dobijać. Ale mi zależało, niestety. — Ja tylko chciałem zapytać...

— Nauczyciel nie pracuje dla twojego widzimisię — odpowiedziała Laska. — Tu jest pokój nauczycielski, tu się czeka na zaproszenie!

— No, ale czekałem i czekałem...

— Cierpliwość jest cnotą — pouczyła mnie. — Bezczelnością świata nie podbijesz — zakończyła i przymknęła drzwi.

Nie miałem wyjścia. Wsunąłem stopę w malejącą szczelinę.

— Tylko bez chamstwa, proszę — oburzyła się anglistka.

— Czy jest może pani Palik? — zapytałem, mimo oczywistych przeciwności losu.

— Pani magister Halina Palik jest chora — pociągnęła drzwi mocniej, licząc, że się poddam. — No, co z tobą? Przestań jęczeć!

— Miażdży mi pani stopę! — sapnąłem z wysiłkiem. Pożałowałem, że nie zapytałem o Tyczkę pana Krzywki. Z wielu wariantów zawsze muszę wybrać najgorszy.

— Pomóc ci w czymś, Asiu? — zainteresował się pan Cio-pek, z wielką kanapką w dłoni.

— Nie ma w czym! — fuknęła nauczycielka, puszczać kłamkę.

— O, Racyniak! — Pan Ciopek wyszedł na korytarz. — Znowu chcesz się wymądrzać? Kto tym razem na tapecie, dyrektor?

— Bardzo przepraszam — spuściłem głowę. — Miał pan rację, Kostek mi powiedział, że bez pana nie dałby rady —

skłamałem, nauczony doświadczeniem. — Wygłupiłem się tylko.

— A widzisz? — ucieszył się Ciapek. — Trzeba było tak od razu. Zdrowy doping i trzymanie kciuków to podstawa sukcesu. I to ja — podkreślam — doprowadziłem Ptaka do pucharu!

Tym razem potakiwałem z zapalem.

— Szukasz pani Halinki? — zapytał życzliwie. — Od rana ma leczenie kanałowe, tak że nici z rozmowy. A od poniedziałku jest na wycieczce w Gdańsku. Trzeba sprawę odłożyć — klepnął mnie po ramieniu. — Albo znaleźć numer w książce telefonicznej. Bywaj!

— Proszę pana — zatarasowałem drzwi ciałem. — Gdzie jest ten gabinet dentystyczny? Bo ja właśnie na temat wycieczki...

Ciapek nachylił się i chuchnął mi cebulą w nozdrza.

— Nie powinienem mówić, ale jesteś w porządku. Twoja wychowawczyni ma na ósmą zabieg w gabinecie ojca twojego kolegi, Ligurskiego. Podobno gdzieś na Podmokłej osiemnaście, jeżeli czegoś nie pokręciłem. Zresztą — roześmiał się — przecież Ligurski to twój kumpel, więc wiesz, gdzie mieszka.

— Dziękuję — krzyknąłem w biegu.

Miałem ponad pół godziny, licząc z przerwą, a Podmokła to nie koniec świata. Zdązę obrócić.

Biegłem z plecakiem obijającym mi nerki, usiłując sobie przypomnieć, gdzie właściwie jest ta ulica. Podmokła — rozjaśniłem się — to w stronę Bagienska, przy szosie na torfowisko. Gimnazjum leżało

184

niedaleko rogatek, więc dobiegłem tam w pięć minut. Smętna, Za Krótka... — wyliczałem — Podmokła. I drogowskaz na Bagiensko, rezerwat przyrody Nie podobało mi się tutaj. iCilka po części rozebranych ruin, chaszczce krzaków i jakaś opuszczona fabryczka wśród śmieci.

_ Przepraszam — zwróciłem się do zarośniętego złomia-rza, z mozołem piłującego kawał szyny zbrojeniowej — gdzie tu jest numer osiemnasty?

— Kraść złom przylazłeś? — wyciągnął z wózka rurkę od gazu. — Jak ci przyfasole...

— Po co mi złom, dentysty szukam — cofnąłem się przestraszony. — Gabinet pod osiemnastką, tak mi powiedzieli...

— Dentysty? — złomiarz roześmiał się złowrogo. — Mam obcegi, powyrywam ci zęby za dwa wina! Hurtowo!

— Obejdzie się — odszedłem zbity z tropu. Nigdzie żywego ducha. Ciapek zemścił się koncertowo.

— E, ty! Cwaniaczek! — zawołał za mną złomiarz. — Osiemnasty jest tam — wskazał rurką fabryczny budynek. — Ale tam nie radzę! Absolutnie!

Zostało dwadzieścia minut do zmarnowania, więc co mi szkodzi zbadać teren, pomyślałem.

Przeszedłem przez resztki bramy. Plac zastawiony był wielkimi zardzewiałymi kotłami i pokruszonymi pustakami na zmurszałych drewnianych paletach. Śmierdziało padliną. Nic tu po mnie. Zawróciłem i dopiero wówczas zauważyłem rzecz dalece niepokojącą. Na piasku, obok moich śladów, ciągnęły się lekko zatarte ślady damskich pantofli na szpilek. Tylko w jedną stronę.

185

A niech mnie... Rozejrzałem się za czymś poręcznym. Niczego oprócz rozpadającej się deski nie udało mi się zdobyć. Lepsze to niż nic.

Trop wiódł do parterowego budynku z napisem „Biuro”. Podążyłem tam, chlipiąc z niepokoju jak przedszkolak.

W biurze smród padliny był szczególnie intensywny Pchnąłem rozbite, przeszkłone drzwi poczekalni. Osloniłem oczy przed światłem słonecznym, wpadającym przez pusty otwór okienny Deska obronna upadła na podłogę, a od tego, co ujrzałem, zmiękły mi kolana.

Na środku opróżnionego z mebli pokoju unosiła się w powietrzu moja wychowawczyni, magister Halina Palik. Znajdowała się w pozycji półleżącej, z szeroko otwartymi ustami.

— Raczy... — splunęła, a potem powiedziała z pretensją w głosie — Racyniak, co ty tutaj robisz, moje dziecko? — wyciągnęła spod policzka niewidzialny wacik.

— J-jaja...

— Też masz wizytę? — zdawała się nie dostrzegać absurdalności sytuacji.

— P-pani przecież... czy pani... nie widzi? — bełkotałem, trzęsąc dłońmi jak staruszek.

— Gdybym nie widziała, poszłabym do okulisty, mój drogi — rzekła zniecierpliwiona. — Mam leczenie kanałowe, więc zechciej wrócić do poczekalni i czekać, aż doktor skończy

— Doktor?

— Doktor Ligurski Jędrzej leczy mi kanałowo zęba. T bie, jak się okazuje, także — wyjaśniła zmęczonym głosem.

186

— A gdzie jest doktor? — zadałem podchwytliwe pytanie.

— Był... był tu przed chwilą — rozejrzała się zdumiona. — Pewnie poszedł do mieszkania — podniosła oczy w stronę sufitu. — Na piętro.

Zmieniła pozycję, unoszona niewidzialną siłą. Mój strach zaczął brać górę nad rozsądkiem.

— Pójdę już, do widzenia! — oświadczyłem gromko. — Wcale nie mam wizyty!

— Jak to? Po cóż więc przyszedłeś? — zdumiała się Tyczka.

187

— Do pani... Chciałem w-wpłacić na wycieczkę, bo-o Edyta n-nie chciała już ooo... ode mnie przy-przy-przy-jać — jąkałem się coraz fatalniej. — Ale sko-koro p-pani tu fruwa, to nie będę...

— Czy ty nie czujesz aby jakichś sensacji grypowych? — przyjrzała mi się z troską.

— Aby, a-aby nie...

— No to daj te pieniądze — wyciągnęła rękę. — I pamiętaj, nie spóźnij się na pociąg.

Dałem jej pieniądze i uciekłem, powstrzymując paniczny krzyk. Ostatnio często uciekam, lecz teraz miałem zupełnie poważny powód.

Rozdział 19.

Dżdżownica nie ma głowy

Nie pamiętam drogi powrotnej. Ocknąłem się dopiero w parku, gdzie siedziałem, spoglądając bezmyślnie w chmury

Zdaje się, że trwała przerwa, bo w południową ciszę wbijały się szkolne hałasy, uświadamiając mi, jak kiepskie jest usytuowanie tutejszych terenów parkowych. Pewnie dlatego nie widywało się spacerujących nianiek z wózkami, zmęczonych panów śpiących na ławkach czy zakochanych par. Powód był jeden: szkoła w sąsiedztwie. I to z niej właśnie przypałało się kolejne utrapienie.

— Żałuj, Cyna, że nie oglądałeś przedstawienia. — Obok mnie umościł się Piotrek Zuzalek. — Wyśmienite.

Spróbowałem się skupić.

— Przedstawienia? — potarłem skronie, odganiając wspomnienie unoszącej się w powietrzu Tyczki. — A o czym było?

— Tego dokładnie nie wiem — Zuzalek podniósł z ziemi patyk. — Bo po pięciu minutach zgubiłem się i przestałem śledzić akcję. Jak chcesz, mogę zapytać kogoś, kto oglądał.

Gdzieś w pamięci komórki węchowych zostały mi drobiny smrodu z fabryczki na Podmokłej. Zemdlilo mnie.

— Co tak milczysz? — Zuzal zaczął obierać korę z patyka.

759

— Bo bredzisz — otworzyłem usta, by się przewentyfo-wać. Smród zelżał. — Chcesz, żebym żałował, że nie widziałem przedstawienia, a potem gadasz, że sam nie oglądałeś Logika dżdżownicy

— Jak to? — spróbował zeszkrobać paznokciem resztki kory.

— Dżdżownica, Zuzal, nie ma głowy, tylko dwa tyłki. Tak jak ty! — miałem nadzieję go zniechęcić. Był jednak odporny na docinki.

— Nie zrozumiałeś mnie — sięgnął do kieszeni kurtki. — Wyśmienite dziewczyny tam grały, właściwie jedna...

Wyprostowałem się. Znikąd pomocy.

— Nie gadaj, że zacząłeś interesować się dziewczynami — zakpiłem. — Mama ci pozwoliła?
— Jesteś podły — wyjął z kieszeni bagnet i przeciągnął nim po patyku. — Mama nie ma w tych sprawach nic... Co jest? — przerwał, kiedy chwyciłem go za rękę. — Auć!
W długich paluchach Zuzalka błyszczał wyszczerbiony bagnet Mętlika. Ten sam, który znikł w niewyjaśnionych okolicznościach spod mojego domu.
— Ten bagnet — sapnąłem. — Skąd masz ten bagnet, Zuzal? — wbilem mu paznokcie w skórę.
— Puszczaj, Cyna! — odskoczył ode mnie, uwalniając rękę. — Kupiłem sobie na bazarze, szajbusie... — usiadł, masując zaczerwienione miejsce.
— Moja broń! — Zza drzewa wyskoczył podekscytowany Ogórek. — Oddawaj — stanął przed Zuzalkiem, machając z zapalem pięściami i tańcząc na chudych nóżkach.

190

To mnie przerastało. Albo przestałem kontrolować swoje Lcie, albo...
— Już wiem — uśmiechnąłem się do nich. — To jakiś test! Założyliście tajne bractwo i sprawdzacie, czy się nadaje. Zgadza się?
— Bractwo... — Mętlik podskoczył — bractwo-sractwo! — Na usta wystąpiła mu piana.
— Zabierz go ode mnie — poprosił przerażony Zuzalek. przypominał teraz osaczone zwierzę.
— Podaj choć jeden powód — powiedziałem, odchodząc z rękami w kieszeniach.
— Bractwo-sractwo! — Ogórasowi spodobał się rym. — Rozerwę cię, złodzieju! — otarł usta wierzchem dłoni.
— Wszystko ci powiem, Cyna — zaskomlił Zuzalek. — Wszystko, tylko mnie nie zostawiaj z tym pomyślnem!
— Bractwo-sractwo, pomyleniecz-szaleniecz! — Mętlik odchylił głowę, chichocząc złowieszczo. Zuzal pozieleniał. Jeszcze chwila i zemdleje.
— Dobra, Ogóras — odsunąłem skaczącego Mętlika od ławki. — Koniec żartów, bo zaczynasz przeginać. — Wyjąłem bagnet z zaciśniętych palców Zuzalka.
— Masz, tylko dobrze schowaj! — oddałem broń właścicielowi. Dopiero potem pomyślałem, że nie powinienem zbroić wariata.
— A zemsta? — dopominał się Ogórek, ciągle podskakując.
— Jaka zemsta? Puknij ty się w czoło — poradziłem życzliwie. — Skoro mówi, że ci nie ukradł, tylko kupił na bazarze, to chyba nie kłamie?

191

— Kłamie — Mętlik wsadził bagnet za pasek. — Zuzalek jest szpiegiem Obcych, mogę się założyć, o co chcesz. Jak się skupię — popatrzył w niebo — widzę różne nieistniejące rzeczy...
— Wiesz co, Jurek — podciągnąłem szelki opadającego plecaka — ja ostatnio nawet nie potrzebuję się specjalnie skupiać, żeby widzieć nieistniejące rzeczy. A z tobą — spojrzałem na Zuzalka — wkrótce pogadam jak należy. W pociągu.
Piotrek zadrżał i przelknął ślinę z wysiłkiem.
— Jasne... — mruknął.
Minęło sporo czasu, a wciąż dobiegały do mnie stłumione odległością pokrzykiwania i śmiechy z dyskotekową muzyką w tle.
— Czy ta przerwa nie jest za długa? — zapytałem dźgnięty nagłym podejrzeniem.
— Przerwa? — Mętlik przestał rozgarniać trawę, którą to czynność podjął chwilę wcześniej. Podniósł się z kolan. — Przerwa się dawno skończyła, Cyna.
— Jak to? — oblizalem wargi. — A ta muza i krzyki? — machnąłem ręką w kierunku szkoły. Mętlik spojrzał na mnie z ironicznym uśmiechem, po czym wrócił do dłubania w trawie.
— Ech, oprzytomniej wreszcie — westchnął Zuzal i wyciągnął komórkę, by sprawdzić godzinę. — Od dwunastu minut mamy WF na świeżym powietrzu. Dziewczyny ćwiczą tańce, a chłopaki skaczą...
— To dlaczego tutaj siedzicie?! — przerwałem mu spanikowany.

192

— Ja jestem na zwolnieniu — wyjaśnił z zadowoleniem w głosie. — Skok wzwyż odpada.
— Chciałem skakać — Ogórek obejrzał jakiś ślad przez lupe. — Nosi przy sobie lupe?! — Tylko mi

Turboł nie pozwolił. Powiedział, że jeżeli sobie zrobię krzywdę, zabiorą mu godziny w naszej klasie. Ja mu na to...

— Gdzie cała klasa? — przerwałem to ględzenie.

— Nie słysząc? — Zusał szczęśliwy, że teraz to ja się niepokoję, wycisnął z siebie blady uśmiech.

— Za szkołą! Skaczą na ocenę!

Zostawiłem ich samych sobie. Wielki garb dziwnych wydarzeń i nieszczęsnych okoliczności ciążył mi coraz mocniej i nie widziałem realnych szans na rychłe wyprostowanie się.

Postanowiłem użyć wypróbowanego sposobu i bezczelnie wmontować się w zajęcia. Najpierw jednak sprawdziłem teren, bunkrując się w śmietniku, za ceglanym murkiem.

Z technicznego punktu widzenia nie wyglądało to za ciekawie. Kilka metrów od drzwi wejściowych dziewczęta ćwiczyły układ taneczny, szykowany na zakończenie roku. Trudno będzie przemknąć niezauważenie.

Wypatrzyłem wśród dziewcząt moją Anię. Poruszała się z niewiarygodną, zapierającą dech gracją.

— Pięta! — wydarła się wuefistka — Albo stoisz jak kołek, albo kolebiesz się jak inwalida! — O czym ty myślisz, dziewucho?! Tu jest WF, tu się ćwiczy!

— Przepraszam... — zarumieniła się Ania — mam kłopoty... ale oczywiście...

193

Byłem zdruzgotany. Przede wszystkim tym, że nauczycielka nie dostrzega naturalnego piękna ruchów Ani. Złośliwe babsko. Poza tym dotarło wreszcie do mnie, że nie pocieszyłem Ani w sprawie ojca. Co prawda uważałem, że z pocieszania tylko łzy lecą i raczej należy działać, niż ględzić, lecz cóż ja takiego zdziałałem, he?

Zżerany wyrzutami sumienia wszedłem między kubły i zacząłem przebierać się w dres. Wyglądał on co prawda jak wyciągnięty psu z gardła, ale tylko dlatego, że od poniedziałku leżał w plecaku.

Na ciele się wyprasuje.

Zdjąłem spodnie i powiesiłem je na kubły.

— Wrrrhr... — rozległo się złowieszcze warczenie. Struchlałem.

W ciasnym wejściu do śmietnika stała Sonia, pies Wąsika. Ścisłej mówiąc, potężna samica wilczura, w prostej linii potomek pradawnych wilków, pożerających mamuty na śniadanie. Z braku mamutów Sonia zadowolić się mogła nawet byle Racyniakiem, tak przypuszczam.

— Soniula — zaszcebiotałem. — Daw-nośmy się nie widzieli, psineczko. Dasz łapkę?

Sonia dopiero teraz podkuliła ogon, jeżąc krótką sierść na karku. Warczenie nabrało mocy

— Chcesz kanapkę? — zagadywałem, powoli sięgając po dzinsy Rozmawiając w samych gatkach z psem, czułem się idiotycznie. Dotknąłem nogawki. Ale wilczyca była szybka. Skoczyła, chwyciła spodnie w zęby i wybiegła na zewnątrz. Ja za nią.

— Proszę pani! Jakiś chłopak biega bez spodni! — zawołała któraś z dziewcząt. — O, tam! Za psem!

I pomyśleć, że liczyłem na dyskrecję. Pochyliłem się, odwracając twarz, może mnie nie rozpoznają.

— To Cyna! — pisnęła jakaś bystrooka. Pozostałe zapiszczały również.

— Racyniak! — krzyknęła wuefistka. — Natychmiast się ubierz! — Żeby mnie zdopingować, dmuchnęła w gwizdek. Po jego dźwięku Sonia nabrała większego pędu.

— Janek, nie rób mi tego! — ten smutny głosik należał do Ani. Pamięta jeszcze, jak mam na imię, to budujące.

Wbiegłem za szkołę. Sonia przystanęła, zerknęła na mnie i pognęła, wlokąc po ziemi dzinsy Zdaje się, że znalazła sobie znakomitą zabawę.

Na żuźlowym, porośniętym trawą placu, stało kilku chłopaków z mojej klasy. Z podziwu godnym zacięciem szturchali przebierającego niemrawo nogami tłustego Teofila Markiefkę.

— Marchewa, buu! — buczeli w ramach dopingu. tNc - Buu!

194

Kilkanaście metrów przed nimi widniały stojaki z po-' przeczką i podwójnym materacem.

— Jazda, Markiefka! — denerwował się pan Turboliński, brzuchaty wuefista. — Nie rób z siebie pośmiewiska, chłopaku! Nie ma czasu!

Koledzy zareagowali gromkim śmiechem. W tym momencie szukające drogi na skrót psisko

szurnęło między nogami zaskoczonych Marchewy.

— Mamo! — jęknął, padając nosem w żużel. Chłopcy do-skoczyli do niego z zamiarem udzielenia pomocy

Nie miałem innego wyboru, jak tylko przebiec po tłustym cieple. Jeszcze sekunda lub dwie i moje spodnie znikną za płotem razem z psem. Sonia dopadła stojaków i czmychnęła pod poprzeczką.

Odbiłem się z wymachem, frunąc nad drążkiem. Końcami palców chwyciłem nogawkę spodni...

Materac był śliski i twardy stanowczo zbyt twardy. Zamroczyło mnie.

— ... ostatnio często się komunikujemy — Zakończona szponami rękawica dotknęła mojej twarzy. Poczulem chłód zmrożonego metalu.

— Kim jesteś?

— Już wiesz. Mgła napłynęła niespodziewanie. Istniał tylko ON i ja.

Utu...

— Dlaczego? — sformułowałem nieudolne pytanie.

— Dla niej — przed oczami zmaterializowała mi się niezwykle luneta. Dłoń Utu obróciła pierścień...

196

— ... a jakby tak z konewki? — zastanawiał się zatroskany Turbol. — On nie może po prostu nieprzytomnie leżeć, chłopaku.

— Otworzył oczy, proszę pana! — ujrzałem rozradowaną gębę Lopeza. — Żyje!

— Ligurski? A skądś tu się wziął, chłopaku? — zbulgotał wuefista. — Przecież...

— Byłem w ubikacji, proszę pana — uśmiechnął się Patryk, podając mi rękę.

Wstałem skołowany. Dżinsy były w nie najgorszym stanie, nieco podarte i brudne, ale ujdzie.

Włożyłem je naprędce.

Wśród chłopców rozległ się szmer podziwu. Podekscytowani oglądali wskaźnik ustawienia poprzeczki.

— To chyba rekord, proszę pana! Rekord szkoły! — gorączkował się Karol Podleski. — Albo Polski!

— Przede wszystkim Racyniak haniebnie spóźnił się na sprawdzian, chłopaku — odpowiedział Turboliński, odhaczając coś w notatniku. — Do tego półnagi. A po drugie... — sapnął i zamrugał — ... jak to: rekord? A kto to ustawił na rekord? — włożył okulary, podchodząc bliżej.

— Słipek, proszę pana! On zawsze ustawia mi wszystko na złość — poskarżył się Markiefka z wybrudzoną twarzą i napuchniętym nosem. Byku pogroził mu pięścią. — A Cyna podeptał mi koszulkę... — dodał pośpiesznie Marchewa.

— Cicho, chłopaku — syknął wuefista, po czym odchrząknął. — Ehm, cóż... — wrócił do mnie i objął przyjacielsko. — Wiesz, co zrobisz?

197

— To nie moja wina, proszę pana — żołądek skurczył mi się do rozmiarów orzeszka laskowego — ja mogę wytłumaczyć...

— Ależ nie trzeba — Turbol pogładził się po łysinie, usiłując wciągnąć brzuch. — Mistrzu! — poklepał mnie po plecach.

— Mistrzu? — sapnąłem.

— No, pobieś rekord świata — uśmiech wuefisty rozciągał się po uszy — więc jesteś mistrzem, prawda? Moim mistrzuniem, chłopaku!

Rozdział 20.

Symboliczne pożegnanie

Wygląda na to, że z WF-u będę miał szóstkę na koniec roku. W życiu bym się nie spodziewał. Od kiedy przestałem trenować lekkoatletykę, obrazili się na mnie wszyscy wuefiści w szkole i Turbol konsekwentnie stawiał mi tróje. Żeby wiedział, że tak się nie robi. Sytuacja uległa zmianie wraz z pobiciem rekordu świata w skoku wzwyż. Z dużym zapasem. Nie mogę pojąć, co prawda, jak udało mi się skoczyć ponad dwa i pół metra w górę bez specjalnego wysiłku, ale ostatnio nie takie rzeczy

mnie spotykają.

— Bo wiesz, chłopaku, bez oficjalnych zawodów, nie ma oficjalnych rekordów! — uświadamiał mnie nauczyciel.

— N00, wiem...

— Teraz jesteś moim skarbem — roznamiętnił się Turbol. — Skarbenkiem!

— Doprawdy?

— Tak, zgłoszę cię na olimpiadę, chłopaku-skarbenku! — Jego oczy zamglily się na moment marzycielsko. — Pojedziemy po złoty, co ja mówię — machnął ręką — po brylantowy medal! Sława mnie nie ominie. No i ciebie przy okazji, skar-beńku-chłopaku.

Obiecałem wznowić treningi w Szkolnym Kole Sportowym. Jak tylko będę mógł.

199

Wróciłem do domu i przy obiedzie wysłuchałem wykładu naczelnika więzienia, czyli mamy mojej, tudzież brata mojego Gluta. Wykład dotyczył poszanowania rzeczy ogólnie, a ubrań w szczególności. Prawdę mówiąc, niczego nowego nie powiedziała. Oprócz jednej rzeczy — I jak już zaczniesz na siebie zarabiać, docenisz nasze wysiłki, rozumiesz? Zadzwoń do taty zaraz po obiedzie. Chcesz więcej ziemniaków?

— Rozumiem i docenię — kiwnąłem głową, podsuwając talerz. — Sosu też poproszę.

— Najpierw dla mnie! — krzyknął Glut, umazany buraczkami na brodzie i koszulce. — Bo zabraknie!

— Chwileczkę — podniosłem widelec, patrząc na ociekający brązowym sosem kawałek mięsa. — Mam zadzwonić do ojca, czy się przesłyszałem?

— Tak, masz zadzwonić — potwierdziła mama. Wyjęła z lodówki sernik na zimno. — Zjecie po kawałku?

Pies, obzarty obiadem, spał pod stołem. No i dobrze, więcej deseru dla nas.

— Po co mam dzwonić? — dopytywałem się z uporem. — Przecież wysłaliśmy list, sama zresztą do niego wydzwaniasz, chociaż niedługo wraca. — Niewiarygodne, ale jakoś wcale się za starym nie stęskniłem. Co innego pupilek Krzysztof Racyniak. Ten popłakał się parę razy za tatą.

Mama załała brudne talerze gorącą wodą, westchnęła i powiedziała:

— Wierzyć mi się nie chce, że to usłyszałam. Tato chce z tobą porozmawiać, bo przecież w poniedziałek jedziesz do

200

Gdańska, a on też tam będzie, więc moglibyście się spotkać __ tłumaczyła, szorując talerz zmywakiem. — Zresztą ma ci jakąś wiadomość do przekazania.

Kiwnąłem głową, że rozumiem temat. Połknąłem swoją porcję sernika w trzech kęsach i straciłem oddech.

— Mamo, Janek umiera — mruknął Glut, zamieniając swój pusty talerzyk na maminy

— O... yyy — wystękałem, macając dłońmi szafkę w poszukiwaniu kubka. Przed oczami snuły mi się niteczki zwiewnej czerwieni. — Oo... dyy!

— Przestań, Janku, błaznować, to nieładnie — mama nawet nie spojrzała. — Krzysztof patrzy na ciebie i we wszystkim naśladuje.

Z wybaluszonymi oczami chwyciłem czajnik i pociągnąłem parę łyków. Serowa kula przemieściła się niżej. Złapałem oddech, rżąc z wysiłkiem. Dyzio nawet uchem nie kiwnął.

— Mamo, on naprawdę umierał — Krzysio obliznął łyżeczkę. — Jakby sobie nie poradził, musiałbym mu rozciąć gardło. Maciek mi opowiadał, że jego dziadek kiedyś się udławił i babcia wzięła nóż...

— Widzisz? — mama obróciła się do mnie z irytacją. — Już zaczyna! Nauczyłbyś go lepiej czegoś pożytecznego.

— Na przykład, czego? — zacząłem masować szyję. Czerwona mgielka zniknęła powoli.

— No na przykład... — zastanowiła się mama. — Czy ja wiem... ty chyba niczego pożytecznego nie potrafisz zrobić? — zapytała.

201

Z taką oceną trudno się było nie zgodzić, doszedłem do wniosku. Na wzór do naśladowania

niespecjalnie się nadawałem. Chociaż...

— Pobili rekord świata wżyz, na WF-ie! — przypomniało mi się.

— Aha, jeżeli chodzi o rekordy świata, codziennie bijesz jeden, w bujaniu — mama skończyła wycierać naczynia. Popatrzyła na mnie. — Właściwie dlaczego to ja pozmywałam, a nie ty?

Te go nie wiedziałem. Wiedziałem natomiast, że skoro ojciec każe do siebie zadzwonić, sprawa jest poważna. Poprosiłem mamę o numer do hotelu Pomerania w Gdańsku.

— W notesie obok telefonu — dobiegło mnie z kuchni.

— Zjeżdżaj — odsunąłem Gluta, który stanął koło mnie z zaciekawioną miną.

— Nie zjadę, chcę podsłuchać, o czym rozmawiasz z ta-tusiem. — Krzysio pociągnął nosem z charakterystycznym bulgotem.

— Idź posprzątać u siebie.

— Najpierw ty posprzątaj u siebie — odpowiedział z przekąsem. Wycwanil się łobuz jeden.

Wystukałem zero, pięć i osiem — kierunkowy do Gdańska, a potem wybrałem numer z notesu. Po chwili uzyskałem połączenie.

— Pomerania, recepcja, słucham?

— Eee, dzień dobry, z panem Racyniakiem poproszę! — krzyknąłem do słuchawki.

— Z kim?

202

— Racyniak Tomasz!

— Pan jest niedosłyszający? — zdziwił się kobiecy głos.

— Ja?! Dosłyszający! — wrzasnąłem.

— To dlaczego pan krzyczy? — zapytała recepcjonistka — Słuchać pana doskonale.

Pierwszy raz w życiu ktoś mówił do mnie per „pan”. Bardzo lechtało to moją piętnastoletnią męskość. Obniżyłem głos.

— Eee, przepraszam. Poproszę z panem Racyniakiem Tomaszem, z pokoju... — tu utknąłem. — Mamoo, jaki jest numer pokoju?!

— Nie trzeba, kochanie — recepcjonistka zorientowała się najwyraźniej, z kim rozmawia. —

Sprawdę w książce meldunkowej... — usłyszałem mamrotanie i szelesty — Łączę! — zabrzmiała monotonna melodyjka.

— Tak? — To już na pewno był ojciec.

— Cześć, kazałeś przedzwonić — od razu przeszedłem do sedna sprawy — Coś się stało?

— Janek? — ucieszył się mój staruszek. — Wszystko gra?

— No... tak jakby... — powiedziałem mętnie, ale nie chciałem kłamać. Prawdy też nie chciałem powiedzieć.

— To dobrze — zabrzmiało to jak pochwała. — Słuchaj, mam do ciebie prośbę... — zawahał się.

— Tylko najpierw mi powiedz, czy Ania Piętak też jedzie do Gdańska.

— Jedzie, ale co to ma do rzeczy? — puknąłem w głowę Gluta, który próbował wsadzić ucho w słuchawkę.

— Bo widzisz, wymyśliliśmy z Olkiem, wiesz, tym ode mnie z firmy, że zrobimy symboliczne pożegnanie pana Piętaka. W końcu był z naszego miasta...

203

Słuchałem z rosnącym napięciem. Okazuje się, że ojciec zna sprawę.

— Co prawda utonął gdzieś koło Bornholmu...

— Ale tato...

— Wypadałoby człowiekowi chociaż wieniec rzucić na faje — dokończył ojciec. — Może powiesz Ani, żeby wraz z matką przyjechały uświetnić uroczystość. Jesteście, eee... blisko, a mnie nie wypada pchać się w żałobę. Zresztą, głupia sprawa, bo oficjalnie jeszcze nie uznano go za zmarłego. Co

ty na to?

— Właśnie chcę ci powiedzieć...

— Cześć, tato! — huknął Glut do słuchawki. — To ja, twój synek!

— Chcę ci powiedzieć — odciągnąłem małego za ucho — że pan Piętaś żyje!

— Jak to? — sapnął ojciec. — Wrócił?

— Nieee... — mruknąłem. — Trudno mi to wytłumaczyć, ale mam przeczucie, że żyje. Tylko nie wiem, gdzie jest... — im dłużej mówiłem, tym większe ogarniały mnie wątpliwości. Przeczucia i senne majaczenia to mało wiarygodne źródła wiedzy. Ojciec był podobnego zdania.

— Wiem, synu, że bardzo to przeżywasz — powiedział — ale są sprawy, z którymi musisz się zmierzyć jak mężczyzna. Pamiętaj, wtorek o dziesiątej rano na molo przy Nowym Porcie. Weźcie taksówkę na mój koszt.

— Może nie będzie takiej potrzeby?

— Ty znowu swoje — zmartwił się ojciec. — W razie czego masz numer mojej komórki. Spokojnych snów, trzymaj się!

204

— Tato! — zawołałem, ale odłożył słuchawkę. Zawsze tak robił, gdy trafiał na opornego rozmówcę.

Z kuchni wyszła mama z rozmazanym Glutem i ziewającym psem.

— Brak mi słów — oblicze miała chmurne. — Zachowujesz się jak ostatni dzikus! Dlaczego wygoniłeś Krzysia? Też chciał porozmawiać z tatą!

— Jakoś ojciec o tym nie wspomniał — skwitowałem i poszedłem do siebie. Głównie po to, by wysłać Kostkowi maila. Nie chciałem dzwonić, bo straciłem zaufanie do własnego telefonu. Na Gadu-Gadu z Ptakiem nie można się było dogadać, bo zaraz zbaczał z tematu, a ja miałem szlaban na komputer. Musiałem to zrobić w miarę dyskretnie.

Wszedłem do sieci i przejrzałem pocztę. Same reklamy Nikt już do mnie nie pisze prywatnie? Nikt oprócz sklepów wysyłkowych i organizatorów imprez nie odczuwa potrzeby kontaktu ze mną?

Świat chylił się ku upadkowi.

Kostek, jest tak... — tutaj sporządziłem ogólny zarys moich spostrzeżeń i wątpliwości. No i nie wiem, co robić — zakończyłem list — powiedzieć Ani czy nie? Wcisnąłem „wyślij”, po czym położyłem się na tapczanie w oczekiwaniu na odpowiedź. Sen przyszedł niespodziewanie.

... uliczka była brudna i wąska. Szedłem, wypatrując szyldu Pod Wesołym Wisielcem. Tym razem nikt mnie nie zaczepiał. Wiatr przyniósł zapach ryb i wodorostów. Zapach morza. Gdzieś blisko skrzeczały mewy, zapewne bijąc

205

się o wyrzucone na brzeg resztki. W bramie karczmy stał Utu w orlej masce. Jego zbroja błyszczała zimno w ciemnościach.

— Chcesz zobaczyć? — zaskrzeczał, pokazując lunetę.

— Chcę.

— Dobrze. — Zrobił krok w moim kierunku. — Posiadasz wiedzę, ale nie szukaj niczego więcej.

— Chyba jednak muszę — zadrzałem.

— Znajdziesz śmierć — ostrzegł Utu chrapliwie. Obrócił pierścień...

Ocknąłem się nagle w półmroku. Pukanie nie ustawało.

— Co jest? — zapytałem, z trudem powstrzymując ziewanie.

— Kolacja — oświadczył Glut. Był ciągle na mnie zły. — Masz zaraz przyjść, bo jajecznicą wystygnie!

— Dobra! — odpowiedziałem. — Już idę i zjem twoją porcję!

Usłyszałem paniczny tupot. Zerknąłem na wiadomości. Była jedna, jak się spodziewałem. „No cześć, przemyślałem sprawę i doszedłem do wniosku, że masz podsłuch w telefonie. Jacek to potwierdza”.

Plomba siedzi u Kostka, a ja mam szlaban! Pożałowania godne. „To, że te różne typki zostawiają cię w spokoju, kiedy tylko zaczynasz coś podejrzać, wynika chyba z jednego faktu...”

Wyprostowałem się, pocierając senne powieki. „... jest ich tylko dwóch, ciągle tych samych.

Przebierają się na okrągło.

206

Wyprostowałem się, pocierając senne powieki. „... jest ich tylko dwóch, ciągle tych samych. Przebierają się na okrągło.

Pytasz, czego mogą chcieć, hmm> pewnie wiedzą, że chodzisz do klasy z Lopezem. Może on ich zna, więc trzymają się ciebie, żebyś doprowadził ich do lunety? Nie wiadomo".

Mądry to on jest, ale jak na razie Ameryki nie odkrył. Sam miałem podobne przypuszczenia. „Co do Zuzala, weź go na wycieczkę na spytki. Zresztą, nie wiem, czy do ciebie dotarło, że my z Jackiem też jedziemy, jako samorząd. Sami Tyczce tę wycieczkę wparliśmy, że przyda się jej do zasług". Na to też wpadłem, mądrało — uśmiechnąłem się.

„Sprawdziliśmy plan miasta, na Wiśniowej rzeczywiście jest komisariat. Tyle że w książce telefonicznej pod numerem dwadzieścia pięć, a nie dwadzieścia siedem.

Ance możesz powiedzieć, ona i tak nie wierzy w śmierć ojca. Jedzie, żeby za pomocą lunety go odnaleźć. Pogadamy w pociągu, nara! K. & J."

Zacząłem tęsknić za czasami, kiedy chodziłem do przedszkola. Tam przynajmniej była pani Gosia, której się mogłem poskarżyć i wypłakać w rękaw. A teraz? Tragedia i nic więcej.

Rozdział 21.

Przemyślenia

Sobota upłynęła mi głównie na przemyśleniach, przepychankach z Glutem i próbach dodzwonienia się do Ani. Z przemyśleniami poradziłem sobie w ciągu pół godziny. Wziąłem zeszyt i natychmiast zapisałem wszystko, co mi przyszło do głowy. Okazało się, że były to prawie same pytania: czy w moich snach jest jakieś ukryte przesłanie?; Utu, kimkolwiek jest, grozi mi śmiercią; Hulewicz na pewno będzie chciał się zemścić za złamany ząb i mam dziwne przeczucie, że ofiarą padnę ja; kim są ci dwaj przebierańcy i dlaczego założono mi podsłuch w telefonie?

Co do podsłuchu, to byłem przekonany, że założył mi go w parku ten „lekarz" Raul. Miał znakomitą okazję. Po tych przemyśleniach otworzyłem telefon. Na oko żadnych śladów.

Wygrzebałem z biurka lupę i przyjrzałem się karcie SIM. Wyglądała całkiem niewinnie. Już miałem zrezygnować z poszukiwań, gdy w przybliżeniu detektywistycznego natchnienia odpiąłem kartę, by obejrzeć drugą stronę. Delikatna, niemal przezroczysta płytka z metalowym nadrukiem była ledwie widoczna, ale dostrzegłem ją bez lupy. A więc jednak nie mam manii prześladowczej, pomyślałem ze smutną satysfakcją.

208

Odchyliłem „pluskwę" paznokciem i po chwili namysłu splukałem w ubikacji. Niech sobie teraz koleś posłuchają szurzących popiskiwań w kanałach. Czując niemałą ulgę, -wróciłem do moich zapisków. Fotel przy biurku był miękki i ciepły. Ziewnąłem, po czym zerknąłem w zeszyt. „Gdzie jest ta Wiśniowa siedemnaście, do licha?" Skreśliłem słowa „do licha" jako niepotrzebny, staroświecki ozdobnik. Profesjonalny detektyw na pewno nie bawi się w literata. Czytałem dalej. „Jaki jest w tym wszystkim udział Zuzala i Mętlika?"

— No właśnie — zmarszczyłem czoło. Ogóras jest po prostu zwykłym wariatem, któremu ubzdurało się, że ma mnie chronić przed najeźdźcami z kosmosu. Ale Zuzalek? Chyba faktycznie w pociągu usiądę z nim w jednym przedziale i zacznę wyciągać zeznania. Tylko jak, torturami?

Spójrzmy, co dalej. Tyczka fruwała w powietrzu — to niemożliwe. To rzeczywiście niemożliwe, musiałem mieć przywidzenie. Może od tego smrodu, jaki tam panował? Podniosłem się, by wstać z fotela. Mebel podniósł się wraz ze mną, a dzinsy zjechały o parę centymetrów w dół. Poczułem się niezręcznie.

— Co jest, kurteczka? — opadłem z powrotem, macając siedzenie. Materiał spodni był sztywny od kleju i trwale połączony z obiciem fotela. — Jakim cudem?! — wrzasnąłem poirytowany.

— Wołałeś mnie? — zainteresował się Glut, włączając bez pukania.

— Wynoś się! — warknąłem.

— Nie — odparł Glut ze stoickim spokojem. W jego oczach czaił się śmiech.

209

— Wynoś się, bo jak cię złapię...

— Spróbuj. — Glut pociągnął nosem, siadając na tapczanie. — Ale najpierw ściągnij spodnie — poradził. Znowu ubrał się jak do ślubu. To już jest jakieś zboczenie.

— To ty? — nabrałem powietrza, powstrzymując wybuch gniewu.

— N00 — uśmiechnął się szelmowsko. — Czailem się i czailem — dodał, widząc moje niedowierzanie. — I się do-czailem, bo w końcu poszedłeś na siku, to posmarowałem ci fotel — pokazał wyciśniętą tubkę „Superspawacza” na dowód, że nie zmyśla.

— Podły smarkaczu — wycedziłem — powieszę cię za uszy na sznurku do suszenia, żeby Bąkowa zobaczyła, kto tu jest młodocianym bandytą! — szarpnąłem się. Spodnie zatrzeszczały w szwach.

— Ciekawe, skąd weźmiesz takie duże klamerki? — zapytał, wykazując nadzwyczajną przytomność umysłu. Był bystrzejszy ode mnie. Ja w jego wieku budowałem w przedszkolu domy z klocków Lego. On sprzedaje kumplom z zerówki moje płyty z gramami i komiksy — A może to ci się przyda? — wyjął z kieszeni kamizelki nożyczki do paznokci.

— Zjeżdżaj i módl się, żebym się nigdy nie odkleił! — ostrzegłem, czerwieniejąc ze złości. Znów się szarpnąłem, jednak dzinsy były solidnie uszyte i wąskie w udach. Chciałem porządne, to mam porządne. Prędeż oderwę obicie z fotela, niż spodnie.

— A to? — z drugiej kieszeni Glut wyczarował buteleczkę rozpuszczalnika acetonowego. Był przygotowany, bandyta

210

eden. Chyba powinienem negocjować, bo tak łatwo rozpuszczalnika nie odda, znam go nie od dzisiaj.

— Co ci odbiło, pies ci zjadł zabawki i się nudzisz? A może ^sz jakiś problem? — zniecierpliwiony stałem się zatroskanym, starszym bratem. — Żenisz się?

Krzysio, do niedawna jeszcze biegający na czworaka z pamperssem w spiochach, poprawił muszkę (tym razem miał błękitną) i założył nogę na nogę.

— Nie mam problemu, Cyna. I nie żenię się, tylko jestem elegancki.

— Zabraniam ci mówić do mnie per Cyna! — oburzyłem się. Co ten szczeniak sobie myśli?

— Nie mam problemu, Percyna — kontynuował niewzruszenie — tylko mam zemstę.

— Zemstę? Tobie nie przysługuje żadna zemsta, jesteś jeszcze nieletni! — gorączkowałem się. — A poza tym jaka znowu zemsta, Glucie zasmarkany?

Mój braciszek wstał, chowając zbawienną buteleczkę. Otworzył drzwi.

— Zemsta za to, że nie dałeś mi porozmawiać z tatu-siem — oświadczył. — I teraz nie mogę cię lubić! Idę sobie.

Spanikowałem. Moja dyplomacja wymaga jeszcze pewnego szlifowania.

— Hej, nie przesadzaj! — podskoczyłem, przesuwając się w jego stronę wraz z fotelem.

— Jedziesz na koniu? — uśmiechnął się zaciekawiony. To była szansa, której oczekiwałem z niecierpliwością.

— Pewnie, chcesz spróbować?

211

zapropnowałem.

— Nie mam takiego fotela.

— Odklej mnie, to ci dam pojeździć Spostrzegłem wahanie.

— Dobra, ale... ale mnie przeprosisz i... i zapiszesz do waszej bandy! — przełknął ślinę.

No proszę, negocjator się znalazł.

— Starsi bracia nie mogą przeproszać młodszych, bo im język sparszywieje, nie wiedziałeś o tym?

— zapytałem z powagą. Pokręcił głową.

Chyba go jednak przeceniłem, w końcu to jeszcze dzieciak.

— A widzisz! — wyciągnąłem ku niemu palec wskazujący — Ale do mojej bandy zapiszę cię, pewnie, że zapiszę. Czemu nie...

— To zapisz — zażądał.

— Teraz?

— Tak, już teraz i od razu, natychmiast!

— Okej — mruknąłem. Otworzyłem zeszyt z przemyśleniami i zacząłem pisać. — Ra-cyniak Krzysztof, lat sześć...

— Siedem — zaproponował. — Mam prawie siedem!

— ... prawie siedem, jest zapisany na zastępcę kandydata czwartego stopnia, łamane przez

siedemdziesiąt trzy, paragraf dwadzieścia dwa, zero, zero, pięćset pięć, bandy Łysego Mariana...

— Jakiego Mariana?! — machnął rękami Glut. - Miało być DERKI.

212

— Bo to woda! — zachichotał Glut diabelsko. — Wyjąłem ze śmietnika pustą butelkę, głupolu! Nie zdzierzyłem. Kipiąc wściekłością, poderwałem się z trzaskiem rozrywanego materiału. Nie był aż taki porządny

— Ratunku! — zapiszczał malec, czmychając w popłochu. W pierwszej chwili chciałem go gonić, ale zrozumiałem,

że niepotrzebnie nakręcę maszynkę złośliwości. Krzysio od niemowlęcia ćwiczył spryt wraz z inteligencją i wojna trwałaby w nieskończoność. Tyle razy robiłem go w trąbę, więc dzisiaj niech mu będzie... powiedzmy: remis.

Zdjąłem spodnie z oberwanymi kieszeniami, zastanawiając się, jakie będą tego konsekwencje.

Łatwo je było przewidzieć. Kolejny morderczy wykład albo nawet zaostrzenie szlabanu. Nie mogłem na to pozwolić. Spodnie spoczęły więc w bezpiecznym miejscu, tam gdzie spoczywają wszystkie inne potrzebujące bezpieczeństwa rzeczy, czyli pod tapczanem. Kiedy już ochłonałem z emocji, wybrałem numer Ani. Po trzecim sygnale pojawił się komunikat „połączenie odrzucone”.

Jak to, odrzucone?! Spróbowałem ponownie. Tym razem wybieranie trwało dłużej. Coś w słuchawce westchnęło, a potem usłyszałem piknięcie: połączenie odrzucone. Nie dałem za wygraną. Tym razem wystukałem cały numer z uwagą i pobożnym namaszczeniem: połączenie odrzucone. Wcisnąłem guzik jeszcze raz: połączenie odrzucone. Warknąłem niczym rozdrażniony pies i omal nie wbiłem klawisza połączeń na trwałe w głąb aparatu. Połączenie odrzucone.

— Nie chcesz ze mną rozmawiać? Dobrze, Anka, w porzą-dalu! — syknąłem, kiedy dotarła do mnie bolesna prawda. —

214

pewnie, nie dawajmy sobie szansy... Zwłaszcza że się i tak zobaczymy Kapitalna logika!

Postanowiłem zrobić sobie na kolację jajecznicę. Nie byle jaką jajecznicę. Mój przepis zakładał furę dodatków, ninóstwo przypraw i usychanie z pragnienia nocną porą. Przez chwilę analizowałem stan organizmu, badając, czy przypadkiem nie straciłem apetytu. Zawód miłosny to poważna sprawa, ale na szczęście żołądek burczał jak należy melodyjnym marszem głodowym. Odłożyłem smutek na później. Nie powinno się mieszać odżywiania z problemami, wiem to od babci. Ona mieszała i teraz ma wrzody na żołądku.

W kuchni siedziała mama, pochylona nad gazetą.

— W lodówce są parówki, odgrzej sobie — powiedziała, nie odrywając wzroku od lektury.

— Parówki? — uniosłem brwi. — Mam ochotę na jajecznicę po mojemu, taką wiesz... Są pomidory? I szczypior?

Mama kiwnęła twierdząco. Odrzuciła włosy z czoła i łyknęła herbaty. Nudziło się jej bez ojca.

— A papryka?

— Jedną widziałam. Zajrzyj do lodówki i przestań mnie wypytywać o wszystko, bo straciłam wątek.

Braciszek się nie skarżył, bo inaczej już bym o tym wiedział. Na jego miejscu też bym trzymał język za zębami. Otworzyłem lodówkę.

— Gdzie jajka? — jęknąłem.

— Ostatnie trzy ugotowałam Krzysiovi na miękko — poinformowała mnie mama zniecierpliwionym głosem. — Jutro

215

kupię całą paletkę od pani Śledzikowej, ma siostrę na wsi Podobno bardzo smaczne i ekologiczne.

— Ale musiał zeżreć aż trzy? — oburzyłem się. — I dlaczego właśnie jajka?

— Jak ty mówisz? Panuj troszeczkę nad językiem — mama jak zwykle zwróciła uwagę nie na to, co trzeba. Ręce opadają.

— Zrób sobie jajecznicę bez jajek! — zawołał Glut z salonu. Ma chyba radary zamiast uszu.

— Idź, bo jak cię...

— Janek! — głos mamy zabrzmiał jak ostrzeżenie. — Ja z wami w końcu oszaleję — popatrzyła

na mnie z wyrzutem. — Za głupie jajka chcesz pobić Krzysieńka? A później pewnie mnie, co? Teraz dopiero straciłem apetyt. Wyszedłem z kuchni z pobladłą twarzą i zaciśniętymi ustami. Niech matka wie, że przez nią zagło dzę się na śmierć. Może przed tym właśnie ostrzegał mnie Utu? —ДВМШШШИД

Rozdział 22.

Szósta czterdzieści jeden do Gdańska

Szedłem na dworzec, mrużąc oczy przed promieniami wschodzącego słońca. Naprężone pasy plecaka wyładowanego kanapkami, butelkami z piciem i ubraniami wrzynały mi się w ramiona. Poranek był rzeński, może nawet zbyt rzeński jak na końcówkę maja. W żołądku bulgotała mi pośpiesznie wypita herbata, gniotła wmuszona przez mamę drożdżówka z serem... („Specjalnie biegłam do piekarni, żebyś nie chodził głodny, niewdzięczniku!") a powieki sklejało ogólne niedospanie. Gdzieś w zakamarkach ust czaił się zapach pasty do zębów, w podświadomości zaś niepokój, że na pewno zapomniałem czegoś, czego będę potrzebował.

W pamięci miałem przeraźliwie nudną niedzielę, wypełnioną odrabianiem lekcji (żeby nie mieć zaległości, kiedy wrócę — pomysł bynajmniej nie mój), pakowaniem plecaka i wysłuchiwaniami rad wycieczkowych mamy i Gluta (Krzysio był z przedszkolakami we Wrocławiu, zwiedził zoo i uznał siebie za wytrawnego podróżnika).

Szedłem żwawo, co chwilę sprawdzając upływ czasu. Szósta dwanaście, nie najgorzej. Trombolin budził się w warkocie kopających samochodów dostawczych i pustawych

217

autobusów, stukaniu butów pierwszych przechodniów o smutnych twarzach oraz nawoływaniu zakutanego w szary płaszcz woźnicy rozwożącego mleko prosto od wiejskiej krasuli.

— Mleeeeko! Naa, wio, stara! Mleeeeko! Pozdrowiłem staruszka wyciągniętym w górę kciukiem niech wie, że popieram akcję mleczną. Po namyśle pozdrowiłem też konia, a co tam.

Dworzec kolejowy był brzydkim, wysokim budynkiem z czerwonej cegły, ozdobionym na ścianach hasłami w rodzaju „Tornado rulez!", „Krwawy Trombolin", czy „Kacha zadzwoń 606 607 940 plis! Mietol".

Nad wejściem znajdował się okrągły zegar, wskazujący akurat szóstą dwadzieścia sześć. Miałem cztery minuty do zbiórki.

— Cyna! Hej, zaczekaj!

Odwróciłem się. Od strony ulicy Towarowej biegł Lopez ze zdobionym tłóceniami skórzanym kuferkiem w dłoni. Czy on nigdy nie zmienia ubrania? Od kiedy się pojawił, chodzi w tym swoim pomarańczowo-zielonym cyrkowym komplecie. Chyba że ma kilka par zielonych spodni i tuzin pomarańczowych koszulek z krótkim rękawem.

— Nie zimno ci, Patryk? — zapytałem, kiedy już dobiegł, wzdrygając się na widok jego negliżu.

— Jakoś nie — uśmiechnął się, pokazując wspaniałe białe zęby. Syn dentysty, od razu widać.

— Co to za torebka? Podwędziłeś mamie? Popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

218

— Sakwa podróżna, z niezbędnymi rzeczami.

— Sakwa podróżna? — odsunąłem się pół kroku. — Robisz ze mnie wariata? A może chcesz zaszpanować przed dziewczynami, co?

Lopez wzruszył ramionami.

— Mam dziewczynę, mówiłem ci. I bardzo za nią tęsknię, bo komunikujemy się tylko czasami — gadał jak dorosły facet.

— Ma jakoś na imię? — pociągnąłem go za język, usiłując jednocześnie dostrzec, czy kiosk z prasą jest już otwarty. Przydałaby się gazeta na podróż, najlepiej „Świat RPG".

— Inana — odpowiedział z widocznym rozmarzeniem.

— Dziwnie; to chyba nie Polka?

— Nie — westchnął Lopez i zarzucił na ramię czarny, brezentowy plecak. — Chodźmy, Tyczka pewnie zaraz zacznie liczyć wszystkich.

— Zacznie albo i nie zacznie — ziewnąłem. Nagle coś mnie tknęło. — Chwila, cwaniaczku!

Zatrzymał się, mrugając niewinnie.

— Tak?

— Gdzie masz sakwę?

— Sakwę?

— Podróżną, skórzaną, z... jak im tam, z ozdobami?!

— Zdawało ci się, Jasiu — parsknął śmiechem. — Może patrzyłeś na mój plecak pod słońce i oślepiło cię? Wzrok często płata figle.

— Żebym ja ci nie spletał — burknąłem, gorączkowo zastanawiając się nad rozwiązaniem tej zagadki. Była sakwa,

219

jest plecak... Czyżbym niechcący odkrył jego kuglarską pa. sję? Może — na co wskazuje kolorowe ubranie i nazwijmy to-giętkość ciała — Lopez rzeczywiście daje w cyrku występy jako nastoletni sztukmistrz?

Zobaczyłem kilka osób z naszej klasy, spieszących w stronę dworca. Pod kioskiem stanęła babina w zapasce i kwiecistej, zawiązanej pod brodą chuście. Pewnie jakaś handlara przyjechała na targ. Zastanawiał mnie tylko brak kosza, kobiałki, słowem, czegoś, czym się te baby posługują w robocie. Otworzyła puszkę piwa i pociągnęła z niej ostentacyjnie.

— Idziemy — machnąłem dłonią, pies trącał kupowanie gazety.

Lopez zerknął na mnie i poprawił plecak podpatrzonym u mnie ruchem.

— Aha — przypomniało mi się — twój stary ma gabinet na Podmokłej?

— Nie — w jego głosie zabrzmiała pewność.

— A gdzie?

— Nigdzie.

— Co ty gadasz? — zaniepokoiłem się.

— Ja nie mam starego — wzruszył ramionami. Byliśmy u wejścia. Wahadłowe drzwi kołysały się lekko,

widocznie ktoś przed chwilą przez nie wchodził.

— Nie masz starego? — podniosłem brwi wstrząśnięty. — A wszyscy mówią... no bo Tyczka niedawno...

— Ludzkie bajanie często nie dotyka prawdy — szepnął Lopez. — Musisz więcej przebywać z Mętlikiem.

220

Wyraźnie przegiął. Pchnąłem skrzydło drzwi, zdjąłem plecak i odwróciłem się do Ligurskiego:

-- Jeżeli wachasz klej czy inne świństwo, radzę ci przestać, bo niszczy ci płyty czołowe.

— Uważaj! — ostrzegł Lopez.

— Nie strasz, nie strasz, bo się... — zacząłem.

W tym momencie rozbujałe skrzydło potężnych drzwi dworcowych wróciło na swoje stałe miejsce, waląc mnie przy okazji z impetem w plecy. Zobaczyłem stado pierzchających świetlistych robaczków i straciłem oddech.

— Ostrzegałem — Ligurski znów się do mnie uśmiechnął. Co on się tak uśmiecha, nienormalny jakiś?

— Nic... się... nie stało — zipnąłem, próbując zachować fason.

— To świetnie.

Na środku holu stała niesforna grupa wycieczkowa, a wśród niej Tyczka z żalością wymalowaną na twarzy, usiłująca policzyć wrzeszczących uczniów. Wyczytywała nazwiska i małym długopisem odhaczała obecnych na wymiętej liście. Pierwszy raz widziałem moją wychowawczynię w spodniach, polarze i białych adidasach. Prawdziwa turystka! Obok niej stał zaspany pan Ciopek, drugi opiekun. Nie odzywał się, tylko dyskretnie ziewał w dłoń.

Omiotłem spojrzeniem słabo oświetlone wnętrze budynku. Pod jedną z kas stało dwóch wojskowych żandarmów z surowymi twarzami. Obaj mieli przewieszane przez lewe ramię karabiny na parczanych pasach. Rozmawiali z kasjerką, machając czerwonym od pieczętek dokumentem. Między nimi kulił się wymizerowany żołnierzyna w ubłoconych butach i wyświechtanym polowym

mundurze, pewnie dezterter.

W pobliżu drugiej, nieczynnej kasy, leżał na ławce zarośnięty bezdomny, łypiąc na mnie ponuro. Odwróciłem wzrok.

Brakowało jeszcze paru osób, między innymi Ptaka, Plomby, Hulewicza oraz Bolka Niteckiego. Ci dwaj ostatni mogliby się nie pojawiać, nie miałem ochoty na ich towarzystwo. Anię dostrzegłem bez trudu, chociaż starała się ukryć za roz-trajkotaną Beatą i innymi dziewczynami. Pogadamy później, pomyślałem.

222

— Proszę o uwagę! — Tyczka klasnęła w dłonie. Wszyscy, nie wyłączając żandarmów i bezdomnego, zwrócili ku niej głowy

— Pociąg do Gdańska przyjedzie za — popatrzyła na zegarek — osiem minut...

Coś szcęknęło i z głośników popłynął wyczytywany słabo zrozumiałym głosem komunikat:

— Pociąg pośpieszny z Zielonej Góry do Gdańska, przez Zbąszynek, Poznań, Tczew, planowy odjazd szosta czterdzieści jeden, jest opóźniony o około dziesięć minut! Opóźnienie może ulec zmianie! Za opóźnienie przepraszamy! Przewozy PKP to gwarancja jakości podróży! Powtarzam...

— ... za osiemnaście minut! — kontynuowała przytomnie wychowawczyni, przekrzykując spikerkę. — Czy wszyscy

223

oddali deklaracje od rodziców? Bez tego uczeń nie pojedzie! — wyjęła z kieszonki torby podróżnej zwitek karteczek.

Oślabłem. Moja karteczka leżała gdzieś na biurku w toim pokoju, zupełnie o niej zapomniałem. Jeszcze wczoraj miałem podsunąć ją mamie do podpisania. Nie mam pojęcia, dlaczego tego nie zrobiłem. Klątwa Smutnego Antosia, ani chybi.

— Kto nie oddał?

Nikt się nie odezwał. Tyczka przejrzała pobieżnie deklaracje, porównując je z listą.

— Jacek Plomba, gdzie deklaracja?

— Mam, proszę pani! — krzyknął Klocek od drzwi. Tuż za nim stał Kostek Ptak, pokazując Palikowej z daleka, że on też przyniósł. Zaczynam wychodzić na ostatniego gamonia.

— Nitecki, Hulewicz?

— Dratwa nie jedzie, chory. — Zza mego ucha wyłoniło się łapsko Szczęsnego z paskiem papieru.

— A moja deklaracja jest, psze pani. Policzę ci, Cyna, za zęba — szepnął do mnie. Już nie seplenił.

— Racyniak? — Przełknąłem ślinę. — Racyniak jest?

— Jestem — odchrząknąłem.

— Nie słyszę. — Tyczka wspięła się na palce, bo Hulewicz stanął przede mną, zasłaniając mnie złośliwie. — Czy ja głuchnę, panie Maćku? — zapytała Ciopka. Ten taktownie zmilczał.

— Jestem! — wydarłem się Skunksowi wprost do otworu usznego. Drgnął boleśnie.

— Zgoda od rodziców?

224

— He?

— De-kla-ra-cja, Racyniak! — przesyłabizowała zniecierpliwiona.

Przestąpiłem z nogi na nogę. Bezdomny uniósł się na łokciu, przesyłając mi piorunujące spojrzenie. Zapytałem bezgłośnie, o co chodzi. W odpowiedzi przystawił pięść go wiechciowatej brody.

— Masz czy nie masz? — Tyczka uwolniła się od wiszących na niej dziewcząt i zmierzała w moją stronę.

— Ale on oddał — zawołał nagle Ligurski.

Palikowa zatrzymała się, skrzywiła usta, po czym ponownie przejrzała kartki.

— A, jest! — oświadczyła. — Pierwsza z brzegu... no dobrze, macie jeszcze dziesięć minut, możecie sobie coś kupić w bufecie.

Wróciła do grupki dziewcząt tłoczących się wokół pana Ciopka.

— Lopez... — odezwałem się.

— Drobiazg — Ligurski mrugnął porozumiewawczo.

— Ale jak?

— Eeemm... coś mi podpowiadało, że zapomnisz i... sfabrykowałem jedną więcej — odrzekł z tym swoim uśmieszkiem.

— Nie chce mi się wierzyć — spojrzałem na Lopeza, a potem na szepczącego coś do Plomby Kostka. — Wydaje misie...

— Opóźniony pociąg pośpieszny z Zielonej Góry do Gdańska, przez Zbąszynek, Poznań, Tczew, planowy odjazd

225

szósta czterdzieści jeden, wjeżdża na tor drugi przy peron' trzecim! Proszę zabrać bagaże i odsunąć się od torów! P0" wtarzam...

— Wracać, wszyscy, wracać! — krzyknął pan Ciopek.

- Na peron! - zawołała Tyczka. - Wycieczka, na pe. ron!

Rozdział 23.

Michałek

Podniosłem plecak z podłogi. Podróż się zaczęła.

Zgodnie z radą mamy parłem do przodu z plecakiem w dłoniach, by nie utknąć w wąskim przejściu. Przede mną, z piskiem, głośnym śmiechem i niewybrednymi nawoływaniem przesuwaliśmy się w żółtym tempie korowód chcących zająć lepsze miejsca gimnazjalistów oraz kilkoro podróżnych, widzianych wcześniej na dworcu.

Żandarmi, niezbyt delikatnie popychając wystraszonego dezertera, wchodzili właśnie do ostatniego przedziału w wagonie, więc Palikowa poprowadziła swoją grupkę dalej. Ciapek został gdzieś z tyłu i cała reszta też. A kogo ja miałem się trzymać?

— Rezerwacja dla konwoju! — oznajmił tubalnie grubszy z żandarmów. Od razu rozległy się pełne oburzenia protesty

— Jak to tak, proszę ja ciebie? — zdenerwował się siwy mężczyzna w okrągłej czapce z daszkiem, zwanej maciejówką. — We trzech w jednym przedziale, a ludzie mają stać na korytarzu, proszę ja ciebie? Skandal!

— Nie dyskutować! — zza ozdobionej literami PKP zasłonki wystawił głowę chudszy żandarm.

— Tu się przewozi więźnia! — dodał grubszy. — Do Poznania!

227

- Ależ młodzieńcze — starszy pan wyjął z kieszeni marynarki bilet, trącając łokciem stojącą za nim kobietę. — Najserdeczniej panią przepraszam — uśmiechnął się zakłopotany po czym podsunął bilet żandarmom. — Ja mam miejscówkę, proszę ja ciebie, na ten przedział! I cóż?

— Zamelduj pan problem koniowi. I już! — odszczeknął się gruby żołnierz. Drzwi szumęły, ucinając wszelkie dyskusje.

— Skandal! I... bandytyzm, proszę ja ciebie! — Pan w maciejówce patrzył na mnie i na kobietę. To była ta sama babina, którą widziałem wcześniej pod kioskiem. Cuchnęła piwem i papierosami. Może nie jest handlarą, tylko artystką ludową?

— Nooo... — wychrypiała twierdząco.

Nagle pociąg ruszył z potężnym szarpnięciem. Zachwiałem się niebezpiecznie. Upuściłem plecak, przywierając twarzą i dłońmi do okna.

Na peronie stał bezdomny z poczekalni, rozmawiając z kimś przez telefon komórkowy. To było więcej niż zaskakujące.

— O, kurka! — wytrzeszczyłem oczy, kiedy brodac podskoczył i pobiegł za pociągiem. Nie dane mi było zbyt długo się nad tym zastanawiać. Poczulem delikatne szturchnięcie.

— Czy mógłbyś się, chłopcze, łaskawie przesunąć? — zapytał starszy pan. W jego wyblakłych, niebieskich oczach wyczytałem naganę. — Tarasujesz przejście — wskazał plecak — a ja muszę natychmiast powiadomić konduktora, proszę ja ciebie...

228

— Mnie pan prosi? — zapytałem mrukiwie. Wsunąłem plecak między stopy i wciągnąłem brzuch.

— Konduktora proszę, proszę ja ciebie — powtórzył. —]Vlam miejscówkę, rozumiesz? MIEJ-SCÓW-KE! — podkreślił, poblady.

Przepuściłem go, sprawdzając przy okazji, jak poradziła sobie cała reszta. Kobięcina w zapasce i

kwiecistej chuście znikła w przedziale obok. Nie licząc oddalającego się pana „proszę-ja-ciebie”, na korytarzu nie było nikogo. Widać, wszyscy się jakoś rozlokowali. Postanowiłem naprawić swoje gapiostwo. Przytrzymałem zamykające się drzwi.

— Przepraszam — zajrzałem do środka — znajdzie się wolne miejsce?

W rozświetlonym porannym słońcem przedziale siedziało pięć osób. Po prawej mościła się babina ze wsi, tuż obok za-czytany młodzieniec z kucykiem, w porozciągany swetrze, po lewej grubas w sportowym dresie i młoda kobieta w garsonce, ze śpiącym na kolanach, jasnowłosym chłopczykiem.

Nikt nie raczył odpowiedzieć. Liczyli pewnie, że zrezygnuję.

— To jak, mogę? — zapytałem pro forma. Wsunąłem się głębiej, mierząc wzrokiem półki na bagaż. Od biedy plecak się zmieści. Wspiąłem się na palce i wcisnąłem go między torby podróżne.

— Proszę nie hałasować i nie krzyczeć, dziecko śpi — mknęła blondynka.

— Nie krzyczę — zachnąłem się, nadal stojąc. Tak się rozsiedli, że trudno będzie mi się tu wmontować.

229

- No, nie krzyczy — potwierdziła handlara. — Sama słyszałam, że nie krzyczy, a pan słyszał? — jej głos był zaczepnie donośny i chrypiący. Poczulem, że mam sprzymierzeńca.

— Ja tam nic nie wiem — burknął grubas. — Jadę tylko do Zbąszynka!

— A co to ma do rzeczy? — zainteresowała się babina, pokazując mi miejsce obok siebie. — Chłopak cichy jest, grzeczny!

Usiadłem, zsuwając się natychmiast w jej stronę. Pod ciężarem kobiety siedzenie zapadło się, tworząc stromą pochylnię. Spróbowałem się wyprostować, jednak siła grawitacji czyniła moje wysiłki bezskutecznymi.

— Wygodnie ci? — zapytała.

— Oczywiście — skłamałem, by nie wyjść na niewdzięcznika.

— A to dobre! — ożywił się zaczytany chłopak. — Piszą tutaj, że jeden facet stał na rękach ponad cztery godziny, pijąc mleko przez słomkę!

Zerknąłem na okładkę: Absurd goni absurd, Marka Newmana. Interesujące.

— Pssyt! — syknęła blondynka. Chłopczyk otworzył oczy, coś mruknął, mlasnął i, ku wielkiej uldze wszystkich, zasnął z powrotem.

— Potem podpalili cyrk, bo to był terrorysta i nie chciał wyjść! — młodzieniec obliznął wargi.

— Guzik mnie to obchodzi — skrzywił się grubas.

— Ależ ja naprawdę proszę — zaniepokojona matka zakryła dziecku uszy. — Państwo ryzykują, Michałek jest dosyć trudnym dzieckiem...

230

— Wcale nie wygląda, taki anioleczek — moja sąsiadka złożyła ręce jak do modlitwy.

Zauważyłem, że dłonie ma duże, kanciaste i owłosione. Fuj!

Gdzieś tam z przodu lokomotywy wesoły maszynista po-ciągnął za tą specjalną wajchę do pociągania. Dobięgl nas charakterystyczny, wibrujący gwizd. Michałek potarł oczy.

— O, ale śmieszna pani! — zawołał momentalnie ożywiony Wygiął się niczym kot, usiłując zejść z matczynych kolan.

— Misiu, nieładnie — sapnęła blondynka. Objęła synka ramionami.

— Ja chcę jeść!

— Już ci daję.

— Jeeeeeeść!

Przerażona mama wcisnęła synkowi w zniecierpliwione łapska bułkę z wędliną. Rzucił się na nią z łapczywością godną bestii. Poczulem ssanie w żołądku.

— Bardzo panią przepraszam — blondynka zwróciła się do siedzącej obok mnie kobiety — ale ostrzegałam, żeby go nie budzić. Jest nadpobudliwy ruchowo... — uśmiechnęła się z zażenowaniem.

— E tam, nic takiego — zachrypiała kobiecina. Czerwień jej grubo wymalowanych warg kontrastowała z bielą upudrowanych policzków i nosa.

— Wyglądasz jak klaun — malec odrzucił bułkę i klasnął w dłoń.
— Hi, hi, jakie tu piszą... te... O torturach! — wtrącił zupełnie nie a propos trawiący lekturę młodzieniec. — Przeczytać? — podniósł wzrok znad książki.

231

— Nie! — współpasażerowie byli zgodni.

Moja sąsiadka pogroziła Michałkowi palcem. Ten pokazał jej upačkany okruszkami jęzor. Ssanie w żołądku zamieniło się w mdłości. Wtuliłem się w śmierdzącą papierosowym dymem zapaskę. Ciało ludowej artystki było twarde i umięśnione. Nastąpiła chwila upragnionej ciszy. Kołysany jednostajnym rytmem przymknąłem powieki. Tu-tu, tu-tu, tu-tu, tu-tu...

... Z mgły wyłonił się Utu. Za nim stała podobnie ubrana, drobniejsza postać. Delikatna.

— Nie szukaj tego — zaskrzeczał Utu. — Znajdziesz śmierć, pamiętasz?

— Znajdź to, znajdź — szepnęła postać za nim.

— Inana? — zapytałem sennie...

Szurnęły drzwi.

— Dzień dobry, państwu! Proszę o przygotowanie biletów do kontroli! — huknął mi nad uchem konduktor. Twarz miał poszarzałą, przekrwione oczy łypały podejrzliwie znad chorobliwych worów sinawej skóry.

Wyprostowałem się, co nie było łatwe.

— Jaki fajny listonosz! Dasz mi czapkę? — Michałek spróbował wyrwać się z rodzicielskiego uścisku. Blondynka była czujna.

— Przestań! — trzepnęła go po dłoni. Z miejsca się naburmuszył.

Grubas wyjął z portfela złożony we czworo żółty bilet.

232

— Dziękuję — mruknął konduktor, ignorując strzykającego śliną Michałka. — Pan? — zwrócił się do pasjonata książek o przemocy.

Młodzieniec przekartkował lekturę.

— O, jest! — sapnął z ulgą.

— Legitymacja? — konduktor podniósł brew. Chłopak potrząsnął przetłuszczonym kucykiem, a potem

rozjaśnił się nagle.

— Mam — sięgnął do kieszonki plecaka.

— Aktualna? — konduktor odwrócił dokument, sprawdzając pieczętki. — Wygląda, jakbyś pan sam sobie dziesięć groszy odcisnął, he, he — zażartował.

— No też coś — poczerwieniał młodzieniec. — Tak rm podbili w dziekanacie.

Konduktor oddał mu legitymację i bilet, po czym obejrzał dokumenty blondynki.

— To pani dziecko?

— A co, niepodobne? — zdenerwowała się kobieta.

— Legitymacja szkolna jest?

Przecież ma dopiero cztery lata, nie widać?

— Teraz to od tych zanieczyszczeń tyle się rodzi liliputów, że nigdy nie wiadomo — tłumaczył się konduktor. Oddychał ciężko, a worki pod oczami wydawały się niebezpiecznie sinieć.

— Pan jest bezczelny! — warknęła blondynka. Michałek ześliznął się na podłogę i z szelmowskim uśmieszkiem kopnął konduktora w kostkę.

— A masz! — krzyknął, zwiewając w matczyne objęcia. Konduktor zacisnął zęby, udając, że nic się nie stało. Spojrzał na mnie.

— Ja z wycieczką do Gdańska — poinformowałem go szeptem.

— Z którą? — konduktor westchnął ciężko. — W tym pociągu jedzie pięć wycieczek, a wszystkie do Gdańska.

— No, ze szkolną — przelknąłem ślinę. — Z Tromboli-na.

— Znaczy się, gapowicz, tak? — przez zmęczoną twarz pracownika kolei przemknął cień satysfakcji. — Legitymację poproszę.

Otworzył skórzaną raportówkę, szukając notesu.

— To może pójde poszukać? — zaproponowałem zaniepokojony.

— Proszę się nie ruszać — odpiął krótkofalówkę. — Osiem dziewięć do bazy... — powiedział, wsłuchując się w szum.

Moja sąsiadka szarpnęła konduktora za rękaw.

— Ten kawaler jest ze mną — pokazała na mnie.

— Pani jeszcze nie sprawdzałem i proszę nie utrudniać czynności — cofnął się chwiejnie właściciel szarej twarzy. — Osiem dziewięć do bazy, odbiór!

Pociąg zaczął zwalniać. Mimowolnie spojrzałem na zegarek. Siódma dwadzieścia dwie, do Zbąszynka jeszcze spory kawałek.

Ludowa artystka sięgnęła pod zapaskę. W dłoni trzymała czarną książeczkę. Identyczną widziałem całkiem niedawno, ale gdzie?

— Co mi tu pani się wtrącała? — zmarszczył się konduktor. Michałek zachichotał, zachwycony.

— Tu baza, tu baza, osiem dziewięć, jak mnie słyszysz? Odbiór! — zaszemrała krótkofalówka.

— Chwila — konduktor po raz drugi czytał podsunęty mu dokument. Zaciśnięte na czarnej okładce palce zbiegły

— Tu baza, tu baza...

— Rozumiem i przepraszam — schorowany mężczyzna zsalutował służbiście. — Bez odbioru! — rzucił na odczep-nego do mikrofonu i rozłączył się. — Życzę przyjemnej podróży — wymamrotał, wychodząc.

Drzwi szurnęły. Zaraz potem pociąg zatrzymał się na chwilę.

- Dlaczego pani... — zwróciłem się do babiny w zapasce. Omal nie przegryzłem sobie języka, bo pociąg znów szarpnął i ruszył, nabierając prędkości.

Trombolin obudził się na dobre. Na przystanku przy ulicy Wiśniowej zatrzymał się autobus, zabierając grupkę ziewających jeszcze uczniów i śpieszącą na targ staruszkę z koszem. Na chodniku zostały opakowania po waflach w czekoladzie, ogryzki jabłek i przyklejone do przezroczystych ścian przystankowej wiaty kulki przeżutej gumy

Pod numerem dwudziestym siódmym krępy dwudziesto-kilkulatek zalewał wrzątkiem wsypaną do dzbanka rozpuszczalną kawę.

— Z mlekiem? — krzyknął, wychylając się z małej, wąskiej kuchni.

— Od mleka ci się pryszcze robią, Kalafior — zaśmiał się Duda, nie odwracając głowy od monitora komputera. — Ciekawe, czy szef ich namierzył?

— Papol meldował, że namierzył — Kalafior siorbnął z kubka. — Powiedziałem, żeby się dosiadł.

— Niby jak?

— Niby tak — Kalafior wskazał głową na stół. Obok dzisiejszych Wieści Trombolina" leżał pistolet TT, kaliber 7,62 milimetra.

— Cyna, gdzieś ty się podziewał — do przedziału zajrzał uradowany Kostek. — Zabieraj manele, synu, i chodź do nas! — machnął ręką, wracając na korytarz.

— Dziękuję i... w ogóle — wstałem, by zdjąć plecak.

— Wynocha, głupku! — odezwał się Michałek.

— Pani go nie wychowała, czy jak? — zapytała moja obrończyni.

— Głupia baba! — malec wyrwał się matce i szarpnął kwiecistą chustę artystki. Krzyknęła zaskoczona, próbując powstrzymać Michałka. Na próżno.

— Ale jaja! — skomentował młodzieniec z książką. Grubas w dresie odsunął się pośpiesznie pod samo okno.

Patrzyłem na szpakowatego mężczyznę w zapasce z niedowierzaniem.

— To pan?

— Tajna akcja, bracie — odpowiedział komisarz Klupś grubszym niż wcześniej głosem. —

Przepraszam bardzo, ale zostałem zdekonspirowany, niestety. — To mówiąc, schował legitymację i uśmiechnął się ze smutkiem.

Rozdział 24.

Tańczący weksel?

Komisarz Fryderyk Michał Klupś zdjął zapaszkę, po czym, mrucząc przepraszająco, porozpinał haftki sięgającej do kostek sukni. Pod spodem miał spodnie, kamizelkę i białą koszulę. Z niepokojem spojrzałem na wijącą się wokół szyi wyblakłą, grubą szramę. „Paskudny liszaj” — pomyślałem. Mężczyzna uchwycił moje spojrzenie.

— Pamiątka z przeszłości — wyjaśnił, zawiązując wyjętą z kieszeni kamizelki apaszkę. — Nie potrafię się z nią rozstać — dodał. Ciekawe, co miał na myśli: apaszkę czy własną przeszłość?

Współpasażerowie milczeli jak zakłęci, nawet Michałek spoważniał, łypiąc błękitnymi oczętami na policjanta. Klupś kiwnął głową, żebym usiadł.

— Nie, nie — odmówiłem, cofając się do drzwi. — Kolega na mnie czeka, proszę pana — wystawiłem głowę na korytarz.

Kostek stał przy otwartym oknie, kontemplując mijane krajobrazy. Już miałem do niego podejść, kiedy w korytarzu pojawił się zasapany bezdomny z dworca w Trombolinie. Zajrzał do pierwszego przedziału i załkał żałośnie:

— Jestem bezdomny, od miesiąca nie jadłem, wyszedłem ze szpitala i mnie okradli, matka umiera na serce, sześćcioro

238

dzieci mam na utrzymaniu! Wspomóżcie, państwo, co łaska!

Kostek momentalnie złapał się za kieszenie, a ja usiadłem

z powrotem, chowając twarz za zasłonką. Nie podobał mi się ten bezdomny z telefonem

komórkowym. I jakim sposobem znalazł się w pociągu? Ma samochód wyścigowy albo helikopter?

— To powiadasz pan, że sprawa wagi państwowej? — grubas w dresie nachylał się do komisarza.

— Kosmicznej, rzekłbym nawet — Klupś podrapał się po szyi.

— A można by tak nieco więcej się dowiedzieć? — indagował tamten nieustępliwie. — Bo wie pan, ja kiedyś byłem w takich służbach specjalnych... Obywatelskich, można powiedzieć, w ochotniczej rezerwie...

— Ormowiec? ¹⁷ — komisarz popatrzył na grubasa z niesmakiem. — Nie ma się czym chwalić, szanowny panie! — wyjął z wewnętrznej kieszonki paczkę Marlboro. — To przedział dla palących?

— Absolutnie nie! — krzyknęła oburzona blondynka. Komisarz Klupś wzruszył ramionami.

Gdzieś w pobliżu

rozległ się gorączkowy bełkot krążącego po wagonie brodacza. Zadrzałem. Coś mi podpowiadało, że żebractwo to tylko pretekst do śledzenia mnie. Szurnęły drzwi.

— Jestem bezdomny, od miesiąca nie jadłem, wyszedłem ze szpitala i mnie okradli, matka umiera na serce, sześćcioro

¹⁷ Ormowiec — członek ORMÓ, czyli Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej, organizacji skupiającej cywilnych współpracowników milicji z czasów PRL.

239

dzieci mam na utrzymaniu! Wspomóżcie, państwo... — 2a_ brzmiał roztrzęsiony głos.

— Papiński?! — ożywił się student. — Co ty, żebrakiem pociągowym zostałeś?

— Za... Zaskroniec? — spieszył się brodacz. — Pamiętasz mnie?

— No jasne, stary, od razu cię poznałem — student odłożył książkę. — Jak cię wywalili, odgrażałeś się, że pójdziesz do policji, a poszedłeś na żeby! A mówiłem, ucz się...

— Papiński nie odpowiedział. Gapił się na komisarza zakrywającego dłonią twarz.

— Szeffie? — mlasnął po chwili. — Szeff się, kurna, zdemaskował? A ten gówniarz, gdzie?

— Przestań kłapać — wycedził zdenerwowany Klupś, pokazując na mnie głową.

— On tu jest? — odchylił zasłonkę, za którą się tuliłem. — O, pardomsik, to ja już zjeżdżam...

— To ja zjeżdżam! — wybuchnąłem. — Tu się jakiś chory kryminal zrobił, a nie podróż. Do nie widzenia!

Chwyciłem plecak i wybiegłem na korytarz. Kostek ziewał.

— Co tak długo?

— A... za dużo tłumaczyć — mruknąłem. — Gdzie idziemy?

Były żebrak odkleił zmierzwioną sztuczną brodę, po czym siadł ciężko obok komisarza.

— Znaczy się, szefie, spartoliłem?

240

— Spartoliłeś, pewnie, że spartoliłeś — Klupś bawił się papierosem. — Ale nie na amen.

— To całe szczęście — odetchnął z ulgą Papiński. — No i czego się gapisz, Zaskroniec? — zwrócił się zaczepnie do dawnego kolegi.

Młodzieniec z kucykiem przezornie wrócił do czytania, za to grubas zaczął się krzątać.

— Zaraz Zbąszynek — wyjaśnił, przetykając ślinę. Klupś pokiwał głową, a Papiński powiedział:

— Pan w Zbąszynku pozdrowi Zdzicha.

— Jakiego Zdzicha? — spłoszył się tamten.

— Co mu się śmieje micha! — zarechotał Papiński rubasznie.

— Panowie, ja bardzo proszę — wtrąciła się blondynka. — Michaś próbuje zasnąć.

— Papiński? — odezwał się komisarz.

— Tak, szefie?

— Chodź, zapalimy i pogadamy jak ludzie — Klupś skrzywił usta. Blondynka odwróciła wzrok.

— Ale ja nie palę. Nie umiem.

— To się nauczysz.

— Niby gdzie? — stropił się młodszy mężczyzna. — Na korytarzu trochę ludzi...

— W Warszawie, przy kawie — uciął Klupś, wyjmując zapalniczkę.

Przedział, do którego przyprowadził mnie Kostek, mieścił się w wagonie obok. Powinienem od razu iść za kumplami, a nie przyglądać się żandarmom.

241

— No witaj! — ucieszył się Plomba, a Patryk pomachał mi dłonią.

We trzech z Ligurskim mieli do dyspozycji wszystkie miejsca.

— Jak to się stało, że nikt się nie dosiadł? — wrzuciłem plecak na półkę i siadłem obok Kostka i jego reklamówki z jedzeniem. Znowu poczułem głód.

— Jak to się stało? — chłopcy popatrzyli po sobie, po czym buchnęli śmiechem.

— A tak to! — Jacek podniósł leżącą na stoliku pod oknem gazetę, pokazując sztuczne wymiociny.

— W podróży trzeba być na wszystko przygotowanym, Cyna.

Głód minął jak ręką odjął.

— Po prostu, przedział marzenie! — pochwaliłem, gdy Plomba położył gazetę z powrotem. — Uradziliście coś?

Maszynista zerknął na pomocnika.

— Zaraz Zbąszynek, hamować trzeba — powiedział zmęczonym głosem. Martwił się o opóźnienie. — Ile jesteśmy w plecy?

— Jakies pięć minut — przyszczaty chłopak sprawdził czas. — Ujdzie w tłoku.

— Dla was wszystko ujdzie w tłoku — westchnął maszynista. — Jak mój dziadek prowadził pociąg, zegarki można było regulować!

— Kiedy to było, panie majster, przed wojną?

— Nieważne, kiedy — burknął maszynista. — Coś ty taki blady, hę?

242

Pomocnik podrapał się po nosie.

— A pan dziwnie nie blady! Często panu gliniarze wymachują spluwą przed oczami?

— Akcję mają...

— Znam ja ich akcje, pewnie nie zdążył wsiąść normalnie i zasuwał służbowym samochodem.

Nawet radiowóz to nie był!

— Ale na sygnale j echał. A wtedy należy się zatrzymać, bo poważna sprawa — maszynista ubolewał nad głupotą chłopaka. Teraz po szkole to coraz głupszych na staż posyłają.

Pociąg się zatrzymał, a my usadowiliśmy się pod oknami. Kostek ułożył na siedzeniach sztuczne wymiociny i ostrzegł:

— Zachowuj się poważnie, synu!

— Poważnie?

— Tak, żadnych chichów-śmichów, bo będzie wpadka. Dobra, chłopaki, zatykać nosy!

W korytarzu pojawili się poszukiwacze wolnych miejsc. Większość mijała nas szybkim krokiem, ale drobna dziewczyna z wielką torbą zatrzymała się i zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi.

— Te wymiociny są wasze?

Przybraliśmy pełne obrzydzenia miny i kręcąc głowami, wydaliśmy z siebie agonalne dźwięki.

— Skoro nie wasze... — dziewczyna odgarnęła ręką plastikową imitację, podrzuciła torbę, po czym usiadła na moim poprzednim miejscu. — Ograne numery, w liceum też się tak zabawialiśmy — dodała.

243

Miała krótkie, kruczoczarne włosy i grzywkę, a w jej uszach tkwiły miniaturowe słuchawki. Po chwili zaczęła kołysać się miarowo, przymykając oczy.

— Chyba nie ma wyjścia — Plomba nachylił się do mnie. — Ściągamy buty — szepnął, rozwiązując sznurowadło.

Zaraz potem wszyscy czterej siedzieliśmy z podniesionymi do góry stopami. Dziewczyna lekko zmarszczyła nos.

— Możecie sobie darować, na mnie to nie działa.

— Dlaczegoż to? — zapytał rozczarowany Kostek.

— Dlategoż, że mam trzech braci — uśmiechnęła się. — Trening, mój drogi, trening...

— Dobra — Plomba machnął ręką — robimy swoje.

— To znaczy? — podniosła brwi.

— Nie mówiłem do ciebie — sapnął Jacek. — ... yyy...

— Ewa — dziewczyna wyciągnęła dłoń. — Możecie mówić Ewka, nie przeszkadza mi.

Przedstawiliśmy się po kolei z niejakim ociąganiem. Nie mieliśmy nic przeciw poznananiu dziewczyn, ale ta była od nas starsza, więc czuliśmy spore onieśmienie.

Kostek wyjął z plecaka kartkę papieru z zeskanowaną kopią pożółkłego pisma i rozłożył ją starannie na kolanie.

— Starożytny autentyk, prosto z Internetu — poinformował.

— Starożytny — z Internetu? — Coś mi nie pasowało.

— Ze zbiorów muzealnych — wyjaśnił. — Autentyczny list Jędrzeja Ligurskiego do przyjaciela w Polsce. Radziecka cenzura przepuściła to, bo brzmi... wariacko. Co nie, Lo-peż?

244

Patryk potwierdził, dając znak Kostkowi, żeby przeczytał, ptak podniósł kartkę do oczu i chrząknął po swoim.

— Ja to znam prawie na pamięć, ale posłuchaj, Jasiu, może cię oświeci: „Drogi Piotrze! Jest mi naprawdę dobrze, nie karmię nachalnie i biją delikatnie, nie narzekam. Pomodlić się tylko nie pozwalają, ale tłumaczą uczciwie, że modlić się jest nienowocześnie i niezgodnie z duchem rewolucji. Popieram to i rozumiem w pełni. Dużo myślałem nad tym, o czym Ci, drogi Piotrze, wspominałem jeszcze w Wilnie. Gdybyś kiedy tańczący weksel miał na względzie, pośród siana będąc, za pomysłem Soerna podążaj, przy wodzie borowej. W altanie wypoczywaj, lecz nie długo, byś na podłogę się nie zwałił od snu ocięzały Ale jeśli to nastąpi, dłoń w magnolię wciskaj, jako i ja twą prawicę ściskam. Zegnaj mi, druhu serdeczny, bo nie zobaczymy się pewnie w możliwym czasie. Twój Jędrzej”.

— U was w rodzinie Jędrzej to bardzo popularne imię — stwierdziłem, patrząc na Patryka, zarumienionego z emocji.

— Chyba nie o to chodzi — odpowiedział. — Rozumiesz całe przesłanie?

— Ani w ząb — przyznałem uczciwie. — Tańczący weksel?

— Albo jakiś Soern? — wtrącił Plomba. — Do emerytury tego nie rozgryziemy!

— Tak wam się zdaje — Ewka wyjęła z uszu słuchawki. — Ale to akurat nic skomplikowanego.

— Co ty gadasz? — wlepiłem w nią wzrok. Pozostali również.

245

— Jestem z Gdańska — oświadczyła, jakby to cokolwiek wyjaśniało.
Komisarz Klupś patrzył w zamyśleniu na ściekającą z łyżeczki kroplę kawy
— Lura, psiakrew — ocenił. — Kożuszek coś mówił?
— Nic nowego — odrzekł Papiński, wrzucając trzecią kostkę cukru do filiżanki. — Pilnuje „kameleonów”, jak szef kazał.
— Te oprychy nie będą nam już potrzebne — Klupś zapalił papierosa. — Daj znać Kożuszkowi, on wie.
— Ma ich zwolnić z roboty?
— Taak — starszy z mężczyzn zaciągnął się dymem. — Definitywnie i na wieki.

Rozdział 25.

Wszystko przez chiromancję

Nie mieściło nam się w głowie, że dziewczyna w minutę rozgryzła tajemnicę listu Ligurskiego.

Listu, na którym Kostek z Jackiem, doświadczeni detektywi, połamali sobie zęby.

— To co, że jesteś z Gdańska? — wykrztusił wreszcie Plomba. — Ja jestem z Trombolina i jakoś nie widzę w tym wszystkim ładu i składu.

— Masz rację — Ewka poklepała go po ramieniu.

— Że nie ma w tym ładu?

— Że jesteś z Trombolina — sprecyzowała. Jacek spo-chmurniał.

Pociąg zaczął zwalniać. Za oknem przesuwały się przedmieścia dużego miasta.

— Chyba Poznań — stwierdził Kostek. — To co z tym wekslem?

Nie doczekał się odpowiedzi, ponieważ pociąg zahamował i usłyszeliśmy przygłuszony piskiem hamulców komunikat:

— ... z Zielonej Góry do Gdańska, przez Poznań, Tczew, planowy odjazd dziewięta pięćdziesiąt siedem, odjedzie z toru trzeciego przy peronie piątym! Podróżnych prosi się o zachowanie ostrożności przy wsiadaniu! Powtarzam...

W przedziale pojawił się znany mi już konduktor.

247

— Dzień dobry. Ktoś się dosiadał w Zbąszynku?

— Zdaje się, że tylko ja. — Ewka pokazała mu bilet.

— A ty, koleżko? — zwrócił się do mnie, po czym zdjął czapkę i otarł pot z czoła.

— Przecież panu mówiłem — odezwałem się. — Jestem z wycieczką.

— Aaa, poznaję — włożył czapkę, prostując się. — Tajny współpracownik. Nie wiedziałem, mówiąc szczerze, że mają tak młodych agentów. Trzeba uważać, co się do ludzi gada — mówił, sapiąc. Wyglądał na skonanego.

— Jego słowa wzbudziły żywe zainteresowanie Kostka i Plomby

— Później wam opowiem — burknąłem.

Konduktor, nie żegnając się, wyszedł z przedziału. Zaraz po nim zajrzał do nas łysawy drągał w okularach, z ledwie mieszczącym się w korytarzu plecakiem na stelażu.

— Guten Tagjdhrt der Zug nach Ktaan... cykV8 — zapytał piskliwie.

Już miałem mu odpowiedzieć, że owszem, gdy Ewka pokręciła głową.

— My nie fersztejen, my co nieco pa ruski, panimajesz pan7. I Inglisz też co nieco, ewentualnie espaniol! — krzyknęła przesadnie głośno.

— Nach Knata... asik7. — wykrztusił łysawy i otarł usta ze śliny.

— Konstancin? — zdziwiła się Ewa.

18 Guten Tagjdhrt der Zug nach Ktaan... cyk? — (niem.) Czy ten pociąg jedzie do Ktaan... cyk? (prawdopodobnie chodzi o Gdańsk).

248

— Ich sagę Danzig!19

— Na dansing jest trochę za wcześnie, nie uważa pan? — dziewczyna przybrała zdumioną minę. Niemiec odpowiedział coś z wyraźną irytacją i odszedł.

— No co? — rozłożyła ręce. — Dalej mamy przedział tylko dla siebie. Nie musicie dziękować. Gdy pociąg ruszył, poprosiła Kostka o kopię listu.

— Poprawię wam humor, jak się przyznam, że nie wszystko od razu zrozumiałam? — uśmiechnęła się, niewinnie mrugając rzęsami. — A poza tym nie jestem taka genialna, tylko na historii musieliśmy obkuć dzieje miasta. Przydało się jak znalazł.

Poczuliśmy się nieco lepiej. Dziewczyna przeczytała list, powtarzając sobie niektóre zwroty kilkakrotnie. W końcu podniosła na nas oczy.

— Soerna poznałam od razu — pokiwała głową. — Coś ze dwieście lat temu Duńczyk, niejaki Soern Bjoern, wybudował ogród botaniczny nad Jeziorem Borowym, zwanym z niemiecka Heidsee...

— Stąd ta „woda borowa”! — rozjaśnił się Ptak. Lopez popatrzył na niego i przyłożył palec do ust.

— Nie trzeba się wysilać, żeby skojarzyć „siano” ze Stogami, dzielnicą Gdańska zbudowaną na mierzei — kontynuowała Ewa z zapalem. — Miejsce, którego szukacie, leży nad Jeziorem Borowym, nazywanym obecnie Pustym Stawem. Trafiony, zatopiony, można powiedzieć.

— Jest tam jakiś bank? — zainteresowałem się, tknięty nagłą myślą.

19 Ich sagę Danzig — (niem.) Mówię Gdańsk!

249

— Nad Pustym Stawem? — dziewczyna potarła palcem brodę. — Nie ma. Zresztą, po co ci bank?

— Skoro jest „tańczący weksel”, to musi być bank! — 0(j. parłem.

— Na bank! — poparł mnie Kostek. — Jędrzej nie pisał przecież, żeby tego Piotra zmylić, tylko naprowadzić na... sami wiecie, na co. Nie wiedział zresztą, że ten już od dwóch miesięcy nie żyje. Tak wyczytałem — dodał, widząc malujące się na naszych twarzach niedowierzanie.

Zapadła cisza. Spróbowałem się skupić. Weksel, bank... Co to właściwie jest weksel? Coś z długami, o ile dobrze kojarzę. Papier wartościowy, czy jakoś tak. Ale co ma piernik do wiatraka?

— Wiem — ożywiła się Ewa. — Właściwie wiedziałam od razu, ale to przekonało mnie na sto procent!

— Niby co wiesz? — Kostek odłożył notes, w którym bazgrał od kilku minut.

— Tańczący weksel to Gdańska Wisła!

— Eee?

— Ten Niemiec mnie naprowadził — wyjaśniła. — Dan-ziger Wiechsel, czyli Gdańska Wisła. Tak ją opisywano na mapach historycznych. Dosyć luźne skojarzenie, ale potwierdza moją teorię. Musicie znaleźć Pusty Staw na Stogach i...

— I co? — poczułem spory respekt dla jej intelektu.

— No i... — zawahała się — w jakiejś altanie dłoń w magnolię wcisnąć... — dokończyła niepewnie.

Nasz entuzjazm przygasł.

250

— Taa... Zobaczysz się na miejscu — skwitował Plomba. — Z tego, co wiem, jutro rano mamy zwiedzać gdańską starówkę, więc urwiemy się Tyczce, załadujemy w jakiś autobus i...

— Jutro rano mam się spotkać z ojcem w Nowym Por-cje __ wtrąciłem. — Chciałem pogadać z Tyczką, żeby mnie puściła. Lepiej załatwmy wszystko jeszcze dzisiaj.

— To właśnie ująłem w moim megaplanie. — Kostek podniósł palec, niczym mędrzec z pomnika.

— Rozłożymy się w pokoju, pokręcimy dla niepoznaki i dyskretnie damy nogę. Nikt się nie pokapuje.

— A poza tym — odezwał się milczący dotąd Lopez — jutro będzie za późno.

— Na co? — zdziwił się Plomba.

— Na pewne nieodwracalne sprawy.

— Bredzisz — ocenił Kostek. — Ale to nie ma znaczenia, bo i tak działamy dzisiaj. Swoją drogą, Ewa, spadłaś nam z nieba — zwrócił się do dziewczyny.

— Przypadek — parsknęła śmiechem. — Jak chcecie, powrózę wam z ręki, znam się trochę na astrologii i chiromancji.

Słowo chiromancja zabrzmiało bardzo tajemniczo. Przyjrzałem się Ewie dokładniej. Była piękna.

— Mogę być pierwszy? — zapytałem, podsuwając dłoń. Dopiero teraz zwróciłem uwagę, że mam brudne, byle jak poobcinane paznokcie. Mama o tym wspominała, ale wówczas wydawały mi się w

porządku. — Albo nie — zarumieniłem się wstydliwie.

251

— Podaj lewą, tę bliżej serca — pacnęła mnie po dłoni. Zmieniłem rękę. Ewa chwyciła mój nadgarstek i rozprostowała palce. Chłopcy łypali na mnie zazdrośnie.

— Jesteś za bardzo spięty — mruknęła. Spróbowałem się wyluzować.

— Złóż dłoń w miseczkę, tak żebym dokładnie widziała linie i wzgórki.

Posłusznie spełniłem jej życzenie. Powiodła palcem po wnętrzu dłoni.

— Linia głowy jest niebezpiecznie blisko linii serca. Musisz być bardzo emocjonalny, co?

— Ja, emocjonalny? — spytałem zaskoczony — A co to znaczy?

— To znaczy, że ci myślenie nie nadąza za nerwami, synu — wyjaśnił Kostek.

— Coś w tym sensie — potwierdziła Ewa. — Tyle że ja bym to ujęła delikatniej — przejechała od podstawy palca środkowego ku dołowi dłoni. — Do tego twoja linia przeznaczenia jest dziwnie zawikłana. Hmm... — podniosła brwi.

Poczułem dreszcz emocji. Tymczasem Ewa musnęła mnie w okolicy kciuka.

— Natomiast linia życia... — wstrzymała oddech. — Masz bardzo ciekawą linię natchnienia i wyeksponowaną płaszczyznę Marsa. To świadczy o dużej sile woli, ale i skłonnościach do gniewu — dokończyła szybko. Za szybko.

— Co z tą linią życia? — zaniepokoiłem się. Czyjaś ręka szarpnęła drzwi.

— A, tu jesteście — do przedziału zajrzała Ania. Jej wzrok

252

omiótł moją dłoń, trzymaną przez Ewę. Oczy Ani zwężyły się w szparki.

Wyrwałem dłoń z uścisku.

— Wróżymy sobie — zachichotałem nerwowo. — Chcesz się przyłączyć?

— Obejdzie się — odpowiedziała sucho. — Widzę, że masz nową dziewczynę? Gratuluję wyboru. Przerzuciłeś się na brunetki, Cyna?

— Na nic się nie przerzucałem — zaprzeczyłem gwałtownie. — Ona mi tylko wróży z ręki!

— To niech wróży dalej — Ania nie patrzyła na mnie. — Chciałam powiedzieć, że sprawdzam dla pani Palikowej, gdzie kto siedzi. A poza tym Piotrek Zuzalek szuka waszego kolegi, Racyniaka — poinformowała chłopaków.

— Zuzal mnie szuka? To świetnie, powiedz mu...

— Na razie — rzuciła Ania, wychodząc na korytarz.

— Anka! — zawołałem, ale zignorowała mnie zupełnie. Oklapłem, zrezygnowany.

— Ktoś ma kłopoty — skomentował Kostek. — Dobrze, że ja się jeszcze nie zakochałem, Jasiu.

Znajdę sobie kiedyś jakąś mało czepliwą i wyrozumiałą dziewczynę z młodszej klasy Babcia mi powiedziała, że tego kwiatu to pół świata, a ja babci wierzę.

— Ja też się nie zakochałem — przełknąłem ślinę. — Też mi coś!

Ewka siedziała, milcząc. Na ustach miała pobłażliwy uśmiezek. Odsunąłem się w kąt i zamknąłem oczy. Wszystko przez tę nieszczęsną chiromancję.

253

Zupełnie niespodziewanie ogarnęła mnie ciemność.

... Owadzie oczy spoglądały na mnie beznamiętnie.

— Utu? — wykrztusiłem.

— Dobrze — zaskrzeczał. — Szukaj, to twoja misja.

— Ale czego?

— Wiesz.

W oparach mgły majaczyły zarysy brudnoszarych, lśniących wilgocią kamienic. Wiatr kołysał drewnianą tablicą na łańcuchach. „A śmierć popatrz z wysoka” — informował napis.

Mogę się założyć, że wcześniej widniało na niej coś innego. Nie pamiętam, co. Dlaczego we własnym śnie umieściłem cytat z wiersza Skunksa?

— Wiesz — powtórzył Utu. Jego wąskie wargi nawet nie drgnęły, chyba posługiwał się telepatią.

— Nie wiem — wykrztusiłem. Leżałem w jakimś rynsztoku, wokół mnie wałyły się resztki jedzenia. Wyraźnie czułem zapach gnijącego ogryzka od jabłka.

— Jego energia się decyduje — powiedziała Inana. Nie zauważyłem, kiedy przybyła.

— Energia? Nie rozumiem — spróbowałem się podnieść, lecz moje dłonie przytrzymywane były przez dwa wielkie szczury, wodzące ogonami po liniach życia i przeznaczenia. Wiedziałem, że gdy tylko zacznę się szarpać, odgryzą mi palce.

Usłyszałem powolne kroki. Ktoś szedł brukowaną ulicą prosto na nas.

— Jego energia się decyduje — powtórzyła cierpliwie Inana. Zdjęła orlą maskę. Jej trójkątna twarz była nieco jaśniejsza

254

niż twarz Utu. — Jeżeli wieniec popłynie, energia popłynie za wieniec. To będzie koniec.

Wówczas się decyduje.

— Dalej nie łapię. — Kroki ucichły, więc wysiliłem wzrok, by sprawdzić, kto się pojawił.

— Nie pozwól go pogrzebać — powiedziała stojąca za In-ana dziewczyna.

— Ania? — ucieszyłem się. — Dobrze, że przyszłaś. Muszę ci powiedzieć, że bardzo za tobą...

— Nie pozwól go pogrzebać.

— Okej, nie pozwolę, ale...

— Jesteś podły — powiedziała smutno. Zaczął padać deszcz...

Otworzyłem oczy Nade mną stał Kostek, opryskując mi twarz wodą mineralną. Leżałem na siedzeniu, pod głową mając reklamówkę z prowiantem Plomby. Zaniepokojona Ewa gładziła mi włosy. Tylko Lopez spokojnie spojrział znad gazety i mrugnął porozumiewawczo.

— Kurczę, nie mogliśmy cię dobudzić przez trzy godziny — ucieszył się Ptak. — Jacek przed chwilą poszedł zgłosić Ciopkowi, że źle z tobą. Odleciałeś w kosmos, czy co?

— Skoro tu byłem, to jak mogłem odlecieć? — odpowiedziałem pytaniem. — A poza tym na drugi raz podłóżcie mi jakiś ciuch, a nie torbę z jedzeniem. Strasznie ją czuć kielbasą i szczypiorkiem.

Rozdział 26.

Fachowiec od pierwszej pomocy

Nim zdążyłem na dobre ochłonać, przyszedł podekscytowany Plomba.

— O, żyjesz? — wyraził zdumienie.

— Zawiodłem cię?

— Nie — bąknął stropiony — ale niepotrzebnie narobiłem rabanu.

— No to sorry, Jacuś, nie wiedziałem — poczułem się dotknięty jego komentarzem.

W chwilę później do przedziału wpadł pan Ciopek z turystyczną apteczką na ramieniu.

— Gdzie zwłoki? — sapnął i przetrął oczy. — Racyniak, podobno miałeś nie żyć?

— Wypraszam sobie takie insynuacje — zacisnąłem usta.

— Eee... — Nauczyciel poczerwieniał, a potem powiedział — Czyli czujesz się dobrze?

— Znakomicie, w życiu się tak świetnie nie czułem!

— Bo wiesz... — wcisnął się obok mnie, nie zważając na bliskość Ewy Dziewczyna bez słowa ustąpiła mu miejsca. — Bo wiesz, różnie to bywa. Czasami człowiek czuje się dobrze, a to oznaka, że czuje się źle. Mam nadzieję, że się rozumiemy?

256

— W ogóle się nie rozumiemy, proszę pana — odpowiedziałem. — Według mnie mówi pan od rzeczy

— Ach tak? — sięgnął do apteczki. — W takim razie... udzielę ci pierwszej pomocy — oświadczył, wyciągając rolkę bandażu.

— Nic mi nie jest, przecież pan widzi — zaprotestowałem na wszelki wypadek.

— Ofiary wypadków zawsze tak mówią — Ciapek odwinął kawałek bandażu, uśmiechając się chytrze. — Profilaktycznie zabandażuję ci głowę.

— Nie trzeba, ja tylko spałem — w moim głosie czaiła się histeria.

Nauczyciel posmutniał.

— Mhmm... spałeś... — rozejrzał się po przedziale. Moi koledzy natychmiast przestali się na nas gapić, udając, że nie są w ogóle zainteresowani tym, co się dzieje. — A co ci się śniło?

— Kosmici — powiedziałem ku własnemu zaskoczeniu. W oczach belfra błysnęła triumfująca pewność.

— Kosmici, powiadasz — rozwinął więcej bandaża. — Coś mówili?

— Zartowałem z tymi kosmitami — chciałem się wyplątać z tego, co powiedziałem, ale było za późno.

— Widzisz, bratku, muszę obandażować ci głowę, ponieważ stwierdzam uraz czaszki na skutek uderzenia! — przyłożył mi bandaż do czoła.

Odskokczyłem. Przesunął się za mną.

— Daj głowę!

257

— Nie dam! — zanurkowałem pod stół z gazetą.

— Nie masz wyjścia — pan Ciopek kucnął przy mnie z bandażem. Dysząc, usiłował obwiązać mi głowę. — p0 pierwsze, na deklaracji od rodziców jest wyraźnie napisane że wszelkie decyzje dotyczące twojego zdrowia podejmują opiekunowie, czyli ja — podkreślił, łapiąc mnie za rękę.

— A po drugie? — szarpnąłem się. Z kosza pod oknem cuchnęło resztkami.

— Po drugie — nie dawał za wygraną nauczyciel — nie rozumiem twojej niechęci do współpracy. Nie masz się czego bać, ponieważ jestem, nie przymierzając, fachowcem od pierwszej pomocy. Niedawno w szkole mieliśmy kurs i zdobyłem odpowiedni certyfikat. Europejski certyfikat, chłopcze — chciał wypiąć pierś, lecz w tej niewygodnej pozycji grzmotnął głową o stół. Gazeta zsunęła się na podłogę.

— Co to takiego? — zainteresował się nasz opiekun, wskazując palcem na sztuczne wymiociny — Chyba nie stosowaliście niedozwolonych chwytów antyspołecznych?

— To jego! — oskarżycielsko zagrzemiał Jacek. — To Janka Racynika, bo jak się walnął, zrobiło mu się niedobrze. Trzy razy haftował i...

— Jak to możliwe? — pan Ciopek chwycił plastik, oglądając zdobycz pod światło — Są zbyt sztywne i jakies takie...

— Bo już wyschły, proszę pana — wykrztusił Kostek. Miałem ochotę mu przyłożyć, ale zrozumiałem, dokąd zmierza ta rozmowa.

— Wyschły i tak zeszytniały, że hej! — potwierdził Lo-peż.

258

— Czyli jednak miałem rację. — Ciapek ze wstrętem odrzucił wymiociny — Mdłości to typowy objaw urazu głowy. Pozwól się obandażować, a ja odnotuję w dzienniku wycieczki, że uratowałem ci życie. No i nie wezwiemy pogotowia, dobrze?

— No dobrze — zgodziłem się, widząc błagalne miny chłopaków.

— Pan Ciopek, szczerząc zęby w uśmiechu, skropił mi włosy spirytusem salicylowym, owinał głowę bandażem, którego koniec przykleił plastrem. Wyglądałem teraz na prawdziwą ofiarę wypadku.

— Za godzinę możesz zdjąć — poinformował. — Jak ci przejdą objawy wstrząsu mózgu. A koleżanka — zwrócił się do Ewy — co tak milczy?

— Bo ja nie z tej wycieczki — odpowiedziała przytomnie. — Aha, no to idę — oznajmił, czekając na naszą reakcję.

Nie doczekał się i odszedł zawiedziony brakiem uznania za sprawnie przeprowadzoną akcję ratunkową. Natychmiast zdjąłem bandaż.

259

Dojeżdżaliśmy do Tczewa, kiedy ktoś nieśmiało zapukał do drzwi przedziału. Z początku myślałem, że pan Ciopek wrócił, by sprawdzić, czy jestem owinięty jak należy. Chwyciłem bandaż, ale Kostek odsunął zasłonkę i roześmiał się:

— Jasiu, jakiś wystraszony Zuzal tu stoi. Wpuścić?

— A jak nie wpuścisz, to sobie pójdzie?

— Wątpię — ocenił Ptak.

— No to wpuść — wsunąłem bandaż pod leżącą na siedzeniu bluzę Plomby

Zuzalek wszedł niemrawo, zasunął drzwi i drżący na całym ciele, oparł się o nie.

— Cześć, chłopaki — przywitał się.

— Ślepy jakiś? — zapytała Ewka.

— Przepraszam — Zuzalek ugiął się na nogach. — Cześć!
— Cześć — pokręciła głową Ewka, włączając muzykę. Zamknęła oczy.
— Ja do ciebie, Cyna — odetchnął głęboka Był chorobliwie blady, zupełnie jak konduktor. Może w pociągu krąży wirus grypy albo innej zarazy?
Na wszelki wypadek nie poprosiłem, żeby usiadł. Stał więc i bujał się na chudych nogach.
— No? — zachęciłem go do rozmowy
— No bo ... — wygiął długie paluchy — Bo mówiłeś, że jeszcze pogadamy w pociągu, no i jesteśmy w pociągu, a nie gadamy... Nie gadamy... — przełknął ślinę.
Zrobiło mi się żal chłopaka. Chyba za ostro potraktowałem go w parku i teraz przeżywa okropne męki.

260

— Nie gadamy, Zuzal, bo siedzimy w różnych przedziałach, jeżeli nie zauważyłeś. A sprawa rozbija się o twoje podejrzanе zachowanie. Nie wyjaśniłeś na przykład, skąd miałeś nóż Ogórasa.
— Ten bagnet? — Plomba przerwał żucie bułki. — No, no! Zuzal, nie poznaję cię. Zostałeś bandziorem?
Zuzal skurczył się, jakby rozboleł go żołądek. Nadal jednak nie miałem ochoty sadzać go obok siebie.

— To co nam powiesz ciekawego? — zachęcił go Kostek.

— O bagnecie?

— Uhm — zaczynałem tracić do niego cierpliwość. Nieszczęśnik nabrał powietrza, a potem wyrzucił z siebie potok słów.

— Cyna, ja naprawdę nie zamierzałem... nie chciałem cię śledzić... musiałem, kurczę, musiałem... Szczęsny chce cię wykończyć, mówiłem ci już, a ja nie będę w jego bandzie, mam to gdzieś! — Przerwał, ciężko dysząc.

— Kicham na Skunksa, możesz mu to przekazać — wykrzywiłem się pogardliwie.

— Nie o to chodzi — siadł, nie pytając o pozwolenie. — Ja chcę dla ciebie dobrze. Chcę, żebyś się ze mną zaprzyjaźnił. Wypisywałem różne rzeczy, żeby padło na Hulewicza, pamiętasz? Tornado wymiata i takie tam. On powiedział, że jak się nie przyłączę, skończę jak ty. No to preparowałem różności, żeby go wyrzucili ze szkoły.

— To TY?! — wstałem uniesiony zdumieniem. — Moją czwórkę z WOS-u też wydrapałeś z dziennika?

Pokiwał głową.

261

— Padalcu! — chwyciłem go za sweter na piersiach. -J Nie zasługujesz na litość i zapomnij o przyjaźni. Wolałbym usiąść gołym tyłkiem na rozpalonych kamieniach, niż z tobą w jednej ławce!

— potrząsnąłem delikwentem jak workiem, ziemniaków

— Puść go, oszalałeś?! — oburzyła się Ewa. Chyba nadszarpnąłem swój wizerunek miłego gościa.

— Właśnie, daj spokój — włączył się Kostek. — Działał w dobrej wierze. Mam nadzieję...

Pozwoliłem Zuzalowi opaść na siedzenie.

— Skąd wzięłeś ten bagnet? — zapytałem, z trudem łapiąc oddech.

— Podejrzałem... — jęknął — pomyślałem sobie, że Szczęsny wynajął Jurka Mętlika, żeby miał na ciebie oko. Widziałem, jak go załatwiliście na trawniku. Bagnet leżał w krzakach, zabrałem jako dowód, że... no wiesz. Przepraszam, Cyna.

Przecucie mnie nie myliło. Otaczali mnie pomyleńcy.

— Niech ci będzie — machnąłem ręką. — Idę do kibelka, muszę to przemyśleć w spokoju — powiedziałem, wychodząc pospiesznie.

W końcu korytarza, przy otwartym oknie stał Skunks, pałac papierosa. Na mój widok pstryknął niedopałkiem za okno i schował się w przedziale. Jak go ktoś na tym paleniu nakryje, pomyśli, że doniosłem belfrom. Gorzej trafić nie mogłem.

Wszedłem do ubikacji, zatrzasnąłem drzwi, przekręcając

262

uchwyt zamka. Zachrząściło. Zaraz potem usłyszałem szelest i cichy chichot. Zadrzałem z niepokoju.

Nacisnąłem uchwyt, lecz ten obrócił się niemrawo wokół własnej osi. Drzwi były zablokowane. Pomyślałem, że wyważę je kopniakiem, gdy dotarło do ninie, że otwierają się do środka. Co gorsza, nie było klamki, za którą mógłbym chwycić. A niech to...

— Mam nadzieję, że nie wyjdiesz stąd do Bożego Narodzenia! — zawołał ktoś zza drzwi. Poznałem ten głos.

— Skunks, nie wygłupiaj się! — krzyknąłem, waląc pięścią w gładką płytę.

— Wesołych świąt, Cyna! — zabrzmiała odpowiedź.

— Mówiłem ci, obserwacja drużyny przeciwnej to podstawa. No i trochę farta — Szczęsny uśmiechnął się do stojącego obok Ślipka, po czym powiesił z powrotem kartonową tabliczkę: „UWAGA! ZAMEK ZEPSUTY! Prosimy korzystać z innego WC”.

Na ulicy Rejtana, pod domem Karola Łobodaka, od strony podwórza stała pomarańczowa furgonetka z reklamą „Napoje SEBA drogą do nieba”. W sypialni właścicieli trwała gorączkowa krzątanina.

— Ładuj do tego, Kalafior. — Duda podał rozmówcy elegancką skórzaną torbę.

— Chyba z krokodyla, co nie? Albo z „kalibatora” — Kalafior z uznaniem pogładził skórę. — Powodziło się Bolkowi, oj powodziło!

Duda skrzywił się nieznacznie.

263

— Aligatora, tłumoku. I masz mówić: pan Bolek, ile razy mam ci powtarzać? — wrzucił do torby zawartość szkatułki na biżuterię.

— Przecież siedzi w pierdłu i tak prędko nie wyjdzie — bronił się przyszczaty, macając półki w szafie. — Trzeba będzie wszystko sprawdzić, może mieli jakiś schowek na kasę?

— Może — mruknął chudzielec. — Te peruki nie będą nam potrzebne.

— A brody?

— Wywal całe badziewie, pakuj tylko to, co się da opylić. Na dole w pawlaczu są walizki.

— Powaga? — Kalafior poczuł ssanie w żołądku. — Przetrąciłbym coś, Duda. Właściwie dlaczego my się tak spieszymy?

Chudy wyjął zza paska TT 7,62 i położył na stoliku.

— Uciska mnie, cholera jedna — oznajmił. — Spieszymy się, bo coś mi się widzi, że nas tu nie chcą. A jak nie chcą, to prędzej czy później... Załadowałeś? Bierz torbę do samochodu, ja chwycę DVD.

Obladowani zeszli na dół. Kalafior postawił torbę na podłodze i otworzył drzwi. W promieniach słońca błyszczała lufa policyjnego pistoletu.

— No co ty Kozuszek! — roześmiał się Kalafior. Zaraz potem spoważniał, bo lufa dźgnęła go w nos.

Rozdział 27.

Toaletowa przynęta

Kopnąłem w drzwi. Nic z tego, zamknięte na amen.

— Halo! — jęknąłem z nadzieją, że ktoś usłyszy i zainteresuje się ofiarą głupiego żartu. — Halo, jest tam ktoś?!

Jak na złość nie było żywej duszy. Pozostało poczekać, aż pociąg dojedzie do Tczewa i ludzie zaczną wsiadać wejściem obok.

Usiadłem na sedesie, by pomedytować. Podobna okazja długo się pewnie nie trafi. Skupiłem się, próbując wyizolować mózg ze wszelkich bodźców. Oprócz uwolnienia się od jednostajnego stukotu kół, prawie mi się udało. Ostry zapach dymu tytoniowego wdarł się w moją medytację niczym kibic na murawę stadionu. W szybkim tempie i ku ogólnemu zaskoczeniu.

— ... to jest warte? — zapytał męski głos, na przemian pokaszując i chrząkając.

— Fortunę — odrzekł drugi z mężczyzn. — Niewyobrażalnie dużo.

— Ale szefie... — kaszlnął pierwszy głos.

— No?

— Dzielimy na trzech, prawda?

— Jasne.

265

— A co z gówniażerką?

— Doprowadzą nas i dalej... to chyba jasne? — głosy zaczęły się oddalać. — Ty się w ogóle nie zaciągasz, Papiń-ski...

Odczekałem dłuższą chwilę.

— Hej, ludzie! — krzyknąłem, łomocząc w drzwi. Żadnego odzewu.

Kalafior z niedowierzaniem zezował na swój mięsisty nos, gnieciony lufą CZ 110, kaliber 9 milimetrów. Duda postawił odtwarzacz DVD przy stopach i podniósł ręce.

— Wyżej — warknął Kożuszek. — I żadnych kombinacji, chłopaki.

Ręce opryszków uniosły się wyżej.

— A teraz cofnijcie się grzecznie do środka — posterunkowy uwolnił nos Kalafiora, po czym popędził ich pistoletem.

Zrobili kilka kroków w tył.

— Możesz wyjaśnić, co się dzieje? — Duda rozejrzał się błyskawicznie. — Chyba nie chcecie nas wyrolować?

Zrobiliśmy wszystko jak należy, a ty do nas z gnatem? — poskarżył się Kalafior.

— Zamknij się — Kożuszek piętą zamknął drzwi. — Kładźcie się na podłodze!

— Ale...

— Biegiem!

Posłusznie legli obok siebie. Kalafior przy szafce na buty, Duda pod stojakiem na parasole.

266

— Łaziliśmy za nim bez przerwy — stęknął chudzielec.

— Jak te głupie przebierance — dodał Kalafior i kichnął potężnie. Pod szafką od dawna nie wycierano kurzu. — Mam alergię — chlipnął. — Powinienem zażyć Zyrtec.

— Nie będzie ci już potrzebny — Kożuszek szturchnął go stopą. — Mam cudowny lek na twoje dolegliwości. Zrobiony na bazie ołowiu. Ręce do tyłu! — odpiął kajdanki.

— Robiliśmy za górali — narzekał Kalafior. — I za kobitkę w ciąży...

— Powiedziałem, ręce do tyłu! — Kożuszek klęknął za pryszczatym, biadolącym osobnikiem.

— Ja to nawet za lekarza — odezwał się Duda, naprężając ciało. — Raula.

— Zamknąć się — posterunkowy zatrzasnął bransoletę na lewym nadgarstku Kalafiora. Nie był zadowolony z takiego rozwiązania, ale nie do niego należały decyzje. Do końca życia nie będzie przecież zasuwiał na policyjnej pensyjce.

— Nie zgadniesz, Kożuszek, skąd wzięłem taki fartuch — ciągnął niewzruszenie Duda. Pod palcami poczuł chłód metalowej obręczy.

— No skąd? — zainteresował się policjant, skuwając drugą rękę Kalafiora. Dobrze, że wzięł drugą parę kajdanek, inaczej musiałby wiązać Dudę sznurem jak prosiaka. Jeśli nie będą wierzgać, załatwi sprawę w miarę czysto. Z odległości dwóch metrów przecież nie spudłuje.

— Kupiłem w lumpeksie, uczciwie — roześmiał się chudy

— Żartujesz? — Kożuszek spojrzał na niego zaskoczony - Nie — Duda zacisnął dłoń.

267

Kożuszek uświadomił sobie, co mu grozi, o ułamek sekundy za późno. Wąski stojak na parasole ze świstem przeciął powietrze.

Postój w Tczewie trwał krótko. Pociąg ruszył, a ja przypomniałem sobie, że jestem naznaczony klątwą Smutnego Antosia. Zanosilo się więc na dłuższe siedzenie w pociągowym kiblu. Nie powiem, by jakoś szczególnie mi się tutaj podobało. Jediną pozytywną stroną takiego położenia była samotność, której szukałem przecież od jakiegoś czasu. No i się doszukałem.

Wreszcie, po mniej więcej półgodzinie, usłyszałem drobne krocзки i ktoś szarpnął za kłamkę. Nadzieja wróciła.

— Ojejku — dziecięcy głosik wyrażał głęboki niepokój. — Zamknięte? Maaamo, tutaj jest zamknięte!

Michałek... Zacisnąłem usta i wstrzymałem oddech.

— Maaamo, zsikam się w majty! — wydarł się chłopczyk.

Dlaczego przyniosło go do mojego wagonu? Każda inna ludzka istota udzieliłaby pomocy klozetowemu więźniowi, ale nie Michałek. Nawet mocno cierpiący stanowił poważne niebezpieczeństwo.

— Maaamooo! — darł się i walił pięścią w drzwi. Niewykluczone, że matka planowała się go pozbyć i czekała, aż pęknie. W każdym razie nie reagowała na wrzaski.

Po namyśle doszedłem do wniosku, że Michałek prędzej nasika pod drzwi, niż sobie pójdzie. Należało więc w sprytny sposób wykorzystać jego energię do uwolnienia

268

się z potrzasku. Mój wzrok spoczął na rolce papieru toaletowego.

Silnik pomarańczowej furgonetki pracował głośno, ale równomiernie. Kalafior zasznurował plandekę, jeszcze raz obejrzał otarte nadgarstki i wsiał do szoferki.

— Już myślałem, kurna, że nas pozabija, bandziory jeden — sapnął, chowając policyjną czetkę do kieszeni skórzanej kurtki.

— Bandziory to my jesteśmy, he, he — parsknął Duda. Wrzucił jedynekę, ostrożnie zwalniając sprzęgło. Furgonetka bywała narowista. — On jest tylko skorumpowanym śmieciem — dodał, wyjeżdżając na ulicę.

— Gdzie jedziemy? — Kalafior studiował w lusterku swoje przyszczate czoło. Samochód gwałtownie przyhamował. — Co jest?! — przeraził się, bo o mało nie włożył sobie palca w oko.

— Psia krew! — zaklął chudy. — Ten kundel wyskoczył mi pod koła, Dyzio, czy jak mu tam! — zerknął do tyłu, ale kiedy zobaczył, że psu nic się nie stało, dodał gazu. Stojący obok furtki mały chłopiec pogroził mu pięścią.

— Powinien chyba być w przedszkolu? — burknął Duda, zmieniając bieg na wyższy Wjeżdżali na skrzyżowanie.

— Kto, pies?

— Bachor, tumanie! O co pytałeś? — Chudy skręcił w stronę obwodnicy.

— No, o psa...

— Przedtem. — Duda zaczął grzebać w schowku. — Masz fajki?

269

Kalafior usłużnie podał mu paczkę z wyciągniętym papierosem. Zapalili.

— Przedtem to ja pytałem, gdzie jedziemy — przyszczaty zaciągnął się i zmrużył oczy.

Jego kompan bez słowa wskazał zieloną tablicę Warszawa 495.

— Do Warszawy?

— Na Warszawę, koziołku — Duda pokręcił głową. — A potem do Mińska.

— Mazowieckiego?

— Nie — chudy wydmuchał dym. — Białoruskiego Mińska. Tam jest dopiero przyszłość. Nie to, kurna, co tu...

Wysunąłem kawałek papieru toaletowego przez szparę nad wygiętą górną listwą. Ktoś już nieźle tymi drzwiami szarpał.

— Uuuu! — zawylem cichutko. Łomotanie ustało. Michałek się zainteresował.

— O, a co to? — szepnął podniecony.

— Uuuu... łaaaach! — jęknąłem i poruszyłem papierem, żeby go zauważył. — Miaaaaauuuu — wciągnąłem papier do środka.

Bezsilne kłapanie dłoni w drzwi świadczyło, że chłopczyk połknął przynętę.

— Kto ty jesteś? — zapytał, skrobiąc palcem w laminowaną płytę. Założę się, że stał tam z przytulonym do drzwi policzkiem.

— Jestem Duchem-Sikuchem — zapiszczalem cienko. — Kto mnie złapie, nigdy nie zleje się w gacie.

270

— Super — ucieszył się malec. — To ja chcę! Ponownie wysunąłem papier i szarpnąłem z powrotem.

Kłapnięcie dłoni było silniejsze.

— Muuuusisz wziąć rooozbieg! — powiedziałem. Żaden duch nie powstydziliby się mojego wycia. Kilka tupnięć i solidne łupnięcie. Drzwi drgnęły.

— Chyba troszkę popuściłem — pożalił się Michałek.

— Bądź dzielny — pisałem.

Chyba miał za małą masę, by mi pomóc — pomyślałem rozczarowany.

Usłyszałem chrząknięcie, a potem rubaszny rechot. Nareszcie mnie znaleźli.

— Odsuń się, Cyna — zakomenderował głos Plomby — A ty, mały, zmiataj do mamusi, niech ci zmieni spodnie.

Potężny kopniak otworzył drzwi. Poczułem ostry podmuch przed twarzą. Gdyby nie refleks, miałbym piękny, bezzębny uśmiech.

Przed ubikacją stali Jacek z Kostkiem, obaj setnie ubawieni. Na drzwiach kołysał się kartonik, ostrzegający przed zepsutym zamkiem.

— Stęskniliśmy się, synu — westchnął Ptak. — Dobrze cię widzieć.

— Ja za wami też — odpowiedziałem, rozglądając się za Michałkiem. Na szczęście sobie poszedł.

Wróciliśmy do przedziału.

— Co tak długo? — zainteresował się Ligurski.

— Miałem rozwolnienie. — Popatrzyłem na puste miejsce pod oknem. — Gdzie Ewka?

271

— Wysiadła w Tczewie — uśmiechnął się Kostek. —]y[a babcię pod Tczewem, chciała ją odwiedzić.

— Tak? — poczułem rozczarowanie. Usiadłem i zamknąłem oczy

— Zostawiła ci liścik — szturchnął mnie Plomba. Popatrzyłem z niedowierzaniem na zaklejoną kopertę bez

znaczka, na której widniało jedno słowo: Janek. Otworzyłem list. W środku znajdowała się pojedyncza, wyrwana z notesu kartka w kratkę. A na niej kilka starannie napisanych zdań. „Hej! Nie powiedziałam Ci tego, bo sama nie wiem, co myśleć... Uważaj na siebie, Twoja linia życia jest niewyraźna. Według mnie, grozi Ci jakieś niebezpieczeństwo, ale chiromancja jest nieprecyzyjna. Fajny z Ciebie chłopak, chociaż strasznie zakochany Może się jeszcze kiedyś spotkamy? Trzymaj się zdrowo, nara! Ewa". Złożyłem list i wrzuciłem go do plecaka.

— No i co? — dopytywały się chłopaki.

— Wyznała ci miłość aż po grób? — wykrzywił się Kostek.

— Głównie to drugie — burknąłem. — To co robimy? Do Gdańska prawie czterdzieści minut.

Plomba odsunął gazetę. Zamiast wymiocin leżała tam talia kart.

— My gramy w pokerka na punkty — mrugnął do mnie. — Przyłączysz się?

— A jak wejdzie Ciopek? — zaniepokoiłem się. — Albo Tyczka? Nie wolno nam grać w takie gry, słyszeliście przecież.

272

— A jak wejdzie Ciopek — zawołał wesoło Plomba, tasując karty. — To mu się powie... — zaczął rozdawać — ... że ramy w wojnę albo w Piotrusia.

Zerknął do swoich kart i poślinił palec.

— To ile komu, bo idę do domu! Gra się rozpoczęła.

Rozdział 28.

Racyniak, coś ty narobił?!

Dworzec Główny w Gdańsku przywitał nas ściskiem, gwarem i chłodnym powiewem. Nad morzem musiało być ze sześć stopni zimniej niż w Trombolinie. W końcu to północny kraniec Polski.

Rozejrzałem się za komisarzem i jego pomocnikiem. W ludzkim gąszczu wypatrzenie ich graniczyło z cudem, choć przez moment wydawało mi się, że widzę szpakowatą głowę Klupsia.

Jednak równie dobrze mógł to być każdy inny facet.

Pani Palikowa, wspomagana męskim autorytetem Ciapka, usiłowała zebrać nas w składną grupę, co z góry skazane było na porażkę.

— No co wy wyprawiacie? — denerwowała się moja wychowawczyni. — Zachowujecie się

skandalicznie! Wracać natychmiast — zawołała w stronę przechadzających się wolnym krokiem wzdłuż peronu Hulewicza i Ślipka.

Ślipseki niosł wielki radioodtworacz, dudniący basami hip-hopowej piosenki. Mijane dziewczęta oglądały się za nimi, a oni szczerzyli zęby w uśmiechu, rzucając niewybredne komentarze.

Matematyk, widząc bezskuteczność nawoływań Tyczki, minął ich biegiem, po czym stanął przed nimi, podnosząc dłoń w policyjnym geście „stop”.

274

— My tylko podrywamy gdańszczanki — wyjaśnił Skunks na widok marsowej miny nauczyciela.

— Jazda do grupy! — zakomenderował Ciapek.

— Ale...

— Ale już! — nauczyciel podniósł głos.

Powłócząc nogami, ruszyli w naszym kierunku, wykrzywiając się i wołając:

— Zegnajcie, laski!

— Już tu nie wrócimy!

— Napiszcie do nas!

— Albo do-nos!

Byli żałośni, powinno się takich zostawiać w szkole, a nie wozić po świecie. Czulem narastającą falę wstydu. Całe szczęście, że nikt nas tu nie znał.

Skunks stanął obok mnie.

— Widzę, że masz farta, co?

— Odwal się — odwróciłem głowę.

— Jak chcesz, gamoni, jak chcesz — syknął. — Zapodaj, Byku, jakiś fajny kawałek — zwrócił się do Ślipka.

Serdelkowane palce zapaśnika podskoczyły na klawiszach i z głośników popłynęła smętna pieśń na temat problemów ekonomiczno-emocjonalnych młodzieży z marginesu. Przy drugiej frazie, rozpoczętej soczystym przekleństwem, Tyczka oddała plan miasta Ciopkowi i oświadczyła wściekłym głosem:

— Dosyć tego dobrego, Hulewicz. Obaj macie obniżone sprawowanie!

— Ja też? — zapytał oszołomiony Ślipseki.

275

— A jakże! — zawołał zadowolony z takiego obrotu sprawy pan Ciopek. — Chociaż nie wiem, czy jest z czego wam obniżyć.

Polonistka klasnęła w dłonie.

— Nocujemy w tak zwanych Nowych Szkotach... Proszę, bez głupich zachowań — oburzyła się, gdy zareagowaliśmy śmiechem. — Mamy do wyboru: albo Szybką Kolej Miejską, albo tramwaje: 8,10 i 14. Co wolicie?

Krzyknęliśmy zgodnie, że chcemy koleją. Tyczka zacisnęła pięści.

— Panie Maćku, czym jedziemy?

— Szybką Ko... — zaczął Ciapek, lecz widząc potępienie w oczach starszej koleżanki, zmienił zdanie. — Eee, tramwajem?

— Doskonale — ucieszyła się nauczycielka. — Skoro chcecie tramwajem, nie ma sprawy. Proszę wziąć bagaże; idziemy Niech no tylko ktoś się zgubi, natychmiast wraca do domu! — Pogroziła nam palcem.

Wyszliśmy z dworca. Wielkie miasto wprawiło nas w stan euforycznego oszołomienia. Hałas dworcowy był niczym w porównaniu z jazgotem ulicznego ruchu. Tysiące spieszących się osób, setki samochodów, wysokie budynki. To wszystko zapierało nam, młodym trombolinianom, dech w piersiach. Zrozumiałem, co znaczy być prowincjuszem.

— A ja nie chciałabym tu mieszkać — powiedziała idąca za mną Ania. Obejrzałem się z bijącym sercem, ale mówiła do Beaty. Szkoda.

— Głupia jesteś — skwitowała Beata. — Tu można poznać kogoś naprawdę fajnego, nie to, co u nas.

276

Jej słowa raniły boleśnie, lecz bardziej dotknęła mnie odpowiedź Ani.

— Masz rację, w Trombolinie mieszkają same głąby bez wyobraźni i bez klasy.

Na przystanku tramwajowym stało sporo osób. Nas, licząc z opiekunami, była dwudziestka.

— Pomieścimy się? — zapytał z powątpiewaniem pan Ciopek.

— Musimy — oświadczyła Tyczka. — Po prostu trzeba się będzie ścieśniać. Gdyby ktoś się zgubił, adres zna, mój numer telefonu również — mówiła, usiłując ustawić nas parami. — Zresztą wysiadamy na czwartym przystanku, nie licząc tego. Kupił pan bilety, panie Maćku?

— A miałem kupić? — zdziwił się nauczyciel. — Poza tym nie będę kupował za swoje.

Tyczka obdarzyła go zimnym spojrzeniem, pogrzebała w portmonetce, po czym podała mu pięćdziesięciozłotowy banknot.

— I proszę się pospieszyć, tramwaj przyjeżdża... — zerknęła na rozkład — za cztery minuty

Zdegustowany takim traktowaniem matematyk zacisnął usta i pobiegł do kiosku. Z daleka słyszeliśmy, jak usiłuje wepchać się bez kolejki, tłumacząc się nagłą potrzebą.

Czerwono-biały tramwaj przyjechał wypełniony po brzegi, ale większość pasażerów wysiadła przed dworcem. Wpychając się do środka, zauważyłem pełne nienawiści spojrzenie Szczęsnego Hulewicza. W czym ja mu właściwie zawiniłem?

277

- Proszę liczyć przystanki — nakazała Tyczka.

Dwie, może trzy dziewczyny znalazły miejsca siedzące, ale w większości staliśmy, trzymając się uchwyty i oparcie foteli. Palikowa z godną mnicha cierpliwością kasowała bilety.

Jakaś siwowłosa, krótko ostrzyżona kobieta trąciła mnie w rękę.

— Skasuj mi bilet, chłopcze — rozkazała. Siedziała na miejscu dla inwalidy, trzymając na kolanach torbę z zakupami. — No rusz się!

— Tamten rudy stoi bliżej kasownika — warknąłem, urażony w swej godności.

W piwnych oczach kobiety wyczytałem zaskoczenie. Jej upstrzona brązowymi plamami dłoń cofnęła się nieznacznie.

— Ale ty stoisz bliżej mnie — zauważyła rezolutnie. Bilet ulgowy trącił mnie w policzek.

— Skunks! — zawołałem. — Skasuj tej miłej staruszce... — zawiesiłem głos. Zgodnie z oczekiwaniami kobieta pobladła ze złości. — bilecik. Pani nie da rady wstać, więc bądź tak uprzejmy.

— Pał gumy, frajerze! — odkrzyknął Szczęsny

— Widzi pani, jaki to nieuprzejmy cham — powiedziałem głośno.

Hulewicz usłyszał, lecz nachylił się jedynie do Ślipka, szepcząc mu coś do ucha. Mam nadzieję, że wszeptał mu przy okazji trochę skunksiego zapachu.

— Natychmiast proszę mi podać ten bilet! — oburzyła się Tyczka. — Bardzo panią przepraszam, to trudna młodzież, ze szkoły specjalnej... To się na pewno nie powtórzy.

278

Kobieta z satysfakcją wcisnęła mi bilet w dłoń. Spojrzałem na nią.

— Ja wiem, pani się boi, żebym nie usiadł na tym miejscu — powiedziałem cichutko. — Nawet gdybym był umierający, nie mogę siedzieć, jak dorosły stoi, więc nie ma obawy..-

— Racyniak!

— Już idę! — odkrzyknąłem wychowawczyni i zacząłem się przepychać do kasownika. Skunks, gdy tylko go minąłem, ruszył za mną. Znając jego bandyckie skłonności, obawiałem się o całość plecaka. Mógł go na przykład rozsznurować albo pociąć i nawet bym nie zauważył. Wolną ręką na wszelki wypadek ścisnąłem parciany pas.

Za tramwajem, w niedalekiej odległości, jechało przerobione na taksówkę bmw. Kierowca starał się, jak mógł, lecz jazda w tempie tramwaju przekraczała jego możliwości emocjonalne.

Instynktownie dodawał gazu, kiedy tylko widział przed sobą możliwość manewru.

— Mówiłem panu, żebyś pan jechał wolniej — upomniał go starszy z pasażerów, szpakowaty, z ciemną apaszką wokół szyi. — Jeszcze wolniej!

— Kiedy tamci trąbią na mnie, bo tamuję ruch — bronił się kierowca.

— Jedź pan tak, żebyśmy cały czas widzieli tramwaj numer osiem — wbrew wyraźnemu zakazowi

mężczyzna zapalił papierosa.

- Za taką jazdę może być mandat!

279

- A za nieposłuszeństwo... — zirytował się młodszy — może być to! — Kierowca usłyszał chrzęst odbezpieczanej broni, a potem zobaczył w lusterku trzymającą ją dłoń. Tuż przy swojej szyi.

Posłusznie zdjął stopę z gazu.

Zbliżaliśmy się do przystanku. Tyczka skończyła kasować nasze bilety, nie odchodziła jednak od kasownika, czekając, aż do niej podejde.

— Proszę — podałem jej wygnieciony świstek. — Tamta pani będzie wdzięczna.

Palikowa bez słowa wzięła bilet. Tramwaj zaczął trząść się niemiłosiernie, więc miała spory kłopot z trafieniem w otwór kasownika.

— No bodaj cię... — zakłęta pod nosem, zyskując sobie cień sympatii wśród stojących w pobliżu uczniów. Może to prawda, że na wycieczkach nauczyciele są inni niż w szkole. Bardziej przystępni. Tramwaj stanął, drzwi się otworzyły, a wychowawczynie bez słowa wręczyła mi skasowany bilet.

— Teraz — usłyszałem głos za plecami.

Ktoś chwycił mnie za plecak i mocno pchnął. Wpadłem na Palikową. Broniąc się przed upadkiem, wyciągnąłem przed siebie ręce.

Zaskoczona wychowawczynie cofnęła się dwa kroki, za-chybotwała na krawędzi schodów, po czym, jęknąwszy cicho, wypadła na zewnątrz. Jakiś młody chłopak złapał ją za rękę i oboje wylądowali na chodniku. Zabrzmiał dzwonek, drzwi

280

r

zasunęły się i tramwaj odjechał. Otworzyłem usta w niemym okrzyku.

— O Boże! — pisnęła któraś z dziewcząt. — Nasza pani!

— Psze pana... — zawołał Skunks do Ciopka — Cyna wyrzucił panią Palik z tramwaju, o tam leży! Eee, już nie widać...

— Zatrzymać tramwaj! — rozległy się głosy. Panie kierowco, kobieta została na przystanku!

— Teraz nie mogę — oświadczył kierowca. — Za duży ruch.

Pan Ciopek przecisnął się przez ludzką ciżbę.

//

— Co się stało? — zapytał przerażony. — Gdzie pani Halina?

Poblądłe twarze uczniów obróciły się ku mnie. Pozostali ludzie odsunęli się jak od dzikiej bestii.

— Cyna wyrzucił... — zaczął Skunks, lecz zatkałem mu usta.

— Nieprawda, popchnął mnie! — zaprotestowałem. — To jego bandycka zemsta!

— Ja widziałam, jak było — odezwała się kobieta, która dała mi bilet do skasowania.

Odetchnąłem.

— Ten mniejszy — pokazała na mnie — to większy łobuz. Pyskował do mnie, od staruch wyzywał, a jaki agresywny! Z poprawczaka pan ich wiezie?

— No co pani? — poczułem, jak bezsilność wypełnia mi gardło. — Szczęsny z tyłu...

— I rzucił się na biedną kobietę — kontynuowała niewzruszenie. — Zabić ją chciał, dam sobie rękę uciąć.

Matematyk miał w oczach panikę.

— Racyniak, coś ty narobił?!

— Ja naprawdę... — chlipnąłem jak dziecko. Ciopek rozejrzał się bezradnie.

— Gdzie pan jedzie? — zainteresował się kierowca.

— Na... na te... Nowe Szwedy, czy jakoś tak — mamrotał nauczyciel.

— Nowe Szkoty — kierowca odpiął krótkofalówkę. — Zamelduję do bazy, żeby przysłali policję na przystanek. I niech pan zadzwoni do tej pani na komórkę i zapyta, czy nic się nie stało — doradził.

282

— Dziękuję — odrzekł rozdygotany Ciapek. — Serdecznie panu dziękuję!

— Nie ma za co — kierowca machnął ręką. — Chuligaństwo trza zwalczać, panie. Bez litości.

Słuchałem tego na miękkich nogach, a w głowie kołatała się jedna myśl. Kłątwa Antosia, kłątwa...
Rozdział 29.

Na Stogi, proszę pana

Straciłem poczucie rzeczywistości. Jeżeli nikt nie widział, co się naprawdę wydarzyło, mogę mieć poważne kłopoty Świat wokół stał się zamglony, głosy spowolnione, a treści rozmów całkiem abstrakcyjne.

Tramwaj zatrząsł się i zaczął zwalniać. Dojeżdżaliśmy do kolejnego przystanku. Na następnym miała czekać na mnie policja. Jak na przestępcę.

Kierowca otworzył drzwi.

— Lecimy! — wrzasnął Kostek, pociągając mnie za rękaw.

Rzuciliśmy się na ludzi jak dwa tarany, głowami naprzód. Zaskoczone twarze, szarpnięcia, chodnik, przystanek, jakaś brama. Muszę przyznać, że nie wiedziałem, co robię. Instynktownie biegłem za Ptakiem.

Wbiegliśmy na wybrukowane podwórze. Przy osłoniętych parasolami stolikach siedziało kilka osób. Zaintrygowane spojrzenia omiotły nas pobieżnie. Stanęliśmy. Byłem mokry od potu, a paski plecaka boleśnie wrzynały mi się w ramiona. Ptak miał się nie lepiej. Usłyszałem stłumione miejskim hałasem, pospieszne kroki pogoni. Była coraz bliżej.

284

— Zobacz — Kostek pokazał na prowadzące w dół schodki, kończące się niskimi, drewnianymi drzwiami. Weszliśmy tam pospiesznie.

Piwniczne pomieszczenie zastawione było zgrzewkami napojów, skrzynkami piwa, kartonami chipsów i orzeszków. Raj imprezowiczów. Między drewnianymi paletami krzątał się chłopak w czerwonym fartuchu z napisem „Coco Bar” na piersiach. Taki sam napis widniał na szybie knajpki — uświadomiłem sobie z opóźnieniem.

Chcieliśmy kucnąć za skrzynią, ale zauważył nas, niestety

— Zgubiliście coś? — zapytał, odstawiając trzymany w dłoniach kartonik.

— My? — odchrząknął Kostek. — My tego...

— Złodziejaszki, co? — wytarł dłoń o fartuch i wyjął z kieszeni telefon komórkowy — Zadzwoń do szefa, niech się wami zajmie — mruknął.

— Jakie złodziejaszki?! — oburzyłem się. Zza drzwi dochodził szmer podnieconych głosów.

Pogoń dotarła na miejsce. — My tylko szukamy... — rozejrzałem się.

— Pracy szukamy, na wakacje — uzupełnił przytomnie Kostek. — Bo wiesz, w domu się nie przelewa.

— Wiem — chłopak odłożył telefon. — Tylko że do wakacji zostało jeszcze trochę czasu. Skąd zwialiście?

— Znikąd nie zwialiśmy — zapewniłem gorączkowo.

Na zewnątrz ucichło. Chłopak uśmiechnął się, a potem mrugnął łobuzersko.

— Kitujecie z szukaniem pracy, no nie? Starzy was gnębią, co? Znam to z doświadczenia — podszedł do nas

285

bliżej. — Tyle że ze mną mieli pełen odlot — wspiął się na palce, macając dłonią powierzchnię wysoko ustawionych kartonów. — Co powiecie na to?

W białym świetle jarzeniówki błysnęła stal. Chłopak zacisnął usta, a przed moją twarzą pojawił się długi, wąski nóż. Zdrętwiałem.

— No i co? — Nóż wykonał półobrót tuż obok źrenicy mojego oka. Przełknąłem ślinę.

— Chyba nie chcesz...

— Fajny tatuaż czy nie? — zapytał zniecierpliwiony. Dopiero teraz dostrzegłem ciągnący się powyżej nadgarstka skomplikowany wzór, coś w rodzaju kwiecistego węża.

— N00... — mruknął Ptak, równie zdezorientowany

— Na drugiej mam identyczny! — chłopak przełożył nóż do lewej ręki, prawą podciągając rękaw koszuli. — Zbiegają się na plecach, na słonecznej tarczy. Chcecie obejrzeć?

Piwniczne ściany przestały nas przytłaczać, a płuca z rozkoszą wciągnęły suche powietrze.

— Dzięki, stary — Kostek poprawił pasy plecaka. — Może innym razem.

— Musimy już iść — dodałem. — Serio.

— Jak musicie, to musicie — stwierdził chłopak filozoficznie.

Rozciął nożem najbliższy karton.

— Weźcie na drogę — powiedział, wyciągając paczkę cebulowych chipsów Speed Chips. — Jakoś się na klientach zaoszczędzi — roześmiał się. Nóż został na kartonie.

Wrzuciłem prezent do plecaka.

286

— Fajny z ciebie koleś — Kostek uśmiechnął się

z uznaniem. — Trzymaj się! fi

— Jasne, że będę — kiwnął głową tamten. I uważajcie na pały, przychodzą tutaj nieraz na kawę ^ i pączka — doradził.

Wyszliśmy, mrużąc oczy przed słonecznym światłem. Kostek od razu wyjął komórkę.

— No jak tam, synu? — zagaił, po czym zasłonił mikrofon dłonią. — Dzwonię do Plomby — szepnął. — Gdzie jesteście?

— W kawiarni, ciołku! — głos Jacka brzmiał donośnie.

— Gdzie konkretnie?

— Po prawej stronie!

— Co?! — zdziwił się Kostek. — Przestań mnie szturchać — syknął do mnie. — Po jakiej prawej stronie?

— Po twojej, ślepaku! — odkrzyknął Jacek.

Kostek odwrócił się gwałtownie. Przy stoliku siedzieli Patryk z Anią, a przed nimi stał Plomba z telefonem w dłoni. Wszyscy troje płakali ze śmiechu.

287

φ**^

— Głupie dowcipy się was trzymają — burknął Ptak.

— Chciałem ci powiedzieć — westchnąłem, gdyż zauważyłem ich chwilę wcześniej. Śmiali się, a moje serce skakało jak wystraszony kanarek w ciasnej klatce.

Taksówkarz drżącą dłonią podał resztę. Od kilkunastu minut modlił się o rychły koniec tego kursu. Modlitwy zostały wysłuchane.

— Nie trzeba — starszy z pasażerów otworzył drzwi.

— Ale muszę wydać — upierał się taksówkarz.

— Nic pan nie musi — mruknął młodszy — Nikogo pan nie widział, niczego pan nie słyszał, okej? Mężczyźni wysiedli, rozglądając się bacznie.

— A jak mnie kto zapyta? — chciał wiedzieć kierowca. Posterunkowy Papiński nachylił się do okna samochodu

i wycedził:

— A jak kto zapyta, powiesz mu, że zaraz umrzesz. — Poklepał się po poplamionej marynarce. — I nie skłamiesz.

Taksówkarz pospiesznie wrzucił bieg, z godną rajdowca brawurą włączając się do ruchu.

— Co teraz? Widział pan, gdzie pobiegli? — zapytał posterunkowy. W szybie wystawowej sklepu spożywczego odbijały się ich nieco zdeformowane sylwetki. Odruchowo poprawił włosy.

— Spróbuj jeszcze raz zadzwonić do Kożuszka — polecił komisarz, kręcąc głową. — Niech nie śpi, tylko poda nam namiary z GPS. Chyba ten cholerny szczeniak nie zgubił telefonu, co?

288

Kostek nie pozwolił nam niczego zamówić.

— Zaraz idziemy, proszę pani — poinformował kelnerkę.

— Tu nie park! — zdenerwowała się dziewczyna. — Jak chcecie pogadać, idźcie gdzieś na skwerek!

— Moment — uspokajał ją Ptak. — Tylko sobie...

— Odstraszcacie klientów, a nic nie konsumujecie — kelnerka nie chciała odejść. — Mam zawołać szefa?

— A po co zaraz szefa niepokoić? — Plomba wyszczerzył zęby zalotnie i wstał. — Szef będzie zły, że mu się głowę zawraca, a my, kochana moja pani... — tu przerwał i ku zaskoczeniu młodej kobiety cmoknął ją w dłoń — kochana pani, tylko naradę sztabową szybciotko machniemy i nas nie ma! — zatańczył wokół niej, zerwał z pobliskiego gazonu fioletowo-żółtego bratka i wręczył dziewczynie z głębokim ukłonem. A mi wciska, że nie ogląda starych filmów.

— No nie wiem... — kelnerka straciła poprzedni rezon. — Narada sztabowa? A wy co, żołnierze?

— Harcerze — szepnął Jacek. — Jeszcze fajniej, prawda? Jak będzie pani miła, wynajmiemy cały bar na święto „Erce-wubam”, co pani na to?

— No, jak wynajmiecie...

— To szef zarobi — odpowiedziałem.

— No tak — zgodziła się dziewczyna. — Ale nie siedźcie za długo — pogroziła palcem i odeszła.

— „Ercewubam”? — odezwała się Ania. Jej wzrok skrętnie omijał moje spojrzenia.

— Skrót od „robię cię w bambuko” — przetłumaczył Jacek. — To co nam chciałeś powiedzieć? — zwrócił się do Kostka.

289

Ptak pochylił się do przodu, położył łokcie na stoliku a potem oznajmił:

— Mój plan uległ nieprzewidzianej modyfikacji... — p0_ patrzył na mnie — ale oczywiście wszyscy wiemy, że to nie ty, Cyna, wywaliłeś Tyczkę z tramwaju.

— Chociaż to ty poniesiesz konsekwencje — dopowiedział Lopez. Kostek, jakby tego nie słysząc, ciągnął dalej:

— To znaczy, bardziej ci wierzymy, niż wiemy, bo tak właściwie niczego nie widziałem. A wy? Pozostali zaprzeczyli, mrużąc z żalem.

— Dzięki. — Nie wiem, dlaczego poczułem się dotknięty Przy sąsiednim stoliku pojawiła się kelnerka, patrząc na nas wymownie. Plomba pokiwał do niej uspokajająco. Wzięła puste szklanki i znikła w otwartych drzwiach lokalu Coco Bar.

— To teraz wyciągać kasę, co kto ma — ponaglił Kostek.

— Dlaczego, jeśli można wiedzieć? — nadała się Ania.

— Kładź i nie marudź... — Ptak wbił w nią wzrok — bo jak nas znajda, zamkną w Izbie Dziecka i zamiast lunety wisielca poszukamy sobie co najwyżej kubka z wiewiórką. Ka-piszi?

Ania bez słowa wyjęła zza bluzki wiszący na szyi płócienny portfelik.

— Sto pięćdziesiąt, wystarczy? — rzuciła na stół złożone wpół banknoty — Miałam przywieźć pamiątki...

— Nie lecimy w kosmos. — Kostek postukał się w czoło. — Kładziemy po dwie dychy i wio taksówką.

— A gdzie to wio? — zapytałem, rozprostowując dwie dziesiątki.

290

— No jak to, gdzie? Na Stogi! — domyślił się Plomba, dokładając pieniądze.

Ligurski wykonał jakiś niezdecydowany gest i na stole pojawiło się następne dwadzieścia złotych. Ku radości obserwującej nas kelnerki wyszliśmy rażnym krokiem z barowego podwórza. Ulica znów nas zaskoczyła ruchem i hałasem, błyszczącymi w promieniach słonecznych karoseriami samochodów oraz wiszącym w powietrzu zapachem spalin. Ruszyliśmy w stronę parkingu, na którym Ania dostrzegła stojącą taksówkę.

— A dlaczego nie tramwajem? — dopytywałem się w nadziei uratowania pieniędzy.

— Wszystkie przystanki są na pewno kontrolowane — odpowiedział mi Jacek. — Wyrzucenie nauczycielki z tramwaju i pomoc w ucieczce przestępcy to nie w kij dmuchał.

— Ano, nie w kij dmuchał — sposepniałem. Ciekawe, gdzie jest granica mojego smutku i jak długo działa kłątwa?

Na nasz widok kierowca bmw rozdeptał na betonie papierosa i wsiadł do taksówki. Usłyszeliśmy warkot silnika.

— Dalej, bo nam odjedzie! — krzyknąłem.

Lopez dorwał go, gdy próbował tyłem wyjechać z placu. Wskoczył do środka, a my za nim. Ania

z przodu, ja z chłopakami z tyłu.

— Kto wam pozwolił?! — ryknął taksówkarz. — Nie chcę mieć z wami nic wspólnego!

— Czy pan oszalał? — zdumiał się Jacek. — Przecież się nie znamy.

291

— Nie znamy? Nie znamy?! — kierowca wyłączył silnik. — A pewnie, że nie znamy! Nikogo nie znam i nie widziałem, wynocha z samochodu! Może mi jeszcze łufę do głowy przystawicie, co?

— Panie kochany... — próbował go udobruchać Jacek -J jeśli to jest taksówka, to my zamawiamy kurs...

— Nawet nie chcę o tym słyszeć — mężczyzna zatkał dłońmi uszy — Zmiatać z taksówki, ale migiem!

— Jakiś nienormalny — poczerwieniała Ania. — Robi z nas nie wiadomo kogo.

Wyszedłem szybko i podałem rękę, by łatwiej było jej wysiąść. Ujęła ją z lekkim wahaniem.

— Dziękuję — wybąkała. Nadal na mnie nie patrzyła.

— Tam jest jakaś — Kostek wskazał na czarnego mercedesa. Puściłem ciepłą dłoń Ani i pobiegliśmy próbować szczęścia.

Tym razem kierowca ucieszył się na nasz widok.

— Dokąd państwo sobie życzą?

— Na Stogi, proszę pana — zadysponował Kostek. — Klasą turystyczną.

Siedzący na ławce chłopak w zielonej koszulce otworzył puszkę z piwem, patrząc na nas z pogardą.

Z ulgą spoglądałem na oddalającą się ulicę z Coco Barem w podwórzu. Ciopek z policją mogą nas teraz szukać po całym Gdańsku.

Rozdział 30.

Buda z magnolią

Dojeżdżaliśmy na miejsce. Kierowca zwolnił i powiedział, wskazując spory las nieopodal:

— Do plaży będzie z kilometr, ale woda jeszcze zimna. Gdzie was podrzucić?

— Do Pustego Stawu, jeśli można — w głosie Kostka brzmiała niepewność.

— Do Pustego Stawu? — kierowca zamrugał. — Tam nie ma czego zwiedzać. Na pewno chodzi wam o to miejsce?

— Tak — wtrącił się Plomba. — Organizujemy podchody i musimy poznać teren. Harcerz powinien być przygotowany na wszystko. Na deszcz i wiatr, na leśne pułapki, przepastne wykroty, na dziką zwierzynę...

— Kapuję — samochód zatrzymał się niedaleko leśnej dróżki. — A w plecakach macie mapy, kompasy i ołówki, co?

— Mniej więcej — mruknąłem.

— No to powodzenia — stuknął w klawisz kasy. — Sześćdziesiąt osiem za całość. Tylko z tymi kompasami nie przesadzajcie, co najwyżej po jednym na łebka — roześmiał się.

Kostek zapłacił.

— Nie wiem, co miał pan na myśli, bo prawdziwi harcerze nie piją i nie palą, a jedynie...

293

— A jedynie przeprowadzają starszki przez jezdnię — dokończył kierowca i machając nam, dodał — Powodzenia!

Las powitał nas chłodnym cieniem, cudownie kontrastującym z rozgrzanym betonem miejskiej zabudowy. Zdawało mi się, że słyszę szum morza, ale to pewnie wiatr szemrał w gałęziach starych, ociekających żywicą sosen. Odetchnąłem pełną piersią, zapominając na moment, w jakim celu tu przybyłem i jak ponure mam perspektywy

Do zbiegającego od słońca, okorowanego pala, przytwierdzony był kawałek laminowanej płyty z napisem „Pusty Staw 150 m”. Cel wydawał się bliski.

— Tędy — zakomenderował Kostek, jakby bywał tutaj setki razy. Podziwiałem go za tę pewność siebie.

Ścieżka była kręta i piaszczysta, gdzieniegdzie porośnięta suchą, ostrą trawą. Stąpaliśmy ostrożnie, choć nic nie wskazywało, by czyhało na nas jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Bynajmniej nie tutaj. Niespodziewanie Lopez dał znak, żebym zwolnił.

— Pamiętasz, Cyna, o ostrzeżeniu? — szepnął.

— Co masz na myśli?

— Bądź ostrożny — westchnął, wzruszając ramionami.

— Ale o co ci chodzi? — drążyłem zdziwiony Ligurski nie odpowiedział. Przyspieszył kroku, doganiając

pozostałych. Pobiegłem za nim. Po drodze minęliśmy rodzinę na spacerze, dwoje dorosłych i troje dzieci w wieku przedszkolnym. Ubrani na sportowo, maszerowali powoli, rozglądając się ciekawie dookoła. Dzieciaki niosły ułamane gałęzie,

294

używając ich do podpierania się, niczym mali, zasmarkani staruszkowie. Pomyślałem o Glucie. Co on teraz porabia?

Jedna ze starszych dziewczynek zagapiła się na mnie, a kiedy odwzajemniłem spojrzenie, wystawiła długi jęzor.

— Schowaj język, bo ci go wilk odgryzie — warknąłem ponuro. Rzuciła we mnie kijem i uciekła z płaczem. Usłyszałem, jak skarży się rodzicom.

— Musimy się tak wlec? — zapytałem niespokojnie, wymijając idącego na czele Kostka.

— Przecież... o kurza melodia — zatrzymał się Ptak. — Tego nie przewidziałem.

Dotarliśmy do wysokiego ogrodzenia. Stara, wygięta siatka była skrzętnie połatana i przymocowana od wewnątrz do żelaznych słupków stalowym drutem. „Własność prywatna — wstęp surowo wzbroniony!” — ostrzegała niebieska metalowa tabliczka. Nieco dalej, w przetykanym igliwem piasku poniewierała się zardzewiała blacha ze śladami czerwonej farby i żółtawym napisem „Państwowe Fabryki Przemysłu Pasmanteryjnego GDAŃSK”.

— No i co?

— No i nie wiem, synu — Kostek przyglądał się siatce z uwagą. — Czasami odnoszę wrażenie, że nie chce ci się pomyśleć. A czy ja wyglądam, Cyna, na twojego ojca?

— Nie wyglądasz — przyznałem szczerze. — A wiesz, dlaczego?

— No?

— Bo krasnoludki podobno wymarły bezpotomnie — zachichotałem.

295

Nie odpowiedział, choć liczyłem na celną ripostę. Cały mój dowcip diabli wzięli.

— Chyba trzeba przeleźć na drugą stronę... — pomyślałem.

— Jak? — zainteresował się Plomba. — Widzisz tu gdzieś drabinę?

— E... nie. Ale może by tak... po prostu przeleźć i już?

— Oszalałeś? — Jacek nie krył oburzenia. — Te kolce... — wskazał na ciągnący się po wierzchu siatki podwójny drut — tylko czekają na mój tyłek!

— Ale mi bohater — parsknąłem pogardliwie, przerzuciłem plecak na drugą stronę i wczepiłem dłoń w oczka siatki. Zachwiała się pod moim ciężarem. Odczekałem chwilę, a potem wbiłem w siatkę czubek buta. Nie jest tak źle.

— Idzie jak po maśle — oznajmiłem. Nie odpowiedzieli. Powoli podniosłem drugą nogę, jednocześnie podciągając

się dłońmi nieco wyżej. I jeszcze raz. Przed nosem miałem splecione drut kolczasty Szarpnąłem ciałem, przełożyłem nogę i... Siatka jęknęła nieprzyjemnie, drut, mocujący ją do słupka, pękł ze świstem, a ja zawisłem po drugiej stronie głową w dół.

— Kostek! — krzyknąłem w panice. Cisza. Zerknąłem na kolce. Kilka z nich wbijało się właśnie w materiał dzinsów. Poczułem drobne ukłucia.

— Kostek! — wrzasnąłem. — Ściągnijcie mnie! Świsnęło i kolejne wiązanie przestało istnieć.

Runąłem na ziemię.

— Widzieliście cwaniaczka? — usłyszałem szyderczy głos Ptaka. — Spec od krasnoludków, co?

296

Wstałem brudny, poobijany, podrapany i upokorzony.

— Skąd się wzięliście? — otarłem usta z piasku.

— Przefrunęliśmy samolotem — zakpił Plomba.

— Tam jest brama — powiedziała cicho Ania. Dlaczego wciąż na mnie nie patrzy?

— Brama?

— Brama. Taka do przechodzenia — potwierdził Lopez, ciągnąc mnie za rękę. Podniosłem plecak i poszedłem za nim.

Kilkanaście metrów dalej, za kępą krzaków stała jakaś buda, a obok niej widniała otwarta na oścież brama. Wróciłem, dysząc z oburzenia.

— Dlaczego nikt mi nie powiedział?

— Bo nie pytałeś — logicznie odparł Ligurski.

— Bo nie podobają ci się krasnoludki — wycedził Kostek.

— Bo jesteś samolubem — zakończyła Ania. Jej słowa mnie ubodły

— Wystarczy — zlitował się Jacek. — Cyna, na drugi raz zaczekaj z durnymi pomysłami, dobra? Pokiwałem głową. Ładni przyjaciele, nie ma co. Ciekawe, czy jakbym się zabił, też by się tak wymądrzali?

Za szpalerem łysiejących sosenek i modrzewi ciągnęły się podniszczone budynki, zaniedbane trawniki i zamknięte magazyny Wiatr lekko marszczył wody niewielkiego jeziora, niosąc ciężki zapach gnijącej roślinności.

— To jest to? — Kostek otarł czoło.

297

Rzuciliśmy plecaki w trawę.

— Najwyraźniej to — stwierdziłem, sapiąc. W plecaku miałem jeszcze torbę kanapek z żółtym serem i wędzoną szynką, paczkę cebulowych chipsów Speed Chips i ani kropli czegoś do picia. Język zaczynał mi się zwijać w trąbkę.

— Ale tu niczego nie ma — Ania nie kryła rozczarowania.

— A czego się spodziewałaś? — wyplułem drobiny piasku. — Karuzeli i McDonalda? A może orkiestry strażackiej?

Zmierzyła mnie zimnym spojrzeniem. Znów oddaliliśmy się od siebie o jakieś tysiąc lat i milion kilometrów.

— Dobrze, że chociaż jest zasięg — ucieszył się Plomba, zerkając na wyświetlacz telefonu. — Jakby co...

Przerwał, podnosząc palec do ust. Też to usłyszałem. Jednostajny turkot i metaliczny łoskot, potem cisza i znów. Ktoś zaklął soczyście.

— Idziemy — Kostek chwycił plecak, wskazując na jeden z baraków z falistej blachy.

Wyleniały kocur wlaźł na koc, przeszedł po nieruchomym cieple, po czym pacnął łapą w twarz śpiącego. Po nocnej włóczędze odczuwał przejmujący głód.

— Won, śmierdzielu! — stróż otworzył przekrwione oczy

Kot miauknął cicho, oblizał pysk i czekał.

— Kota mnie do pilnowania dały, zarazy — narzekał mężczyzna, pokaślując. — A mało to psów? Ale nie, kota musiały

298

dać! — machnął ręką, usiłując pozbyć się zwierzęcia. Kot odsunął się nieco.

Stróż usiadł na polowym łóżku, pomedytował, kiwając się w przód i tył, a potem wsunął bosa stopy w przydeptane, pochłapane farbą półbuty.

— Masz, żryj — rzucił na podłogę wyciągnięty z garnka kawałek ociekającej tłuszczem parówki.

Wytarł palce w sweter, przyglądając się jedzącemu kotu.

— Jakież to łapczywe bydło — zdumiał się, włączając radio.

— „...to był Sidney Polak i Chomiczówka... — zadudnił młody głos. — A teraz wiadomości z regionu, z kraju i ze świata. Na początek niesmaczny popis agresywnego nastolatka. Jak

poinformował rzecznik gdańskiej policji, dzisiaj na jednej z ruchliwych ulic zdarzył się kolejny chuligański wybryk. Uczeń gimnazjum wypchnął z pędzącego tramwaju swoją nauczycielkę. Oto

wypowiedź zszokowanego rówieśnika młodocianego przestępcy: Zrobił to specjalnie, psze pana, to łobuz, co się nie interesuje piłką nożną. Nawet nie zna hymnu Tornada, zdrajca jeden!

TORNADO!..."

— Cośmy się czasów dożyli, skaranie boskie! — jęknął mężczyzna, dłubiąc w uchu. Podszedł do okna, podniósł wyblakłą roletę i przetarł rękawem szybę.

— „... bluzę i dzinsy. Chłopcom towarzyszy koleżanka...” — kontynuował spiker.

Stróż popatrzył na plac.

— A niech mnie... drzwi ścisną — wybąkał, mrużąc oczy

299

Za barakiem, przy niewielkim wykopie stało dwóch robotników w żółtych kaskach i pomarańczowych kamizelkach.

— Chyba żeś, Mietek, w rurę trafił — gorączkował się potężnie zbudowany facet, trzymający wybrudzony piaskiem kilof.

— E tam, sam jesteś rura — robotnik, zwany Mietkiem, odłożył wiertarkę udarową na rozłożoną na piasku brezentową płachtę. — Całkiem obok rury, kamień żem rozwiercił trochę. Podmurówkę starą — wyjaśnił. — A wy tu czego? — popatrzył na nas ponuro.

— A my tu... — uklonił się Kostek. — Z gazetki szkolnej. Magnolii szukamy.

— Magnolii? — pan Mietek wyszedł z wykopu. — Maryl-kę znam, ale żeby Magnolię? Znasz Magnolię, Wiechu?

— Siostrę Pawełka? — Po czole pana Wiecha spłynęła kropla tłustego potu. — Raz widziałem, chyba... — zdjął kask, powachlował nim twarz i włożył z powrotem. — Śniadanie przynosiła.

— Jakie śniadanie, to przecież kwiat! — poirytowany zgrzytnąłem zębami. Stojący obok mnie Patryk drżał na całym ciele.

— Nie kwiat, ale drzewo — uściśliła Ania. — Pochodzące z Azji drzewo ozdobne. Może rośnie gdzieś tutaj?

— A, o to chodzi — robotnicy usiedli na stercie zmurszałych cegieł. — Mówił Staszek, majster znaczy się, że taka jedna buda tak się nazywała. Magnolia — pan Wiechu pokiwał głową.

— Altana — sprecyzował pan Mietek. — Altana pod Magnolią, a przy niej drzewo. Ale nie kwitło, bo całkiem spróchniałe. Altanę rozebrali, a korzenie koparką wyrwali.

300

— Tylko dziura w ziemi została. Jeden łapę wsadził i się o mało nie wpakował do środka. Studnia jakaś czy co, bo wody pełno. Tam, za jeziorkiem — pan Wiechu machnął ręką. — Nie zapiszecie sobie nic?

— Zapamiętamy i napiszemy później — sapnął Kostek. — Wielkie dzięki!

— Napiszcie, że cały czas ciężko pracujemy, dobra?

— To chyba jasne. — Plomba dał znak, żebyśmy się zbierali.

Pobiegliśmy we wskazanym kierunku, zapominając o pozostawionych przy wykopie plecakach.

— Widziałeś ty, Mięta, jacy wrywni? — zapytał Wiechu, chwytając kilof.

— Młodzi jeszcze — mruknął Mietek. — Całe życie przed nimi.

Komisarz Klupś wyjął z portfela dwadzieścia złotych.

— A teraz sobie przypominasz?

— Teraz sobie przypominam — chłopak w zielonej koszulce zgniótł aluminiową puszkę i rzucił za ławkę. — Mówili, żeby zawiózł ich na Stogi. — Wyciągnął rękę po pieniądze. — A forsa?!

— Potrącam ci za zaśmiecanie miasta — komisarz schował banknot. — Taki mandacik ad hoc.

Jedziemy na Stogi, Papiński.

Rozdział 31.

I co właściwie znalazłem?

Niewielka dziura w ziemi przykryta była czterema deskami i otoczona czerwono-białą taśmą na metalowych prętach. Obeszliśmy ją dookoła.

— „Dłoń w magnolię wciskaj...” — uśmiechnęła się Ania. Pierwszy raz od bardzo długiego czasu.

— Jak to, wciskaj? — spytałem. Tym razem nie odwróciła się ode mnie.

— Chodziło o to, żeby kopać przy magnolii. Teraz to wydaje się całkiem logiczne, Jasiu — kucnęła przy prętach.

— Przydałaby się łopata — zauważył Kostek.

— Skąd ja ci, Ptaku, łopatę wezmę? — zerwałem taśmę i wyszarpnąłem jeden z prętów. Nie stawał większego oporu.

— Jesteśmy przecież na budowie — odpowiedział Lopez.

— No tak, jesteśmy na budowie — rozejrzałem się. Pod ścianą drewnianej szopy wznosiła się hałda piasku zmieszanego z gruzem. Wyszarpnąłem kolejny pręt.

— Ja pójdę — zadeklarował się Jacek. Odprowadziłem wzrokiem jego przysadzistą sylwetkę. Nie mam pojęcia, co dziewczyny w nim widzą.

— To co, odciągamy dechy Kostek, bierz się do roboty — Zmiana w zachowaniu Ani dodała mi wigoru.

302

Zdjęliśmy zapiaszczone deski, odrzucając je na boki. Usłyszeliśmy serię plusków. Z otworu spojrziała na nas nieprzenikniona ciemność.

— Była tylko jedna — Plomba zdążył wrócić. Wcisnął mi w dłoń szorstkie od zaschniętej zaprawy stylisko. — Kop, stary

— Uważaj, naprawdę uważaj — szepnął Lopez. — Ina-na...

— Co? — potrząsnąłem głową.

— Tu jest jakiś beton!

— Widocznie pan Jędrzej wybetonował schowek, żeby się woda nie dostawała — stwierdził Ptak.

— Spróbuj bliżej dziury.

— Nic mu to betonowanie nie dało — zauważyłem. — Słyszycie, jak tam pluska?

— Po tylu latach nie ma się czemu dziwić, no jazda! Stałem na cementowej krawędzi. Tym razem udało

mi się wybrać nieco piachu, związanego korzeniami trawy. Chłupot stał się głośniejszy

Naprężyłem mięśnie i wbiłem łopatę głębiej. Pod stopami poczułem dziwną miękkość i zachwiałem się lekko.

— Cofnij się! — ostrzegł Plomba. Ale było już za późno. Betonowa cembrowina pękła, a ja runąłem do środka, wraz

z łopatą. Woda była zimna. Właściwie śmiertelnie lodowata, stwierdziłem, gdy zanurzałem się w niej powoli.

— Co to za las, szefie? — Papiński wpatrywał się w tablicę z napisem „Pusty Staw 150 m”. — Pusty Staw... Na pewno dobrze kombinujemy?

— Tego ci nie powiem. — Komisarz potarł szyję, zapalił papierosa i powiedział — Ale coś mi mówi, że powinniśmy się pośpieszyć. Zadzwon do Kozuska, może ich namierzył. I powiedz, że mu potrączę za spanie na służbie.

Studnia nie miała dna. Miotąłem się w panice, usiłując utrzymać w płucach resztki powietrza.

Dłonie uderzały w pełne ostrych kamieni ściany, a przecinana skóra paliła

304

żywym ogniem. Nie mogłem znaleźć punktu oparcia, by odbić się i wynurzyć. By żyć.

W jednym z ostatnich przebłysków świadomości natrafiłem na śliskie od glonów wgłębienie.

Pokrwawione palce objęły podłużny, szorstki kształt. Z moich ust wytrysnęła spieniona smuga, a ciemność zamieniła się w głęboką czerwień. Odetchnąłem.

Płuca wciągnęły chłodną ciecz o smaku żelaza. Poczułem wszechogarniające odretwienie i odpłynąłem w otchłań...

... Utu przyglądał mi się z uwagą.

— Znalazłeś, co straciłem — ni to stwierdził, ni zapytał.

— Znalazłem — odpowiedziałem zmęczonym głosem. Było mi strasznie zimno. — Znalazłem, ale co?

— Wiesz — drażniła mnie ta jego tajemniczość. Gdybym wiedział, nie pytałbym. — Znalazłeś również JA.

Mgła wokół zakutej w srebrną zbroję postaci miała konsystencję mleka. Orlogłowy wydawał się niewiarygodnie wysoki.

305

- Jaka JA? Anię Piętak? — zorientowałem się, że leżę na mokrym bruku. Spróbowałem obrócić się na bok. Nic z tego.

— Śmierć.

— Aha — jakoś się nie przejąłem. — Śmierć...

— To nie śmierć, jeszcze nie — Inana podała mi rękę. Jak ona to robi, że nie ma jej i nagle jest? Chciałem odwzajemnić gest, jednak nie mogłem się ruszyć.

— Skoro tak twierdzisz — Utu cofnął się we mgłę. — Wypełnił swoje i moje posłannictwo.

— Zaraz, a co z... — zawołałem, wciąż leżąc bezwładnie.

— Spójrz — Inana podała mi lunetę.

Spojrzałem. Zarośnięty mężczyzna o bladej twarzy spoczywał na wymiętym posłaniu. Przy metalowym łóżku stał krępy, ogorzały osobnik w futrzanej czapce. W dłoni trzymał filizankę z parującym płynem. Mężczyzna na łóżku cicho stęknął i poruszył powiekami. Facet w futrzanej czapce odwrócił się gwałtownie, wołając do kogoś w chrapliwym, niezrozumiałym języku. Pojawiła się jasnowłosa, młoda kobieta. Uśmiechnęła się z ulgą. Wiatr przyniósł zapach ryb. Mężczyzna zasnął.

Obraz zatarł się i znikł. Znów byłem we mgle.

— Kim jesteś? Kim jest Utu?

— Mamy wiele imion. Byliśmy z wami zawsze. Twój przyjaciel wie.

— Kostek?

— Jerzy — Inana zaczęła odpływać. Jej wyciągnięta ku mnie ręka była okropnie daleko.

306

— Jaki Jerzy? — wierzgnałem nogami. - Jerzy Mętlik? Ogóras?! To przecież szaleniec!

— On widzi. — Inana pograżyła się we mgle. — On nas widzi...

Świadomość powróciła niespodziewanie. Coś walnęło mnie w ramię. Jeszcze raz. I jeszcze. Zacisnąłem dłoń na drewnianym stylisku. Świadomość odeszła.

— Nie rób mi tego, błagam — głos Ani przedarł się przez głuche odměty. — Wracaj, Jasiu, proszę cię! — drobne dłonie pracowicie ugniatały mi żebra.

Wciągnąłem powietrze. Płuca zaprotestowały, a okropne mdłości zagotowały mój żołądek.

Zwinąłem się w kłębek, po czym zwymiotowałem brudną wodą. Prawa dłoń bolała mnie tak, jakbym ją wsadził w imadło.

Szarość świata wypełniła się barwami późnej wiosny.

— Co się stało? — zamrugałem półprzymtomnie.

— Prawie się mi... prawie się nam utopiłeś, łajdaku — Ania pogładziła moje mokre włosy. — Jesteś zupełnie nieodpowiedzialny — złościła się, ale była to złość anioła.

— Gdyby nie chwyciła tej łopaty, w życiu byśmy cię nie wyciągnęli — sapał Kostek, ściągając bluzę. — Masz, przebierz się, bo się przeziebiesz!

— Rzuciła się za tobą jak lwica — powiedział Plomba z uznaniem. — Ledwie was z Ptakiem utrzymaliśmy. Dobrze, że dziewczyna jest lekka. Możesz już to puścić?

— Ania mnie wyciągnęła? — przełknąłem ślinę. W ustach miałem paskudny smak. Spojrzałem na trzymany

307

w zsiniałych palcach przedmiot. Wysmołowane płótno kryło w sobie podłużny, wrzecionowaty kształt. Usiadłem, dygocąc z zimna.

— Udało się... — wykrztusiłem.

— Zawsze wiedziałem, że się uda. Już w szkole... — zatarł dłonie Kostek.

Jakiś cień przesłonił słońce.

— Oddaj lunetę — zażądał Patryk Ligurski grobowym głosem. Na jego twarzy malował się smutek. — Należy do mnie.

— Lopez, co ty wygadujesz? — przycisnąłem pakunek do piersi. Postać czarnowłosego chłopaka zamigotała. Nadeiwały chmury — Lopez? — powtórzyłem.

— Lopez... — Ligurski przymknął oczy. — Tak mnie nazywano. Lope de Aguirre, konkwistador! Uwielbiałem nim być. Wcześniej Tezcatlipoca, później Platon, Patrie Kalpur-nius, Diego de

Landa... — niebo pociemniało. Wiatr poderwał ziarna piasku, które wirując, smagały nasze zdumione twarze. Ciało Patryka nadal migotało i zdawało się rosnąć.

— Przestań! — wycharczałem. Jego ręka dotknęła pakunku.

— Teraz Patryk Ligurski... — ciągnął Lopez dziwnie skrzeczącym głosem — ale wciąż ten sam przeklęty poszukiwacz. .. wciąż jestem UTU!

Zamknąłem powieki, próbując jakoś to sobie poukładać. I chyba coś przegapiłem.

Przed nami stał młodzieniec w staroświeckim mundurze. Zza rzadkiej bródki spoglądała gładka, chłopięca twarz.

308

— Oddaj lunetę — powtórzył łagodnie. — Ukryłem ją przed wami, a potem utraciłem. Nie należy do ludzi.

— Ani do ciebie, sumeryjskie ścierwo! Nie jesteś Jędrzej Ligurski, nie możesz być! Andrieja porabali i spalili w łągrze, więc po cóż ta mistyfikacja?

Obejrzałem się. Obok niezabezpieczonej dziury stało dwóch znajomków z Trombolina.

Posterunkowy Papiński i jego szef, komisarz w apaszce. Ania siedziała sztywno przytulona do Płomby.

— A teraz, chłopczyku, grzecznie mi podasz, coś znalazł! Fryderyk Klupś mówił do mnie, mierząc jednocześnie

z pistoletu w pierś żołnierza.

— Jesteś żałośnie śmieszny w swej pysze nieśmiertelności — westchnął młodzieniec, a potem poniósł ręce. — I w swoich nienaturalnych żądaniach. Człowiek nie może żyć wiecznie. Nie powinien.

— No właśnie, rączki do góry. Tak już lepiej — skwitował komisarz. Nachylił się do mnie, muskając palcami nasmoło-wane płótno. — Puść, łobuzie!

Niespodziewanie nadciągnęła mgła. Gęstniejące opary wiły się wokół nas, niczym zwiewne węże, oplatając coraz ciasniej nasze ciała. Czulem narastający paraliż.

— Co, u diabła? — zaniepokoił się Klupś.

Chmury nad nami rozstały się i szeroki snop ciepłego światła spowił sylwetkę żołnierza. Urósł jeszcze bardziej, a jego ubranie niepostrzeżenie zmieniło się w srebrną zbroję. Oto sumeryjski bóg w orlej masce. Postać z mego snu. Utu.

Bezwiednie podałem mu pakunek.

309

— Zegnaj, przyjacielu — zaskrzeczał, zrywając szorstki materiał. Luneta błysnęła krystalicznym blaskiem, znikając w przytwierdzonym do pasa półokrągłym pojemniku.

— Ze... zegnaj... — wyjąkałem.

— Pamiętaj o wieńcu — szepnęła słodko Inana. Spłynęła razem ze światłem, czy co? — Jego energia się decyduje •— pomachała mi dłonią. — Pamiętaj o wieńcu, nie pozwól... nie pozwól...

— Będzie pamiętał — dobiegł mnie cichy głos jej partnera. — JA będę pamiętał.

Unieśli się, płynąc w górę wraz z gasnącym światłem. Dałbym głowę, że tam, hen wysoko, widzę błyszczący srebrem, wielki, spłaszczony dysk.

— Utu... — przelknąłem słoną łzę dojmującego smutku. — Utu...

Mgła zaczęła rzednąć.

— Chwilunia! — ocknął się komisarz. — Wracaj! Wracaj naty... — urwał nagle, jakby coś ścisnęło mu gardło. Padł na kolana, tarmosząc apaszkę.

— Szefie, co się dzieje? — pisnął Papiński pobiełałymi wargami.

— Ja... — charczał komisarz. — Na... litość bo...

Zerwał apaszkę. Liszajowata szrama nabrzmiała niebezpiecznie. Klupś wierzgał, wzbijając stopami tumany kurzu, a szyję oplatał mu grubo pleciony powróż. Szubieniczny sznur.

Światło zgasło, a mężczyzna stęknął przeciągle i znieruchomiał z wytrzeszczonymi oczami. Jego twarz przecinały

310

głębokie zmarszczki. Żółta, zwiotczała skóra zwisała z kościstych policzków suchymi płatami. —

Szefie... o jasna...

311

Skręcone ciało komisarza rozpadło się w proch, ulatując z wiatrem. Papiński wydał z siebie nieartykułowany bełkot, po czym odskoczył w panice i znikł w wypełnionej wodą dziurze. Zaświeciło słońce.

Rozdział 32.

Racyniak od tramwaju

Ptaki ćwierkały beztrąsko, jakby nic się nie wydarzyło. Z przeciwległej strony dochodził głuchy stukot pracującego kilofa. Gdzieś tam w oddali szumiało morze. Kostek skubnął się w ucho.

— Emm, ten... już w szkole miałem przecucie, że się uda — podsunął mi swoją bluzę. — No ubierz się, bo dostaniesz zapalenia płuc! Mocno się w tej studni potłukłeś?

— Kostek — jęknąłem. — Czyś ty oszalał? Dlaczego tak sobie spokojnie bredzisz?

— Masz rację, synu — westchnął Ptak. — Będzie na ciebie za mała. Plomba, rzuć mu jakiś ciuch!

— Dzięki, w plecaku mam swoje rzeczy — chwyciłem go za rękaw. — Rozejrzyj się, Kostucha, i powiedz, gdzie jest Lopez? Gdzie jest komisarz Klupś, co?

— I gdzie jest luneta wisielca, bo jakoś jej nie widzę — dodał Plomba. — Gdzie posiałeś ten pakunek? — zapytał, dając dyskretnie znak Kostkowi, że chyba sfiksowałem.

— No właśnie! — poderwała się Ania. — Bez niej nie dowiem się nigdy... Coś ty z nią zrobił, Cyna?!

— Ja? Przecież Lopez... a właściwie Utu...

— Utu-tutu... Jaki Klupś, jaki Lopez? — Kostek podniósł

313

brwi. — Od jakiegoś czasu ciągle gadasz o Lopezie, synu. Głowa cię nie boli? Obsesję masz czy co?

— Prędzej niewidzialnego przyjaciela z dzieciństwa — zaśmiał się ponuro Plomba. — Dosyć żartów, Jasiu, dawaj lunetę! Nie przyszedł tu na pogaduchy.

Przyjrzałem się im dokładnie. Nie wyglądali na kawalarzy. Bez słowa podszedłem do leżącego w piasku ubrania. Ciemne spodnie, kamizelka, biała koszula i apaszka układały się w kształt skręconego ciała.

— A to?! — zawołałem tryumfalnie. — To niby skąd, ha?

— W tych szmatach ją schowałeś? — rozjaśniła się Ania. — Bo już myślałam...

— Nie — odrzekłem, podnosząc czubkiem buta apaszkę. — Ale luneta nie jest nam potrzebna, bo wiem, że twój stary żyje, gdzieś chyba w Szwecji albo Danii...

— Synu, przestań farmazonić — spochmurniał Kostek. — Walnąłeś się w głowę i... Czy mi się zdaje, czy ktoś woła o pomoc?

Też to usłyszałem. Klęknąłem przy otworze. Promienie słoneczne oświetlały jedynie krawędź studni, więc głębiej panowała chłodna ciemność. Znałem ją.

— ...ciągnijcie... wyciągnijcie mnie... — dudnił męski głos. — Ludzie... pomocy...

Przysłoniłem dłonią oczy, chroniąc źrenice przed słonecznym światłem. W mętnej szarości dostrzegłem jakby zarys głowy i poruszających się rąk. Chłopot wody był bardzo wyraźny, zwłaszcza gdy umilkły ptaki, a kilof zakończył pracę.

— Panie Papiński, niech się pan trzyma! — krzyknąłem.

314

— Skąd się wziął ten facet? — sapnął Kostek, zaglądając do środka. — Tam jest jakaś wylęgarnia? Społeczność studzienna czy co? Sklonowałeś się, Cyna, w wodzie? E! — wrzasnął. — Jest was więcej?!

— Tak — westchnąłem. — W studzienną wylęgarnię moich klonów jest ci łatwiej uwierzyć niż w Utu, prawda? I to według was ja jestem wariatem? Jacek, chodź nam pomóc!

— Nie... nie mogę... — podejrzenie zdławionym głosem odrzekł Plomba. Popatrzyliśmy na niego.

— Tego nam właśnie brakowało, psiamać — zaklął Ptak, w ślad za mną podnosząc ręce do góry.

— Jak oni na to wpadli...?

Za dygocącym Jackiem stał ubrany na czarno policjant w kominiarce, z wymierzonym w nas

pistoletem. Ania leżała rozplaszczona na ziemi, a drugi policjant właśnie kończył zapinać jej kajdanki.

Przy baraku stały dwa radiowozy z migającymi niebieskimi lampami, a nieoznakowany samochód, brązowy peugeot, nadjeżdżał od strony bramy. Trzech kolejnych policjantów biegnęło do nas z pistoletami w dłoniach. Roześmiałem się histerycznie, a potem wstałem, nie zważając na trzymającego mnie za nogę Kostka.

— Poddaję się — powiedziałem zrezygnowanym głosem. — To już za dużo jak na moją głowę. Możecie mnie zastrzelić — dodałem, podchodząc bliżej.

W odpowiedzi usłyszałem zgrzyt odbezpieczanej broni i znamienne słowa:

— Stój, ani kroku dalej! Bo będę strzelał!

315

— Nie mam broni i jestem niewinny — wzruszyłem ramionami. — Ja tylko widuję kosmitów! Jakiś cywil, ubrany w dzinsy i wiatrówkę, minął policjantów. Krzyczał coś, ale nie zrozumiałem, co, ponieważ pływający w dziurze Papiński jęczał coraz głośniejsze i rozpaczliwiej.

Szedłem niewzruszony

— Janek — zatkała Ania. Nadal leżała, po zakurzonej twarzy ciekły jej łzy, znacząc kręte ścieżki. Tak kręte, jak moja miłość do niej.

— Nie płacz, Anka, nie wygłupiaj się — powiedziałem łagodnie. — To tylko sen.

Chciałem ukucnąć koło niej i powycierać te łzy, które przeze mnie ronila, ale wtedy padł strzał ostrzegawczy Oprzytomniałem.

— Stój w miejscu! — wydyszał cywil. — Schować broń! — rozkazał. — To przecież zwykłe dzieciaki, nie bandyci!

— W radio mówili, panie komisarzu, że... — odezwał się policjant, który zakuł Jacka.

— Jak zwykle histeryzują — zbagatelizował komisarz. — Tylko ten jest groźny — wskazał na mnie. — Resztę odwieźcie nauczycielom, niech ich porządnie obtańcują. A tego ptaszka... — zamrugał nagle, z napięciem wpatrując się w ubranie Klupsia. — Co znowu? — mruknął. Pochylił się nad kamizelką.

— Gliniarz? — otworzył legitymację. — Franciszek Michał Klupś... — przeczytał półgłosem. — Gdzie jest ten policjant? — zapytał, z trudem tłumiąc obojętność.

316

Zrobiłem nieokreślony gest. Jak mu wytłumaczyć, że facet rozpadł się na proszek?

— Było tylko to ubranie, proszę pana — odezwał się Kostek. — Jak tu przyszliśmy, już leżało!

— Bo my piszemy artykuł... — ożywił się Plomba. Muszę przyznać, że w kajdankach było mu do twarzy

— Zamknąć się — komisarz miał ciemnoniebieskie, chmurne oczy. — Nie mam czasu wysłuchiwać bzdur. Co to tak jęczy? — zainteresował się.

— W tej dziurze pływa człowiek — powiedziałem. — Jeden z waszych, jak mi się zdaje!

Policjant podszedł do ciemnego otworu.

— Tu policja, komisarz Łazarek, jest tam kto? — zawołał, strącając stopą nieco piasku do środka.

— Wyciągniemy pana!

Po chwili ciszy odezwał się przerażony głos:

— Nie, nie! Ja tu czyszczę rury, hydraulik jestem! Proszę odejść i nie przeszkadzać w pracy... znaczy, w robocie!

Łazarek przygryzł paznokcia u kciuka i rozkazał, krzywiąc się:

— Wyciągnąć tego... hydraulika i przesłuchać — splunął na ziemię. — Jazda, ruszać się. Zabierać te dzieciaki. A tego cwaniaczka sam odwież — popatrzył mi w oczy. — Na Kisielewskiego dziesięć20.

Stróż patrzył na policjantów pakujących do radiowozów nieletnich intruzów.

20 Kisielewskiego dziesięć — adres Policijnej Izby Dziecka w Gdańsku.

317

— Szybko się uwinęły — mruknął, zasuwając zasłonę. — Jak nie trza, to są szybkie, co nie, kocie? Kot otarł się o nogę steranego życiem człowieka. Miauknął prosząco.

— Znowuż chcesz zryć? Żeby mi co zapłaciły za doniesienie, to bym ci co dał — zajrzał do pustego garnka. — Zgłoś się na policjanta, niech cię te france wykarmią, jak takie chytre. A ja sobie jakiego burka poszukam, bo z miauczenia, to tylko się złodzieje lęgną...

Siedziałem na tylnym siedzeniu peugeota, starając się wymyślić jakiś plan ucieczki. Jeżeli nie powiadomię ojca, nadmorski „pogrzeb” odbędzie się jutro rano. Wieniec popłynie, a wraz z nim popłynie życie pana Piętaka.

Wątpię, by komisarz Łazarek uwierzył w prawdę. W tę moją, kosmiczną prawdę sam nie chciałem uwierzyć. A innej prawdy nie było.

Ręce miałem skute jak bandyta. Zaczynam się przyzwyczajać. Szkoda, że mnie Glut nie może zobaczyć, pękłby z zazdrości. Zobaczyłem ociekającego wodą Papińskiego. Trząśł się jak galareta. Opatulili go kocem i wsadzili do karetki wezwanej przez komisarza Łazarka. Stał przy samochodzie, rozmawiając przez komórkę. Moja została w zabranym razem ze wszystkimi bagażami plecaku.

— Jak tam? — puknął w szybę.

Skrzywiłem się. Nie będę gadał z kimś, kto ma mnie za bandytę. Łazarek wrócił do rozmowy, nadstawiłem więc ucha.

318

— ... poważnie — mówił komisarz. — Franciszek Michał Klupś. — odczekał chwilę. — No, to teraz się trzymaj, bracie. Ten facet znikł, tylko ciuchy po nim zostały! Jak to znasz takie przypadki?! Ja nie słyszałem — znów odczekał. — Sprawdzisz? Dobra, zaczekam. Jadę na Kisielewskiego z tym całym Racyniakiem od tramwaju, niech skruszeje. Cześć! Siadł za kierownicą, dając znak jednemu z komandosów, by mnie przypilnował.

— Może próbować zwiać — ostrzegł.

— Nie zwieje — ziewnął policjant. Zdjął kominiarkę. Wygolona głowa, kanciaste rysy twarzy i szare, zimne oczy, nie napawały mnie entuzjazmem.

Dzielnicowy Lechosław Ciąćka kazał przerwać opatrywanie posterunkowego Kozuszka.

— Nie ma łba ze szkła — burknął do sanitariusza. — Wystarczy

— Panie dzielnicowy... — wychrypiał Kozuszek. — Po co te... — przełknął ślinę — ... kajdanki? Policjanta pan zakuwasz, na służbie?

— Na służbie to ty, Kozuszek, od wczoraj już nie jesteś... — Ciąćka zerknął do notesu.

— Jak to? — posterunkowy nie krył zaskoczenia.

— Komendant was zawiesił — odchrząknął dzielnicowy, idąc wolnym krokiem za prowadzonym przez policjantów do karetki Kozuszką. — Ciebie i Papińskiego, za współpracę z poszukiwanym przestępcą, który podszywał się za

319

komisarza. Melinę żeście sobie pod samym komisariatem urządzili, ale wyszło szydło z worka — machnął wyjętą z notesu kartką. — O, tu mam telefonogram z Zielonej Góry! Wczoraj miałem was aresztować, tylko przepadliście jak kamień w wodę. Gdzie Papiński?!

Kozuszek zacisnął zęby. Miało być pięknie i bogato, a jest... Niech wszyscy diabli wezmą Dudę, Kalafiora i tego oszusta, Klupsia!

Posterunkowy nie zdawał sobie sprawy, jak w tym ostatnim przypadku był blisko prawdy. Głowa pękała mu w szwach.

Jechaliśmy w milczeniu. Postanowiłem, że na miejscu wy-błagam o możliwość zadzwonienia do ojca. Zresztą, chyba mam takie prawo? — pomyślałem, próbując się jakoś odnaleźć w tym absurdzie.

Zadzwoniła komórka.

— No? — zapytał Łazarek. — I co? A widzisz, tak myślałem... — rozjaśnił się — ... Edward Koszykiewicz, powiadasz? Czulem przez skórę, że już widziałem tę twarz!

Sapiąc z podniecenia, słuchał dłuższego wywodu rozmówcy. Poruszyłem się, chcąc zmienić niewygodną pozycję. Komandos obok zeszywniał, przesywając mnie groźnym spojrzeniem.

— Głównie muzea i cmentarze? — zdziwił się Łazarek. — Żadnych trupów? Aaa, są — pokiwał głową. — No co ty chrzanisz? Jak to, poszukiwany od tysiąc osiemset siedem-dzie... — zastanowił

się. — Józek, przecież facet musiałby mieć prawie sto pięćdziesiąt lat! Zastanów się, co ty gadasz?
320

Mam w nosie centralne rejestry! — mrugnął do mnie. — FBI też mam w nosie, na razie!
Dojechaliśmy na miejsce. Wsiadłem, prostując odrętwiałe mięśnie. Drzwi Policijnej Izby Dziecka w Gdańsku stały przede mną otworem.

— No i widzi pani, pani Racyniakowa, nie ma tego złego... — Dzielnicowy podrapał się po głowie długopisem. — Synek, co prawda, w kłopotach, ale dali znać, że go dorwali... Znaleźli, chciałem powiedzieć — poprawił się.

— Nie rozumiem, co pan ma na myśli?! Czego złego nie ma? Od dwóch godzin w nerwach, z pracy mnie pan ściągnął, ten mały do przedszkola i z przedszkola, jak na karuzeli... Jaki to wzór dla niego?

— Pani Racyniakowa. — Lechosław Ciąćka otarł czoło. Gorszego dnia dawno już nie miał. — Może Janek jest niewinny? Jutro go przywieziemy, wyjaśni się na miejscu.

— Dlaczego nie dzisiaj?!

— Takie dyrektywy — bąknął dzielnicowy. — Co za dzień...

Rozdział 33.

Relegowany

Obudziłem się złany potem, z przeświadczeniem, że zapomniałem o czymś niezwykle istotnym. Z sufitu zwisała przykurzona lampa z zielonym kloszem. Nie moja.

Usiadłem. Łóżko też nie było moje. Seledynowe ściany... Izolatka — jestem w izolatce! Pamięć wróciła niczym seria błysków flesza. Jazda taksówką, studnia, Utu... Pamiętaj o wieńcu, nie pozwól... nie pozwól... Inana...

— O, w mordę! — zerwałem się. Która to godzina? Nie mogłem znaleźć swoich rzeczy
Zeskoczyłem na wyścieloną miękką wykładziną podłogę. Pokoik był niewielki, oprócz łóżka i stolika z dwoma krzesłami nie było tu innych mebli.

Załomotałem w drzwi.

— Otwierać! Natychmiast otwierać! Sprawa życia i śmierci! — brzmiało to nieco teatralnie, ale było całkiem skuteczne. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast.

— Nie musisz się wydierać, nikt cię nie trzyma pod kluczem — powiedziała miła z wyglądu kobieta w ciemnej garsonce. — Co się stało?

— Gdzie jest moje ubranie? — z obrzydzeniem chwyciłem rąbek różowej pidżamy. — Co to za dziewczynskie ciuchy?

322

— Ubranie jest w czyszczeniu, za godzinę będzie wyprane i wyprasowane.

— Za godzinę?! A która jest właściwie? — starałem się nie być zbyt agresywny. Mina kobiety świadczyła, że wyrobiono mi tutaj niezłą opinię.

— Dwadzieścia po dziewiątej — obrzuciła pokój sprawdzającym spojrzeniem. — Spałeś jak zabity. Śniadanie dawno minęło.

— Muszę przedzwonić do ojca!

— Ale właściwie...

— Proszę — złożyłem ręce jak do modlitwy. — Od tego zależy czyjeś życie!

Zamrugła, a potem cofnęła się na korytarz.

— Telefon jest u mnie w biurze. Pokój po prawej. Masz trzy minuty i nie próbuj wiać. W tej pidżamie daleko nie zajdziesz — pogroziła palcem.

— Dzięki — wyminąłem ją i pognałem we wskazane miejsce.

Dyrektor Balezy nie był w humorze. Siedział za biurkiem, nerwowo przekładając dokumenty z jednej teczki do drugiej.

— Rada Pedagogiczna musi zaopiniować, szanowna pani, ale ja już podjąłem decyzję! — twarz miał czerwona z podenerwowania.

— Panie dyrektorze, on jest na pewno niewinny. Dzisiaj wracają, wszystko się na pewno wyjaśni...

— Znam ja takie wyjaśnienia, pani Rodzynek. Jego słowo

323

za słowa dwojga nauczycieli, w tym samej poszkodowanej? Proszę się zastanowić — zabębnił palcami po blacie. — Proszę się zastanowić — powtórzył, po czym podniósł słuchawkę telefonu. — Proszę jeszcze jedną kawę, pani Krystynko... eee, Rozalko! Z cukrem, bez mleka. Pani się napije, pani Rodzynek? — zapytał poniewczasie.

— Ale trzeba dawać szansę...

— Już raz go zawieszałem i raz odwieszałem, szanowna pani. To w sumie dwa razy Mam serdecznie dosyć bandytyzmu i lekceważenia nauczycieli... O, dziękuję, pani Stefanko... Rozalko! Co to ja mówiłem? — zastanowił się. — Aha, dosyć tego, postanowione i kwita! — walnął pięścią w biurko. — Co u licha? — popatrzył z niesmakiem na rozchlaną kawę. — No i widzi pani? Przez pani gagatka krawat mam do prania!

— Tato?! — krzyknąłem do słuchawki.

— Janek? Skąd dzwonicz? — głos ojca zagłuszał jakiś szum.

— Z gabinetu kierowniczkii...

— Kierowniczkii?

— Kierowniczkii pensjonatu — wyjaśniłem szybko. — Mam mało czasu, więc do rzeczy...

— Nie przesadzaj, chyba nikt cię nie pogania? — zdumiał się ojciec.

— Nie o to chodzi — zacząłem się niecierpliwić. — Nie wrzucajcie tego wieńca do morza! Pan Piętaś żyje! Słyszysz mnie?!

324

— No przecież wiem — westchnął tato. — Dlatego z Olkiem siedzimy przy kawie. Całkiem przyjemna kawiarenka...

Zamurowało mnie.

— Skąd wiesz? Podawali w radiu czy co?

— Nie, ale parę minut temu był ten kolega, którego przysłałeś. Wróciliśmy więc z Nowego Portu do śródmieścia. Wyobraź sobie, że nawet wieniec nam przyjęto z powrotem. Potracili tylko dziesięć procent za operację finansową...

— Tato, jaki znowu kolega? — potrząsnąłem głową. Może dalej mam wodę w uszach?

— Pierwszy raz go widziałem — zastanowił się ojciec. — Patryk Lityński... nie, Ligurski! Mówił, że go przysłałeś. Przysłałeś go?

— Tak — oblizałem wargi. Kamień spadł mi z serca, teraz mogę spokojnie czekać na rozwój wypadków. — Co właściwie powiedział?

— No, że Piętaś wyłowili szwedzcy rybacy i że żyje. Gdzieś na jakiejś wysepce mają letnią wędzarnię. Utklippor-na się nazywa. Wysepka, nie wędzarnia. Mówił, żeby zgłosić władzom, to przedzwoniłem, gdzie trzeba. A co u ciebie? Widzę, że mama dzwoniła, ale łądowałem aparat. Potem od-dzwonię. Dobrze się bawisz?

— Jak w lunaparku — odpowiedziałem. — Ligurski mówił coś o mnie?

— Yyy, powiedział coś dziwnego... — głos umilkł na chwilę. Zdaje się, że kierowniczka idzie po mnie, bo usłyszałem stukot obcasów.

325

- Tato?

— Usiłowałem sobie przypomnieć — chrząknął ojciec. — Powiedział, że szukał właśnie ciebie, bo nosisz w sobie światło zrozumienia... Wiesz, o co mu chodziło?

— Chyba wiem — stwierdziłem po namyśle. Kroki umilkły i wyczułem czyjaś obecność. — Muszę kończyć! — Poczuję się dziwnie lekki i beztroski. Jak bym odwalił kawał solidnej roboty.

— A tak ogólnie, w porządku?

— W najlepszym, cześć! — odłożyłem słuchawkę. — Już idę, szefowo! — rzuciłem, nie oglądając się.

— Nie jestem twoją szefową, jeszcze nie — odpowiedział dziewczęcy głos.

Przełknąłem ślinę i odwróciłem się powoli.

— Ania?

— Gustowna pidżamka — uśmiechnęła się. Zaraz potem spoważniała. — Narobiło się, Jasiu, oj, narobiło...

Podszedłem do niej i położyłem dłonie na jej delikatnych ramionach.

— Wiesz, że to nie ja — szepnąłem. — Szczęsny się zemścił za to, że Lopez... — źrenice Ani rozszerzyły się ze zdumienia. — Za to, że wybiłem mu zęba. Pchnął mnie...

— My wszyscy ci wierzymy — pogłaskała mnie po dłoni. — Ale nie Tyczka, nie Ciapek i nie Balezy. Uprosiłam ją, żebyś usłyszał to ode mnie...

— Ją?

— Tyczka czeka na korytarzu z policjantami. Ma rękę w gipsie, kilka osób nawet zdążyło się na tym gipsie podpisać

326

— wydeła wargi w pogardliwym uśmiechu. — Przebierzesz się i wracamy do Trombolina. Policja odwiezie naszą czwórkę gratis — mrugnęła porozumiewawczo. — Kostek mówi o jakimś pokerowym rewanżyku, podobno oskubałeś go trochę w pociągu?

Przyłożyłem jej palec do ust.

— Co masz mi przekazać?

— Że... — posmutniała. — Że jesteś relegowany, Jasiu, do Potemkowic. Tam jest...

— Wiem, co tam jest — skrzywiłem się. — Gimnazjum z internatem dla trudnej młodzieży. Spotkam się z chłopakami z Klanu Zaufanych²¹. Na pewno przywitają mnie z entuzjazmem — powiedziałem, siląc się na beztroskę.

— Cyniczny jak zawsze — Ania pokręciła głową. — Ale i tak cię... — zawahała się.

— Co chcesz powiedzieć? Cmoknęła mnie w policzek.

— To na szczęście! — roześmiała się, lecz jej oczy błyszczały łzami.

— Co chciałaś powiedzieć, Aneczko? — nie ustępowałem.

Zza drzwi dobiegło niecierpliwe stukanie. Dziewczyna cmoknęła mnie w usta i oznajmiła:

— Dowiesz się, jak wrócisz. Na razie relegują cię na pół roku. Zdaje się, że musimy już iść — ścisnęła moją dłoń i szybko puściła.

²¹ O Klanie Zaufanych opowiada część pierwsza przygód Cyny, pt. Ptak, Cyna i pies sąsiadów.

327

Na korytarzu stała Palikowa, za nią kierowniczka Izby Dziecka i dwóch policjantów. Popatrzyłem na wychowawczynię i przeszył mnie krótki dreszcz.

Pół roku bez Tyczki? Niezły prezent, Utu — pomyślałem, uśmiechając się od ucha do ucha.

Epilog

Okolice twierdzy Kinburn nad Morzem Czarnym, lipiec 1738 roku.

Wczesny wieczór

Skazaniec otworzył oczy.

— Ży-ję? — wychrypiał. — Mój Boże...

Żołnierz odskoczył przerażony. Schował odpięty wisielcowi kołnierz do torby i przeżegnał się zamaszycie.

— Zaczekaj! — szarpnął się Koszykiewicz. Mimo ociekającej krwią szyi, nie odczuwał żadnego bólu. Od momentu, kiedy znalazł to coś, nie chorował. I nie umarł.

Młody Polak zatrzymał się, niepewnie wpatrując się w ożywionego trupa.

— Jak ci na imię? — zapytał wisielec całkiem żywym głosem.

— Mówią na mnie Andriej — odpowiedział tamten.

— To nie jest polskie imię — zauważył Koszykiewicz. Szarpnął się ponownie, ale sznur był mocny. Będę miał blizny — skonstatował. — Uwolnij mnie!

— Jestem Jędrzej Ligurski — żołnierz odpiął bagnet, po czym rozciął sznur na rękach skazańca.

— Odetnij mnie i oddaj kołnierz — wisielec rozkołysał się, usiłując trafić stopami w deski. —

Ejże! — zawołał, widząc,

■

329

jak chłopak z delikatną bródką zbiega po drabince. — Stój! Taki z ciebie Polak? — kaszlnął. Gardło miał jeszcze bardzo wrażliwie. — Znajdę cię, Jędrzeju Ligurski! — krzyknął za uciekającym. — I

odbiorę, co moje! Choćby za dwieście lat!

... i pojął Utu, iż błąd nie wybaczonej być może. Nie zwiódło go przecucie (...), zali za beztroskę wobec ludu ludzkiego na poszukiwanie onegoż wysłany został (...).

I rzekli wyżsi bogowie: niechaj małżonka twa służy ci w udręczonej wędrownicy (...), niechaj karą twą będzie szukanie człeka, co nie wiedzący światło zrozumienia w osobie swej nosi. Tenże Manatosza potomków potomek z tułacznej beznadziei uwolnić cię zdoła. (...) Szukał zatem Utu i szukać będzie, aż się przeznaczenie wypełni.

Pieśń o Manatoszu (fragment) miasto Uruk, Sumer, 3467 r. p.n.e.

Spis treści

Prolog.....	7
Rogate oblicze Krzysia.....	12
Lopez.....	22
Pieć do zera.....	31
„... a śmierć popatrz z wysoka...”.....	40
Kodeks honorowy.....	51
Brygada Porodów Parkowych.....	61
Detektyw Cyna na tropie.....	72
Nareszcie w areszcie!.....	82
Pod szlabanem.....	91
Ręka szybsza od oka.....	100
Schizofrenia Mętlika.....	110
Inwalidą to ja nie jestem.....	121
Pałka, zapalka, dwa kije.....	131
Fatalnego dnia ciąg dalszy.....	141
Klątwa Smutnego Antosia.....	151
Komisarz Klupś.....	160
Z wizytą u ciotki Klary.....	170
Podmokła osiemnaście.....	179
Dżdżownica nie ma głowy.....	189
Symboliczne pożegnanie.....	199

tri j?d ^3 l—'

Przeczytajcie koniecznie pierwszą część przygód Cyny!

Polecamy zabawną serię „Przypadki Damianka”

mshmmgt

itwmmum&mm

OSTRZEŻENIE:

Uwaga! Treści zawarte w tych książkach mogą pomieszać Ci w głowie! Jeżeli, mimo ostrzeżenia, zdecydujesz się na ich przeczytanie, czynisz to na własną odpowiedzialność.

Autor

Trzy tomy rewelacyjnego cyklu powieści, osnutych wokół szalonych eskapad kilkorga przyjaciół po światach ogrów, gnomów, czarodziei, a nawet międzyplanetarnych rozbitków...